

# STONE KATHERINE

## Bliźniaczka

### Prolog

*Pacific Heights*

*San Francisco*

*14 stycznia*

*Trzydzieści jeden lat temu*

- Chyba nie zamierzasz się z nią ożenić!

- Owszem, mam, mam, zamierzam. - Twarz Alana Forrestera była spokojna, tak jak jego głos. Spodziewał się takiej reakcji, zwłaszcza ze strony matki, łącznie z udawanym zaskoczeniem. Rosalind i Gavin Forresterowie doskonale wiedzieli, jaką to „ważną sprawę” chce z nimi omówić ich syn. - Miałem nadzieję, że ślub mógłby się odbyć tutaj.

„Tutaj” oznaczało rodzinny dom Forresterów, posiadłość w stylu francuskich rezydencji wiejskich, która przetrwała wszystkie trzęsienia ziemi, jakie nawiedziły tereny nad zatoką w ciągu ostatnich stu lat.

Teraz Alan wyczuwał inne drżenie, którego źródłem nie była ziemia, lecz ludzkie emocje. Matka potrafiła być okropna. Cóż, on także. W końcu był jej synem.

Rosalind postanowiła wypowiedzieć swoje zdanie na ten temat. Świetnie. Ma do tego prawo. Ojciec także dołoży coś od siebie. Alan wierzył jednak, że zwycięży. Mimo patrycjuszowskiego pochodzenia i głęboko zakorzenionej świadomości klasowej, jego rodzice byli przecież rozsądnymi istotami ludzkimi.

- Oczywiście, że twój ślub może się odbyć tutaj, kochanie. Ale... z nią?

- Z Claire, mam. Ona ma na imię Claire. I jest jedyną kobietą, z jaką kiedykolwiek chciałem się ożenić.

- Trudno nazwać ją kobietą, Alanie.

- Wkrótce skończy dwadzieścia jeden lat. Za dwa tygodnie. Dokładnie w dniu naszego ślubu.

Rosalind zacisnęła usta. Postanowiła nie poruszać kwestii tak krótkiego okresu

narzeczeństwa ani sześciu lat, dzielących Alana i Claire. Sama była siedem lat młodsza od Gavina. Nie mogła też wytknąć synowi, że poznał narzeczoną niecałe trzy miesiące temu, ponieważ zakochała się w swoim przyszłym mężu dosłownie od pierwszego wejrzenia.

Rosalind Elizabeth Paige i Gavin Alan Forrester byli idealnie dobraną parą. Atherton i Pacific Heights. Yassar i Yale. Jedyny dziedzic i jedyna dziedziczka fortun zbitych na przemyśle transportowym. Na statkach i pociągach.

Podczas gdy Alan i Claire.

- Jesteś chirurgiem, Alanie, w jednej z najlepszych klinik na świecie. A ona to jakaś hipiska, dziecko kwiat, a sam wiesz, co się z tym łączy. Marihuana. LSD. Rozwiążłość.

Alan spodziewał się tych słów.

Nie przypuszczał jednak, że aż tak go one zabolą. Claire nie była dzieckiem kwiatem, tylko dzieckiem zaniedbanym, czwartą córką rodziców pragnących doczekać się syna. I doczekali się go - zaledwie jedenaście minut po narodzinach Claire. Na świat przyszedł jej brat bliźniak, Robbie, krzycząc triumfalnie. Los zesłał im później jeszcze dwóch synów i rodzina MacKenziech była w komplecie. Trzy energiczne córki. Trzech ruchliwych synów. I Claire najmniejsza spośród całej tej złotowłosej rumianej trzódki. Najdrobniejsza i najcichsza. W tych rzadkich chwilach, kiedy się odzywała, jej głos ginął w ogólnej wrzawie. Co było zresztą bez znaczenia, jak wyznała swojemu ukochanemu. Zanim go poznała i pokochała, i tak nie miała zbyt wiele do powiedzenia. A jeśli chodzi o jej sztukę, poza szkolnymi pracami tworzyła tylko dla siebie. Po cóż miałyby pokazywać rodzinie obrazki, które nauczyciele w szkole uznali za zbyt stonowane i blade?

Sztuka Claire, jak i sama Claire, nie rzucała się w oczy. Prawie jej nie było. Ale przecież istniała. Lecz nawet ta delikatna jak pajęczyna obecność wydawała jej się zbędna, tak jak niezręczne wysiłki, by dopasować się do reszty.

Bo Claire nie pasowała nigdzie. I nigdy się nie dopasuje. Wiedziała o tym. I wiedziała o tym jej rodzina. I wszyscy w szkole Sarah's Orchard w Oregonie. Więc wiadomość, że Claire MacKenzie kupiła bilet w jedną stronę do San Francisco, została przyjęta ze słodko-gorzką mieszaniną żalu i ulgi.

Claire mogła zostać dzieckiem kwiatem. W swojej wędrówce trafiła do mekki tych zbłąkanych dusz. Ale w przeciwieństwie do większości z nich, ta uciekiniarka ze szkoły średniej miała w sobie pasję.

Nie pomyślałaby nigdy o tym, że mogłaby sprzedawać swoje prace, nawet nie próbowała. Ale przechodnie zachwycali się akwarelami ulicznej malarki i wkrótce Claire zaczęła zarabiać na skromne utrzymanie, sprzedając swoje obrazy.

Alan chciał opowiedzieć rodzicom historię kobiety, którą kochał.

Kiedys to zrobi.

Dziś jednak historia ta utwierdziłaby tylko jego matkę w przekonaniu, że Claire nie jest dla niego odpowiednią partią. Pomyślałaby na pewno, że coś musi być z nią nie w porządku, w przeciwnym razie jej rodzina nie pozwoliłaby jej tak łatwo odejść.

- Czy ona jest w ciąży, Alanie? - spytał Gavin.

- Bo jeśli tak - dodała Rosalind - to są przecież różne sposoby...

Alan oczekiwał uczciwej walki. I może to nawet była uczciwa walka. Może w bitwach, które staczają rodzice o to, co w ich mniemaniu będzie najlepsze dla ich dziecka, wszystkie chwytby są dozwolone. Zwłaszcza jeśli to dziecko jest jedynakiem.

Ale Alan nie potrafił w tej chwili docenić tej uczciwości. Był wykończony. Przez trzydzieści sześć godzin miał dyżur i niemal bez przerwy operował. Jednak bardziej jeszcze niż snu potrzebował Claire. Dom jego rodziców położony był zaledwie trzy przecznice od Centrum Medycznego Pacific Heights. Zazwyczaj pokonanie tej odległości wydawało mu się krótkim, przyjemnym spacerem. Chyba że, tak jak tego wieczoru, nie pozwolił sobie na to, by wstąpić najpierw do swojego mieszkania i zobaczyć się z ukochaną.

Alan chciał mieć już za sobą tę rozmowę. Chciał, żeby wszyscy mieli ją za sobą.

- Naprawdę chciałabyś, żeby przerwała ciążę i zabiła moje dziecko? Waszego wnuka?

- Skąd wiesz, że jest twoje? To znaczy, jeden Bóg wie, ilu...

- Lepiej uważaj, mamo. Mówisz o swojej przyszłej synowej. - Która jest jeszcze dziewicą. - Claire nie jest w ciąży. Na razie.

- Och, Alanie, ale dlaczego to właśnie ona? Co ty w niej widzisz?

- Widzę w niej Claire. A w Claire widzę moje życie.

-Ale ona jest...

- Jest inna niż ludzie z naszej sfery? Chyba masz rację. Jest wielkoduszna, kochająca...

- Przecież my cię kochamy, Alanie!

- Wiem. Przynajmniej tak mi się wydawało. Ale jeśli naprawdę mnie kochacie, pokochacie także Claire. - Alan wytrzymał wzrok matki, która w końcu odwróciła oczy, po czym spojrzał na ojca, jednego z najlepszych prawników w tym stanie. - Tato?

- Rozważałeś spisanie intercyzy przed ślubem? To byłoby rozsądne. Jestem pewien, że Stuart powiedział ci to samo. Albo powie ci, kiedy powiadomisz go o swoich małżeńskich planach.

Stuart Dawson i Alan Forrester przyjaźnili się od pierwszego roku studiów w Stanford. Stuart nie pochodził z dobrej rodziny, ale rodzice Alana przyjęli go jak własnego

syna. Owszem, dobre pochodzenie miało wielkie znaczenie dla Gavina i Rosalind. Pokolenia starannie aranżowanych mariaży stanowiły pewną gwarancję.

Ale dziecka nie można przecież obwiniać o to, w jakiej rodzinie przyszło na świat. Oczywiście pod warunkiem, że zdoła wznieść się ponad swoje środowisko w sposób, zdaniem państwa Forrester, najstosowniejszy - poprzez wykształcenie. Stuart był znakomitym studentem. *Summa cum laude* w Stanford. Potem Harvard. Nadal był najlepszy i wkrótce miał zostać współnikiem w kancelarii Forrester, Grant i Sloan.

Stuart poszedł z Alanem na Ghirardelli Square tamtego wieczoru, w Halloween. Był świadkiem pierwszego spotkania Alana i Claire i magii, która tej chwili towarzyszyła. Już dawno zgodził się zostać świadkiem na ślubie przyjaciela.

Jedyna rada mecenasa Stuarta Dawsona brzmiała: „Ożeń się z nią, Alanie, jak najszybciej. Nie pozwól jej odejść”.

- Nie mieszkajmy do tego Stuarta - powiedział Alan.

- Zgoda - odparł Gavin. - A co z intercyzą?

- Zdaję sobie sprawę ze swoich obowiązków, tato. I traktuję je bardzo poważnie.

„Bez komentarza”, tak odpowiedziałby Gavin Forrester, gdyby był w sądzie.

Tutaj jednak potraktował słowa syna jak wyzwanie, którym istotnie były.

- Ożenię się z Claire i nie dam jej do podpisania niczego, poza aktem ślubu. Więc zaufajcie mi. Uwierzcie we mnie.

Gavin i Rosalind od dnia narodzin syna nie robili niczego innego. Gavin uśmiechnął się, dając wyraźnie do zrozumienia, że pod tym względem nic się nie zmieniło.

Ojciec był już po jego stronie. Ale matka ciągle pozostawała nieugięta.

- A co z Mariel?

- A co niby ma być? - Niewinne pytanie Alana brzmiało równie szczerze, jak wcześniej udawane zdumienie jego matki.

- Co masz zamiar jej powiedzieć?

- Że zapraszam ją na mój ślub, który odbędzie się dwudziestego ósmego stycznia. Tutaj lub gdzie indziej.

- Będzie zdruzgotana. Ona ciągle ma nadzieję, że się pogodzicie. Jestem pewna.

-A ja jestem pewny, że jest inaczej. Gdyby tak było, po prostu by mi o tym powiedziała.

Mariel Lancaster nie zaliczała się do dziewcząt nieśmiałych, zwłaszcza jeśli jej na czymś zależało. A jeśli tym czymś był mężczyzna, była szczególnie bezpośrednia. I pewna siebie. Była też, aż do ich zerwania dwa lata temu, dziewczyną Alana. Związek ten znaczył dla

niego więcej niż inne. Rosalind była zachwycona. Mariel to doskonała partia. Main Line Philadelphia. Bryn Mawr. MBA w Stanford.

- Poza tym - dodał Alan - wcale nie musimy się godzić. Nie pasowaliśmy do siebie, a Mariel, o czym dobrze wiesz, pierwsza zdała sobie z tego sprawę. Teraz jesteśmy sobie bliżsi niż wtedy, gdy byliśmy parą. Mariel będzie się cieszyła moim szczęściem. Stuart też. I wszyscy, którzy mnie kochają. Wszyscy, którzy mnie kochają, pokochają także Claire.

- Och, Alanie...

- Kocham ją. A ona, co jest naprawdę zdumiewające, kocha mnie.

- Uważasz, że to zdumiewające?

- Tak, to zdumiewające, że kobieta, z którą chcę spędzić resztę życia, czuje to samo w stosunku do mnie.

Oczywiście, że ta mała ulicznica chce spędzić resztę życia z Alanem, pomyślała Rosalind. Każda kobieta by tego chciała, nawet gdyby nie miał grosza przy duszy. Ale ta cała Claire jest w dodatku biedna jak mysz kościelna i fakt, że Alan pochodzi z bogatej rodziny, na pewno ma dla niej znaczenie.

Zastanawiała się właśnie, czy wystarczy jej odwagi, by napomknąć synowi o tej oczywistej prawdzie, lecz Alan ją ubiegł.

- Ona nie szuka złota, mamó.

- Nie powiedziałam wcale...

- Ona sama jest złotem.

Rosalind westchnęła wymownie. Ale jej słaby uśmiech oznaczał, że uznała się za pokonaną. Tej bitwy nigdy nie zdołałaby wygrać. Westchnęła raz jeszcze, by podkreślić, że nie jest jej łatwo pogodzić się z porażką.

- Cóż, zdaje się, że muszę się zająć przygotowaniem do wesela...

Rosalind Forrester byłaby kiepską pokerzystką - nie, żeby ktokolwiek przyłapał ją na oddawaniu się tej rozrywce. Jednak ze względu na syna usiłowała skrywać swój sceptyczny stosunek do kobiety, która w tak krótkim czasie została jego narzeczoną żoną, i która na początku grudnia zostanie matką jego dziecka. Nie bardzo jej się to udawało. Ale naprawdę bardzo się starała. Pomagało jej to, że Alan promieniał szczęściem, a Gavin, Stuart i Mariel bez wyjątku należeli do obozu Claire.

Najważniejsze jednak, że Claire była Claire. Nie próbowała przypochlebić się teściowej. Ani nikomu innemu. Uczennica z Oregonu nie starała się też dopasować do świata Forresterów. Nie dlatego jednak, by odczuwała wrogość w stosunku do śmietanki towarzyskiej, czy gorycz, bo nigdy nie stanie się jej częścią. Nie odrzucała też tych, którzy do niej należeli.

Nie, Claire niczego takiego nie czuła. Była po prostu zakochana.

Claire podbiła serce teściowej. Choć teściowa nie zdawała sobie z tego sprawy. Rosalind zaproponowała, by młoda para zamieszkała z nią i jej mężem. Posiadłość doskonale się do tego nadawała, było tam dość miejsca, by każdy mógł zachować prywatność. Alan i Claire dostali całe skrzydło, które mogli urządzić po swojemu i żyć swoim życiem. Rosalind i Gavin mogliby nawet nigdy nie przejść przez ciężkie drewniane drzwi, dzielące obie części domu.

Ale Alan chciał pokazać rodzicom, a także Stuartowi i Mariel, co stworzyła jego żona artystka. Czego dokonała w ich domu.

- To jest jak ciepły wiosenny dzień. - Rosalind nie kryła uznania. - Jak bukiet na Dzień Matki.

- Złożony z kwiatów kwitnącej wiśni - dodała Mariel, kiedy weszli do blad różowego pokoju dzieciennego. - Cudownie! Ale sądziłam, że Claire nie musiała robić żadnych badań. Nawet USG.

- Bo nie musiała - odparł Alan. - I nie zrobiła.

- To skąd wiadomo, że będę matką chrzestną, to znaczy, że będziemy rodzicami chrzestnymi... - poprawiła się, patrząc z uśmiechem na Stuarda - dziewczynki?

- Nie wiadomo - powiedziała Rosalind. - W każdym razie nie zostało to potwierdzone naukowo. Ale tak jak ja byłam pewna, że noszę pod sercem energicznego chłopczyka, tak Claire nie ma wątpliwości, że w jej łonie tańczy mała baletnica.

Rodzinne wakacje Forresterów w Pebble Beach zaplanowano na koniec października, zanim Claire zorientowała się, że jest w ciąży. Ta radosna wiadomość nie wpłynęła na wakacyjne plany, zarezerwowano tylko dodatkowe pokoje dla przyszłych rodziców chrzestnych. Jednak podróż do Carmel była uzależniona od tego, jak Claire, której do rozwiązania zostało tylko pięć tygodni, będzie się czuła.

A Claire twierdziła, że czuje się świetnie. Cudownie. Prowadzący ją lekarz był tego samego zdania. Twierdził, że przyszła matka jest okazem zdrowia.

Tak więc cała szóstka miała pojechać dwoma samochodami: Forresterowie mercedesem Gavina, a Mariel i Stuart, którzy od wiosny stanowili duet, jaguarem Mariel. Plan ten trzeba było jednak zmienić, kiedy Mariel przybyła do posiadłości Forresterów sama. Powiedziała, że w sprawie prowadzonej przez Stuarda pojawiły się pewne komplikacje, którymi musi zająć się osobiście, w związku z tym pojechał do Chicago. Kiedy tylko upora się ze wszystkim, przyleci do Monterey.

Mariel od razu postanowiła, że w takim razie Claire pojedzie z nią. Nalegała na to. Powiedziała, że ma ochotę na „babską pogawędkę”.

Na wieczór zapowiedziano burzę. Deszcz już zaczął padać.

Jednak w obu samochodach panowała pogodna, słoneczna atmosfera.

- Nie widziałam jeszcze Alana tak szczęśliwego - stwierdziła Mariel. - Nie wiem, czy jakikolwiek chirurg na tej planecie był kiedyś równie szczęśliwy. Może nawet żaden mężczyzna nie był!

- Alan kocha swoją pracę.

- To prawda. Ale ciebie, Claire, kocha bardziej.

„Pozwól, by Mariel została twoją starszą siostrą, taką jakiej nigdy nie miałaś”, powiedział kiedyś Alan. „Ona tego chce. Owszem, potrafi być męcząca i zawsze musi postawić na swoim, ale ona naprawdę cię lubi, Claire. A Mariel nie każdego lubi”.

- Ja... Dziękuję, Mariel.

- Bardzo proszę! A teraz porozmawiajmy o przyjęciu z okazji narodzin dziecka. Na pewno nie chcesz, żebyśmy zaprosiły jeszcze kogoś?

Mariel i Rosalind, które miały pomagać Claire w pełnieniu obowiązków pani domu, już zaprosiły wszystkie swoje przyjaciółki, co oznaczało, że na liście gości znalazły się najbardziej wpływowe kobiety San Francisco.

Jedna z nich, mówiła właśnie Rosalind w drugim samochodzie, miała przylecieć z Palm Springs specjalnie na przyjęcie.

- Wszyscy przyjęli zaproszenie.

- To mnie nie dziwi.

- Nie jesteś zachwycony, Alanie? Boisz się, że Claire może się poczuć przytłoczona tym wszystkim?

- Trochę się tego obawiam.

- Powiedziała ci to?

- Nie. Prawdę mówiąc - przyznał - powiedziała, że dzięki temu czuje się tu mile widziana.

- Ależ ona jest tu mile widziana. Nawet bardzo - podkreśliła Rosalind miękko. - My ją kochamy, Alanie. Cieszymy się, że stała się częścią naszego życia.

Wichura rozszalała się na dobre. Gavin prowadził ostrożniej, niż wymagały tego warunki drogowe, ostrożniej niż zwykle. Ale dzięki temu Mariel, która na ogół nie grzeszyła rozważą, musiała jechać równie wolno. Gavin, mimo swych pięćdziesięciu czterech lat, miał doskonały refleks. I wzrok. Grywał w tenisa i często pokonywał przeciwników o połowę młodszych niż on, mężczyzn w wieku Alana.

Dostrzegł sarenkę w chwili, kiedy postawiła na jezdni pierwsze niepewne kopyto. Zaraz

potem zauważył jej zaniepokojonych rodziców, którzy próbowali ją dogonić.

Skręcił gwałtownie, wrócił na swój pas i zerknął w lusterko, by sprawdzić, czy sarnia rodzina, a także Mariel i Claire, są bezpieczne.

To było tylko jedno krótkie spojrzenie. Gavin nie odzyskał jeszcze prędkości sprzed skrętu, gdy na drogę wyskoczyła druga sarna.

Zapomniana siostra rozpaczliwie chciała dołączyć do rodziny.

Gavin skręcił ponownie. Jej także ocalił życie.

Ale w tym miejscu na górskiej drodze był zakręt, a zaraz za nim na szarej, mokrej od deszczu jezdni lśniła wielka plama oleju. Gavin nie zdołał jej wyminąć. Żadnemu kierowcy by się to nie udało. Tym samym los jego rodziny został przesądzony.

Gavin nacisnął ostrzegawczo klakson w chwili, gdy jego samochód zatańczył na śliskiej nawierzchni, po czym runął z urwiska.

-Nie! - krzyknęły jednocześnie Claire i Mariel, kiedy wyjechały zza zakrętu i zobaczyły spadający samochód.

Mariel także wpadła w poślizg na tłustej plamie, ale dzięki ostrzeżeniu Gavina jechała wolniej i zdołała się zatrzymać. Tak jak cztery inne jadące za nią samochody.

Jeden z kierowców pojechał, by sprowadzić pomoc. Trzy pozostałe auta zablokowały drogę, by zapobiec kolejnym wypadkom.

Mariel i Claire zaczęły schodzić w dół urwiska.

Urwisko było strome, ale one miały nadzieję.

Błękitny samochód nie zapalił się i nie wylądował na dachu. Karoseria była oczywiście powgniatana i podrapana. Obie kobiety dobrze wiedziały, że pasażerowie będą jutro obolali i posiniaczeni. Ale gorąca kąpiel w Pebble Beach rozgrzeje bolące mięśnie. Potem wypiją drinka przy płonącym kominku, zjedzą dobrą kolację w swoim apartamencie, przebrani -jeśli zechcą- w pizamy i szlafroki i pójdą spać.

Ale rodziców Alana nie rozgrzeje już ani gorąca kąpiel, ani ogień na kominku, ani herbata z rumem.

Złamana kolumna kierownicy wbiła się prosto w serce Gavina. Rosalind, choć nieprzytomna, na pierwszy rzut oka wydawała się cała i zdrowa, wystarczyło jednak spojrzeć na wielką ranę z boku jej głowy, by poznać straszliwą prawdę.

Gavin był martwy. Rosalind także.

A ich syn?

Żył, był przytomny i boleśnie świadom tego, co stało się z jego rodzicami. Zdawał sobie też sprawę z własnego położenia: tkwił w metalowej pułapce. Nie był w stanie się



poruszyć i wiedział, że już nigdy nie będzie czuł bólu. Wiedział, że jego ciało właśnie zaczęło umierać.

Doktor Alan Forrester zdawał sobie sprawę z tego, że został śmiertelnie ranny.

Uśmiechał się jednak do Claire ze swojej błękitnej metalowej trumny, jakby chciał jej powiedzieć, że wszystko jest w porządku.

Nic jednak nie powiedział, nawet nie otworzył ust, w obawie, że jeśli rozchyli wargi, chluśnie spomiędzy nich krew.

Zaciskał więc zęby i uśmiechał się tylko do żony przez strzaskaną przednią szybę. A ona uśmiechała się do niego, jakby wierzyła w to kłamstwo. A kiedy łożysko odkleiło się od jej macicy, Claire nie musiała patrzeć w dół, by wiedzieć, że to, co spływa jej po nogach, to krew, i także skłamała.

- Zaczęłam rodzić, Alanie. Pewnie zauważyłeś, że mam niewyraźną minę, to właśnie dlatego. Tak, przyznaję, to trochę boli. Ale to nic, kochanie. Nic! To tylko znaczy, że nasze dziecko jest już w drodze. Wybrało bardzo odpowiednią chwilę. Słyszysz syreny, prawda? Zaraz przyjadą tu karetki. I lekarze. Wyciągną cię z samochodu, a mnie pomogą urodzić nasze dziecko. Naszą dziewczynkę, która już nie może się doczekać, żeby zobaczyć swojego tatusia. Wkrótce będziesz mógł wziąć ją na ręce. Naszą małą Paige Elizabeth. Już niedługo.

Wybrali to imię parę tygodni temu i zamierzali powiedzieć o tym rodzicom podczas tego weekendu. Ale kilka kilometrów wcześniej Alan zdradził to babce i imienniczce córki - Rosalind Elizabeth Paige.

Alan chciał, by Claire wiedziała, jak szczęśliwa i wzruszona była Rosalind. I jak pełna obaw, ze względu na synową, którą szczerze pokochała. Czy dziecko nie powinno nosić też imienia po matce Claire? Czy Alan jest pewny, że Claire tego właśnie chce?

- Jestem zupełnie pewny - odparł Alan na chwilę przed wypadkiem. - Teraz to my jesteśmy rodziną Claire.

Wtedy wzruszenie nie pozwalało mu mówić, teraz była to krew, która podchodziła mu do gardła. Coraz więcej krwi. Nie był w stanie przełykać jej dość szybko i słabł z każdą chwilą. Strzaskaną szybę przed jego oczami zasnęła mgła, przesłaniając ukochaną twarz żony. Ale mimo to, jako doświadczony lekarz dostrzegł to, czego Claire nie potrafiła ukryć. Była blada, jakby i ona traciła krew. I ból, znacznie większy niż ten, do którego chciała się przyznać. I potworny strach.

Strach matki o los nienarodzonego dziecka.

Alan tkwił w pułapce. Słaby. Umierający.

Ale zdołał powstrzymać na chwilę wzbierającą falę krwi, by powiedzieć:

- Kocham cię, Claire. Kocham cię.

## Rozdział 1

*Centrum Medyczne Pacific Heights*

*San Francisco*

*Sobota, 2 listopada*

*Czasy obecne*

Gweneth Angelica St. James nigdy dotąd nie była w szpitalu. W każdym razie nic o tym nie wiedziała.

Najprawdopodobniej urodziła się pod gołym niebem, gdzieś na piaszczystych nadmorskich wydmach albo pod zielonym baldachimem pachnących sosen. Jej matka nie zostawiła jej tam. Pod koniec października noworodek nie zdołałby przeżyć, zwłaszcza że, jak powiedziały jej później zakonnice, przyszła na świat podczas burzy.

Jej matka, której nigdy nie poznała, szła pieszo w deszczu do klasztoru St. James, kiedy jakaś kobieta zaproponowała, że ją podwiezie. Ta sama kobieta oddała siostrze Mary Catherine nowo narodzoną dziewczynkę, niemowlę tak zdrowe, że nie było potrzeby, by zabierać je do szpitala.

I przez kolejne trzydzieści jeden lat życia Gwen, zawsze ciesząca się doskonałym zdrowiem, ani razu nie musiała iść do szpitala. Choć z pewnością miałyby do tego powód.

Chirurgia laserowa jest obecnie ogólnie dostępna. I daje świetne wyniki. Klinika Chirurgii Laserowej w Pacific Heights mogła poszczycić się tym, że stosuje się w niej zdobycze technologii, oraz zespołem cieszącym się światową sławą. Gwen nie znalazłaby lepszego miejsca, by zasięgnąć informacji na temat żmudnego zabiegu zamykania jednego mikroskopijnego naczynia krwionośnego po drugim, który w jej przypadku musiałby objąć jedną czwartą twarzy.

Nigdzie też zapewne zabieg taki nie przyniósłby rezultatów, które mogłyby zmienić jej życie.

Wystarczy zapytać. Tylko czy starczy jej na to odwagi?

W dniu, w którym przyszła do szpitala, dane jej było zobaczyć prawdziwą odwagę:

odwagę osiemdziesięcioletniej kobiety, babki i prababki.

Luise Johansson stoczyła zawziętą walkę z chorobą nowotworową. Poddała się w końcu, a jednak to ona odniosła w tej bitwie ostateczne zwycięstwo. Wracła do domu, by spędzić z rodziną ostatnie godziny, minuty i sekundy, jakie jej jeszcze pozostały.

Wnuczka Luise, Robyn, pracowała jako dźwiękowiec w stacji telewizyjnej FOX, w której stylistka i charakteryzatorka Gwen St. James przygotowywała spikerów do wystąpienia w popołudniowych i wieczornych wiadomościach.

Gwen wiedziała, że babka Robyn walczy z rakiem. Wszyscy w stacji o tym wiedzieli. Ale Robyn najwięcej mówiła Gwen, opisywała jej wszystkie zabiegi medyczne, wszystkie zmiany nastroju. Powiedziała jej też, jak bardzo wdzięczna jest lekarce, która od początku zajmowała się babką. Doktor Paige Forrester podtrzymywała Luise przy życiu dopóty, dopóki Luise chciała walczyć z chorobą. Utrzymanie chwiejnej równowagi między skutecznością chemioterapii a jej skutkami ubocznymi było trudnym zadaniem.

Ale tego dnia Luise wróci do domu, pod warunkiem, że uda się rozwiązać jej ostatni problem. Luise obawiała się bowiem, że wygląda zbyt przerażająco, by mogły ją zobaczyć prawnuki. Bardzo straciła na wadze, a skóra zwisała luźno z jej wychudłych policzków.

Może jednak nie powinna wracać do domu?

Robyn przysłała do Gwen po radę. Czy jest jakiś sposób, by dodać twarzy Luise trochę koloru, a jednocześnie nie sprawić, by wyglądała jak maska kłowna? Albo co gorsza, dodała Robyn cicho, jak umalowany trup?

I czy Gwen mogłaby dokonać sztuczki, która przyniosłaby efekt odwrotny do tego, jaki uzyskiwała często na twarzy głównej spikerki telewizji FOX, Madolyn Mitchell? Zastosować rzadko używaną technikę, której celem jest optyczne poszerzenie twarzy, a nie jej wyszczuplenie?

Gwen obiecała zrobić Luise makijaż. Zrobiłaby to, nawet gdyby nie mieszkała tak blisko szpitala. Tak się jednak składało, że jej mieszkanie znajdowało się w pobliżu, dosłownie dwie minuty od centrum. Przyjdzie więc, kiedy tylko Robyn ją o to poprosi.

Wszystko zostało więc zaplanowane. Najlepiej będzie, jeśli Luise zostanie z Gwen sama, między pierwszą trzydziestą a drugą. Później Robyn i doktor Forrester, która nie pracuje w weekend, ale przyjdzie specjalnie, by się pożegnać, do nich dołączą.

Bez względu na to, jak Luise będzie wyglądała z makijażem, wnuczka i lekarka postarają się namówić ją do powrotu do domu.

Gwen stanęła przed głównym wejściem do szpitala kwadrans po pierwszej. Ale to raczej obawa niż fakt, że przyszła za wcześnie, sprawiła, iż nagle zwolniła kroku. Nigdy nie

widziała nikogo umierającego na raka. Ani na żadną inną chorobę. Nie знаła też nikogo, kto wiedział, że jego życie w ciągu kilku godzin dobiegnie końca.

Gwen przysięgła sobie, że zrobi wszystko co w jej mocy, by ten ostatni dzień Luise był jak najlepszy. Jakkolwiek zakłopotana czy przerażona będzie się czuła, ukryje to.

Gwen umiała ukrywać swoje uczucia. Co prawda od chwili, kiedy ludzie zaczęli patrzeć na Gweneth St. James z zachwytem, minęło już szesnaście lat, jednak ciągle pamiętała twarze wyrażające litość, a nawet przerażenie.

Najgorzej było wtedy, gdy ktoś widział najpierw zdrową połowę jej twarzy, a Gwen czuła, że patrzący bardzo chce zobaczyć ją całą. A kiedy się odwracała, ukazując drugi policzek, zawiedzione oczekiwania sprawiały, że zaskoczenie było jeszcze większe... wręcz szokujące.

Cóż, Gwen nie oczekiwała miłego widoku. Przeciwnie, przez całą bezsenność noc wyobrażała sobie najgorsze. A nawet gdyby rzeczywistość przeszła jej wyobrażenia, Gwen nie okaże zaskoczenia. Nie skrzywi się z odrazą. To też sama kiedyś przerabiała.

Gdy Gwen znalazła się przed wejściem do szpitala, ktoś jeszcze nagle zwolnił kroku. Ta druga kobieta nie chciała być może znaleźć się przed szklanymi drzwiami w tej samej chwili co Gwen. Może zamierzała uniknąć nawet przypadkowego i krótkiego kontaktu z obcą osobą.

Nie, jednak nie o to chodziło. Kobieta zdawała się być zupełnie nieświadoma obecności Gwen, szła z pochyloną głową, zatopiona w myślach.

Była ubrana w jedwab i kaszmir. Kremowo-czarny komplet składający się ze spodni, bluzki i płaszcza. Na szyi miała perły. W tak eleganckim stroju mogłaby wejść w tym mieście wszędzie, gdzie tylko by zechciała. A coś w sposobie, w jaki się nosiła, sugerowało, że wszędzie byłaby mile widziana...

Nie wybierała się jednak na aukcję w Butterfield. Ani na wystawę biżuterii u Tiffany'ego czy pokaz mody. Ani na recital światowej sławy wiolonczelisty do Nob Hill.

Przyszła do szpitala. Pełna obaw. Może po to, by pożegnać umierającego dziadka, a może ojca, matkę, męża... albo dziecko.

A może jest pacjentką? Myśl ta przyszła Gwen do głowy, kiedy dostrzegła twarz nieznajomej, otoczoną świetnie ostrzyżonymi ciemnobrązowymi włosami. Włosy były gęste i lśniące twarz wydawała się szczupłą i bladą. Ciemnoniebieskie oczy patrzyły smutno. Może szła na oddział onkologiczny?

Gwen pierwsza dotarła do drzwi i otworzyła je szeroko.

- Och! - rozległ się głos, mówiący z eleganckim akcentem. - Dziękuję.

- Proszę bardzo - uśmiechnęła się Gwen. Jednocześnie ogarnął ją dziwny niepokój o tę nieznaną kobietę. Pomóżcie jej, powtarzała w duchu, kiedy elegancka kobieta przeszła przez hol i zniknęła w korytarzu. Niech jej ktoś pomoże.

Droga prowadząca z holu na oddział onkologiczny była krótka i wiodła przez jasno oświetlony korytarz o lśniących ścianach i błyszczącej podłodze, po której chodzili uśmiechnięci pracownicy szpitala. Przesłanie, jakie niesło to miejsce, było jasne jak słońce.

Oto jest dom życia, nie śmierci.

Nadziei, nie rozpaczy.

Pomoc zostanie tu udzielona każdemu, komu starczy odwagi, by o nią poprosić. I ją przyjąć.

Tak jak Luise Johansson, z którą Gwen zaraz się spotka.

Nie okaże żadnych emocji, przysięgła sobie. Bez względu na to, jak Luise wygląda.

A jednak Gwen nie potrafiła całkiem ukryć zaskoczenia.

Starsza kobieta nie leżała w łóżku. Przeciwnie, jej łóżko, tak jak w hotelu, zostało porządnie zasłane. Umeblowanie pokoju także przywodziło na myśl hotel, i to bardzo dobry. Podobnie jak widok rozciągający się z okna.

Luise zdawała się cieszyć jednym i drugim. Patrzyła na spokojne wody Pacyfiku, siedząc w wygodnym fotelu przy oknie.

Miała na sobie miękki szlafrok, a z jej kolan spływał na podłogę gruby, mięsisty pled.

A sama Luise? Była już tylko cieniem człowieka.

Ale jej oczy błyszczały, a blade wargi ożywiały przekorny uśmiech.

- Wyglądam jak dobrze utrzymany trup, prawda?

- Nie. Wcale nie wygląda pani... Wygląda pani ślicznie.

- Ha!

-Naprawdę!

- Ty jesteś pewnie Gweneth St. James, czarodziejka od makijażu? Sama nadawałabyś się na okładkę „Vogue'a"! Słowo daję, co za oczy. Mają kolor najprawdziwszych niezapominajek. A te włosy! Miedź! Robyn mówiła mi, że jesteś śliczna jak modelka, i miała rację.

Nie, nie miała racji.

- Ja... Tak, jestem Gwen, pani Johansson.

- Luise. Mów mi po imieniu, proszę. Robyn powiedziała mi też, że jesteś miła dla wszystkich, nawet dla... nie, zwłaszcza dla znękanych i opuszczonych. Widzę, że co do tego także miała rację. Mam tylko nadzieję, że nie będziesz tak miła, by próbować mi wmówić, że

nie potrzebuję makijażu.

-Nie potrzebujesz makijażu, Luise. Ale sądzę, że można dodać twojej twarzy trochę koloru. Malowanie się może być świetną zabawą.

- Więc bierz się do pracy! Zawsze przepadałam za wszystkim, co może być zabawne.

- Dobrze. - Gwen przysunęła sobie fotel i usiadła naprzeciw Luise. - Zobaczmy, jaki jest dziś twój naturalny kolor.

- Szary z domieszką zieleni.

- Nie, ja widzę coś zupełnie innego.

- Jak to możliwe?

- Wieść niesie, że potrafię dostrzec barwy ukryte.

- Prawdziwe kolory, które przeświecają przez skórę? A ty je tylko uwalniasz?

- Próbuję.

- Ciekawe. A skąd one się biorą, te prawdziwe kolory? Z serca? Z duszy?

- Tego nie wiem - odparła Gwen cicho. Ale sama się nad tym zastanawiała.

- A czy są ludzie pozbawieni koloru?

- Owszem, na przykład ja.

- Niektórzy mają w sobie więcej koloru niż inni. Na przykład ty, Luise. Poczekaj tylko, aż zobaczysz to wszystko, co tylko czeka, by wydostać się na powierzchnię. - Gwen patrzyła na Luise jeszcze przez chwilę, po czym zdecydowanie skinęła głową. - W porządku, mam już pewien plan. Najpierw troszkę nawilżymy...

- Moja skóra jest teraz taka sucha...

Gwen dotknęła pomarszczonej twarzy. Skóra była ciepła, żywa. I cienka jak papier. Bibułka naciągnięta na kości.

- Nie tak bardzo. Zawsze używam kremu nawilżającego. Na takim podkładzie makijaż trzyma się najlepiej. A teraz proszę zamknąć oczy i się odprężyć... I żadnego podglądania, dopóki nie skończę.

## Rozdział 2

- Babciu! - wykrzyknęła Robyn, stając w drzwiach pół godziny później. - Jesteś taka piękna!

- Och, bardzo wąpię.

-Nie widziałaś się jeszcze?

- Jeszcze nie - odparła Gwen, nie odrywając wzroku od Luise. Robyn podeszła bliżej.

- Poza tym surowo zabroniłam podglądania.

- To prawda! I choć przez całe moje długie życie na tym świecie byłam bardzo samowolna, w ciągu trzech lat walki z chorobą nauczyłam się posłuszeństwa. Prawda, Paige?

- Prawda - odezwał się inny głos, o arystokratycznym akcencie. -O rany, Luise, poczekaj tylko, aż sama to zobaczysz!

- Co nastąpi już za jakieś dziesięć sekund. - Gwen rzuciła ostatnie spojrzenie na twarz Luise i przeniosła wzrok na jej włosy. Robyn powiedziała jej, że biała jak śnieg grzywa zniknęła pod wpływem chemioterapii. Ale włosy odrosły, gęste i bujne. Niestety, wtedy wrócił też rak. Gwen zebrała białą gęstwinę, pozwalając jednak, by kilka pasm okalało twarz Luise. Potem, zadowolona z rezultatu, wyjęła spinkę podtrzymującą jej własne miedziane loki i spięła włosy Luise w luźny kok.

- To wszystko. W stylu Helen Hayes. Teraz możesz się zobaczyć.

Wyciągając lusterko z kosmetyczki, Gwen zerknęła w stronę Robyn i towarzyszącej jej lekarki-kobiety, której wcześniej przytrzymała drzwi. Ona także rozpoznała Gwen i uśmiechnęła się lekko.

- Cześć, Gwen. Jestem Paige.

- Cześć.

Pomóżcie jej. Niech jej ktoś pomoże. Gwen ciągle czuła przymus powtarzania w duchu tej prośby. Dlaczego? Doktor Paige Forrester sama pomagała innym. Była jedną z najlepszych. A obawa, którą dostrzegła w jej oczach Gwen? A może to smutek?

Nie było ich teraz, kiedy patrzyła na Luise.

Luise była jedną z wielu pacjentek Paige, jedną z wielu trosk. Na oddziale Ósmym Północnym leżeli też inni pacjenci, sale były ich pełne, a niektórzy znajdowali się też na oddziale intensywnej terapii. Nawet ci szczęściarze, którzy to sobotnie popołudnie spędzali w swoich domach, nadal zaprzętali jej myśli.

Ale dla Luise Paige skryła troskę na tyle, na ile było to możliwe bez makijażu. Trzeba by jednak zużyć wiele korektora, by ukryć zdradzające wyczerpanie, głębokie cienie pod oczami Paige. Pacjenci znali ten wyraz zmęczenia na jej twarzy. Robyn, pełna wdzięczności dla lekarki, powiedziała o tym Gwen. Może nawet cienie te dodawały im otuchy, były dowodem na to, że doktor Paige Forrester walczy dla nich przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Teraz Paige także walczyła, zachęcając pełną wahania Luise, by spojrzeła w lustro.

- Naprawdę warto, Luise.

- No dobrze. Och! O mój Boże. Chyba nie wyglądałam tak ładnie nawet w dniu ślubu. Gdyby twój dziadek mógł mnie teraz zobaczyć...Cóż, może zresztą zobaczy. Może ten makijaż przetrwa do chwili, kiedy znowu się spotkamy.

-Babciu...

Na dźwięk nabrzmiałego łzami głosu wnuczki Luise tylko pogodnie machnęła ręką, przy czym rozległ się cichy brzęk. Pierścionek i obrączki, które nosiła przez trzydzieści sześć lat małżeństwa i w czasie tych czterestu miesięcy, jakie minęły od śmierci jej ukochanego męża, teraz ruszały się luźno na jej wychudłym palcu.

- Czuję się tak, jakbym znów miała osiemnaście lat. Jak panna młoda cała w różach i odcieniach brzoskwini. Czy to są dzisiaj moje kolory?

- Tak myślę.

- Ja też. Czuję się wiosennie i jestem cała w skowronkach. - Pod makijażem policzki Luise zabarwił naturalny rumieniec. - Jesteś prawdziwym skarbem, Gwen.

- Nie, Luise, to ty nim jesteś.

- No dobrze. Dziękuję ci, moja kochana dziewczynko. Dziękuję wam wszystkim, kochane dziewczynki, za ten dzień. - Nie czekając na odpowiedź, znowu machnęła ręką, jakby chciała rozproszyć ich smutek. - Tak wiele otrzymałam. Żyłam pełnią życia. Dałam z siebie wszystko. Mogę szczerze powiedzieć, że niczego nie żałuję. Życzę takiego szczęścia i spokoju każdej z was.

Tym razem odpowiedziały jej trzy głosy, które cicho wyszeptały „dziękuję”. Luise przyglądała się w tym czasie twarzy Gwen tak uważnie, jak wcześniej Gwen patrzyła na nią.

Czy szukała jej koloru? I widziała pod powierzchnią tylko bezbarwność? Może. Ale kiedy Luise dotknęła policzka Gwen, jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Żyj pełnią życia, Gweneth St. James. I niczego nie żałuj. Kiedy jej dłoń opadła, Luise odwróciła się do Robyn i Paige.

- Moje panie, myślę, że na mnie już czas.

Gwen nie dołączyła do personelu oddziału Ósmego Północnego, który odprowadzał Luise do czekającego na dole samochodu Robyn. Została w pokoju Luise. Usiadła w fotelu przy oknie i patrzyła przed siebie wzrokiem zamglonym przez łzy.

Nie wiedziała, jak długo tak siedzi, kiedy od strony drzwi dobiegł ją cichy, teraz już znajomy, głos.

- Gwen?

Gwen nie spodziewała się, że Paige wróci na oddział i że zajrzy do pokoju Luise. W



ten weekend nie miała dyżuru, jak mówiła Robyn. Przyszła tylko, by się pożegnać.

Może powrót do pokoju pacjentki był takim ostatnim pożegnaniem? Może chciała usiąść w fotelu, tak jak Gwen, i wsłuchać się w głos niewidzialnego, a jednak tak wyraźnie obecnego tu jeszcze ducha. Może usłyszałyby, tak jak Gwen, że w powietrzu unosi się jeszcze cichy, ledwie słyszalny brzęk ślubnych obrączek?

Jeśli miała w zwyczaju samotnie żegnać się z pacjentami, dziś rytuał ten został zakłócony obecnością intruza o oczach pełnych łez.

Gwen szybko otarła twarz i odwróciła się.

- Paige. Cześć.

- Cześć.

- Lepiej już pójdę.

- Nie, Gwen, zostań. Nie odchodź z mojego powodu. Ale... może mogłabym się do ciebie przyłączyć?

Wydawała się tak niepewna, a jednocześnie pełna nadziei, jakby chciała dzielić z Gwen tę chwilę pożegnania.

- Oczywiście, Paige.

- Dziękuję. - Paige usiadła w fotelu Luise i powiedziała to, co powiedziała w tej chwili Luise: - Nie bądź smutna, Gwen. Ona nie chce, żebyśmy się smuciły.

Ale ty, Paige, jesteś taka smutna. Kiedy Robyn opowiadała o doktor Forrester, nie mówiła nic o smutku. Ani o zatroskaniu. Ani o przygnębieniu. W opowiadaniach Robyn Paige zawsze była pogodna. Ale była to najwyraźniej maska zakładana przez nią na użytek pacjentów i ich rodzin.

- Trudno się nie smucić.

- To prawda. Ale pomyśl, jak piękny prezent jej ofiarowałeś, Gwen.

- Nie ja, Paige, ty. - Ale to widocznie nie dosyć. W oczach Paige znowu pojawił się wyraz zagubienia. Jakby sądziła, że nawet dając z siebie wszystko, daje zbyt mało. Jakby czuła, że powinna była zrobić więcej. Pomóżcie jej. Niech jej ktoś pomoże. - Musisz być wykończona.

- Tylko trochę zmęczona. Pewnie to widać. Nie spałam wiele ostatniej nocy.

Ani poprzedniej, pomyślała Gwen. Ani w ciągu wszystkich tych nocy spędzonych na doglądaniu pacjentów.

- Możesz iść do domu i trochę się przespać?

- Tak, ale najpierw wstąpię do mojej matki. Obiecałam jej, że będę za... - Paige spojrzała na zegarek. - Za pięćdziesiąt minut.

- Obietnice, których zawsze trzeba dotrzymywać - mruknęła Gwen. - Nawet gdy trzeba iść za góry, za lasy?

-Nie, to tylko trzy przecznice stąd.

- A od niej do ciebie?

Na twarzy Paige pojawił się znużony uśmiech.

- Te same trzy przecznice w drugą stronę. Mieszkam w kondominium naprzeciwko głównego wejścia do szpitala. Ty też mieszkasz w pobliżu, prawda?

- Tak, ale skąd ty... och, no tak, Robyn.

- Robyn - potwierdziła Paige. - Która należy do fanklubu Gwen St. James.

- A także do fanklubu Paige Forrester. Rzeczywiście, mieszkam w pobliżu, w Belvedere Court. Chyba jestem jedyną lokatorką, która nie pracuje w tym szpitalu.

- Od dawna tam mieszkasz?

- Od siedmiu lat. To kawałek drogi od stacji. Ale dojeżdżam poza godzinami szczytu. Zaczynam o trzeciej, a do domu wracam po północy. Ale nawet gdybym miała znacznie trudniejszy dojazd, i tak bym się nie przeprowadziła. Uwielbiam Pacific Heights. Te domy, te widoki, tę atmosferę. A ty?

- O tak, oczywiście. Chociaż pewnie nie doceniam tego wszystkiego tak, jak powinnam. Chyba jestem bardzo zepsuta. Tu dorastałam, więc takie widoki wydają mi się czymś zwyczajnym. - Paige wskazała dłonią w stronę okna. Z gałęzi drzew spadały liście, a w oddali, zmarszczona wiatrem powierzchnia oceanu migotała w słońcu. - To naprawdę wspaniałe.

- Tak - odparła Gwen. Wiedziała, że o Paige Forrester można powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że jest zepsuta. Robyn mówiła, że Paige jest jedyną spadkobierczynią „ogromnej fortuny Forresterów” i „mogłaby nic nie robić, tylko rozbijać się po świecie odrzutowcem”. Zamiast tego harowała jak wół przy swoich pacjentach.

Ani trochę nie zepsuta, pomyślała Gwen w ciszy, która zapadła, gdy obie patrzyły w okno.

W tej chwili miłego spokoju Paige pomyślała to samo o Gwen, również przypominając sobie to, co powiedziała jej rozmowna z natury Robyn. Gwen St. James mogłaby być zepsuta. Z jej urodą i talentem... Ale nie była. Była natomiast uważna i zawsze chętna, by poświęcić swój czas tym, którzy tego potrzebowali. W przeciwieństwie do telewizyjnej „primadonny”, Madolyn Mitchell, która odzywała się do członków ekipy produkcyjnej tylko wtedy, kiedy czegoś chciała albo była niezadowolona.

Nie ulegało wątpliwości, że Gwen znacznie przewyższa Madolyn urodą. Zdaniem Robyn Gwen miała też większy talent, była prawdziwą artystką. Fakt, że dzięki niej nieznośna

Madolyn tak dobrze wyglądała na ekranie, był tego najlepszym dowodem. Madolyn po prostu umiała przeczytać wiadomości i nic poza tym.

Gwen „można było powiedzieć wszystko”. Zawsze okazywała szczere zainteresowanie i była bardzo dyskretna. Wszyscy się jej zwierzali. Kobiety, mężczyźni, spikerzy, łącznie z Madolyn, a także pracownicy produkcji.

Ale zwierzanie się Gwen było jak ulica jednokierunkowa. Owszem, przyznała się, że ma chłopaka, Davida, z którym była „od zawsze”. I to wszystko, co wiedziano o Davidzie. Poza tym, co oczywiste: Gwen była z nim tak szczęśliwa, że nie miała trosk, którymi mogłaby się z kimś podzielić.

Ale Paige czuła, że to nieprawda.

- Jak to miło, że zwierzyłaś się Luise - powiedziała. - Jestem pewna, że bardzo jej to pochlebiło.

- Nie zwierzyłam się Luise.

- Och... Słyszałam, co do ciebie powiedziała, i sądziłam, że jej słowa miały jakieś ukryte znaczenie.

„Niczego nie żałuj. Żyj pełnią życia”.

- Bo tak było - powiedziała tylko Gwen. Paige nie spodziewała się niczego więcej i była zbyt dobrze wychowana, by się dopytywać. Ale...- Zupełnie jakby wiedziała o tej plamie. Tu, na policzku. Tam, gdzie mnie dotknęła. Na całym policzku.

- Masz znamię?

-Tak.

- Pewnie w dzieciństwie było ci ciężko z tym żyć? Wtedy nie stosowano jeszcze zabiegów laserowych, a o ile pamiętam, inne techniki nie przynosiły spodziewanych rezultatów, a mogły doprowadzić do powstania trwałych blizn.

- Kiedy byłam dzieckiem, w ogóle o tym nie myślałam. Znamię nie było problemem, dopóki nie skończyłam trzynastu lat i nie wyprowadziłam się z klasztoru.

- Z klasztoru?

- Matka zostawiła mnie w klasztorze zaraz po moim urodzeniu. Nie wiem, dlaczego mnie nie chciała. Może z powodu tego znamienia, a może była po prostu przerażoną nastolatką, która oddałaby dziecko ze znamieniem czy bez. Ale wiem, że miałam szczęście, że wybrała St. James. Zakonnice na chrzcie nadały mi imię Angelica, Angel, i powiedziały, że to znamię to znak bożego błogosławieństwa. Wierzyły w to. Ja też w to wierzyłam. Podobnie jak inne dziewczynki, które chodziły do szkoły przyklasztornej. Nie znaczyłam dla Boga więcej niż one. Zakonnice nie miały co do tego wątpliwości. Ale nie znaczyłam też dla niego mniej.

- Mądre były te zakonnice.
- To były bardzo dobre kobiety. Dzięki nim miałam szczęśliwe dzieciństwo.
- Ale kiedy skończyłaś trzynaście lat, coś się wydarzyło.
- Tak. Ale... naprawdę cię to interesuje?
- Naprawdę.

- Cóż. Dobrze. Kiedy zamknięto klasztor, mogłam przeprowadzić się wraz z zakonnicami do Nowego Meksyku albo zostać w Kalifornii i zamieszkać w San Francisco, pod opieką państwa. Wybrałam to drugie.

- Mimo to, że czułaś się szczęśliwa z zakonnicami?

- Mimo to. Ale wtedy była to łatwa decyzja. Myślałam, że czeka mnie wspaniała przygoda, szansa, by mieć prawdziwą rodzinę i przyjaźnić się nie tylko z dziewczynkami, ale też z chłopcami. Gdyby ktoś mi wówczas powiedział, że nikt nie będzie chciał się ze mną przyjaźnić, nie uwierzyłabym. Byłam taka pewna siebie, ufna, dzięki temu, co wpajały mi zakonnice. Mówiły, że jestem taka sama jak inni, tylko że poza tym mam jeszcze na sobie znak dany od Boga. Nie muszę chyba mówić, że świat poza murami klasztoru daleki był od tego, czego oczekiwałam.

Gwen urwała, kiedy wspomnienia beztrioskiego dzieciństwa pochłonęła nagle rzeka bólu. Niewiele brakowało, a utonąłaby w niej, tak jak kiedyś. Teraz jednak patrzyła na to z dystansu osiemnastu lat, który pozwolił jej znieść tę falę bólu.

- Nauczyłam się - podjęła po chwili - że w doborze potencjalnych przyjaciół czy partnerów prawie wszystkie żyjące istoty kierują się wrażeniem, które powstaje w czasie pierwszych piętnastu sekund. Wtedy decyduje się, czy będą odczuwały do innej istoty odrazę, czy sympatię. To się już na ogół nie zmienia. To naturalny instynkt. Jedyne sposoby, by zapewnić przetrwanie gatunku. Oczywiście istoty ludzkie zdają sobie sprawę, że nie zawsze należy oceniać książkę po okładce. Ale jeśli okładka jest odstręczająca, nawet najbardziej rozmiłowany w lekturze czytelnik zazwyczaj nie ma ochoty, by sprawdzić, co jest w środku... Chyba że książkę poleci mu ktoś w jego oczach godny zaufania.

Gwen wzięła głęboki oddech, wypuściła powoli powietrze i znów zanurzyła się w burzliwych wodach wspomnień.

- Tym właśnie byłam, dziewczyną o odstręczającej okładce, która nie miała nikogo, kto mógłby zarekomendować jej wnętrze.

- To musiało być trudne.

- Bardzo. Nastolatki potrafią być bardzo okrutne. Wyraźnie dawały mi do zrozumienia, że moja obecność obraża ich poczucie estetyki. Jakim prawem zatruwam ich szkołę?

Wydawałam im się tak straszna, że nawet inne odrzucane przez środowisko dziewczynki - te za grube, za chude, albo po prostu inne - unikały mnie, w obawie, że jakikolwiek kontakt ze mną jeszcze bardziej pogorszy ich sytuację. Na początku byłam tylko zdumiona. Tak bardzo, że zupełnie nie wiedziałam, o co chodzi. Ale wkrótce, kiedy minął pierwszy szok, moje zdumienie zmieniło się w gniew. Doszłam do wniosku, że zakonnice mnie okłamały. Nabrały mnie. Oczywiście ta Angel, którą wychowały w poczuciu własnej wartości, podeszłaby do koleżanek i wyjaśniła, że nie jest żadnym potworem, że zamię nie jest zaraźliwe i że miałyby szczęście, gdyby zechciała zostać ich przyjaciółką. Ale tej Angel już dawno nie było. Stałam się potworem. I tak się czułam. Byłam nawet skłonna uwierzyć, że fioletowy znak na mojej twarzy może być zaraźliwy. Czemu nie? Wszystko, co mówiły zakonnice, było kłamstwem. Byłam w kilku rodzinach zastępczych i w kilku szkołach, aż w końcu wylądowałam w domu opieki dla trudnych nastolatków. W porównaniu z nimi nie byłam właściwie „trudna”, czy też raczej może powinnam powiedzieć, że nie miałam powodu, żeby taką być. Wtedy jednak nie zdawałam sobie sprawy z tego, ile miałam szczęścia, że dorastałam otoczona taką miłością. W tym czasie wojowałam z całym światem.

- W tym czasie - wtrąciła się Paige - miałaś tylko trzynaście lat i czułaś się zraniona.

-Wtedy miałam już czternaście i czułam się jeszcze bardziej zraniona. Jestem towarzyska i zawsze taka byłam. Z każdym dniem wyobcowania czułam się coraz gorzej. Kto wie jak i gdzie mogłam skończyć? Ale w tym domu dla sponiewieranych nastolatków uratowała mnie najbardziej sponiewierana dziewczyna spośród nich wszystkich. Nie mam pojęcia, co musiała wycierpieć, ale jestem pewna, że były to straszne rzeczy. Myślę, że musiała być molestowana seksualnie, bo robiła wszystko, by nadać sobie jak najbardziej odrażający wygląd. Podczas gdy normalne nastolatki marzą o nowych ciuchach, ona pokrywała ciało tatuażami i wkłuwała w nie kawałki metalu. Tylko że nie robiła tego, by wyglądać modnie, ale by się ukryć. Nic dziwnego, że intrygowało ją moje zamię. To nie znak bożej łaski, powiedziała, ale ślad po szponie szatana. Natychmiast zorientowała się, że sam widok tego znamienia dawał mi jedyną rzecz, na jakiej jej zależało - odstręczał ludzi. Zgodziłam się, kiedy postanowiła pomalować cały swój prawy policzek na fioletowo i przez pewien czas udawałyśmy przed światem, że jesteśmy bliźniaczkami. Dotyczyło to, także naszych imion. Zapytała mnie, czy i ona może nazywać się Angel.

- Chciała stać się tobą?

- Nie, Paige. Chciała tylko być kimś innym. Kimkolwiek. Mówiła też, że podoba jej się ironia zawarta w wizji anioła dotkniętego przez szatana. Tym właśnie była, niezmierną istotą zniszczoną przez zło. Udawała, że jest twarda, ale tak naprawdę była krucha i delikatna.

Chciała od nowa stworzyć siebie. Uwolnić się. Tak jak ja. Przyszło mi do głowy, że mogłabym ukrywać znamię pod makijażem. Ale brakowało mi odwagi i wiedzy, jak to zrobić. Może w końcu bym do tego doszła. Ale ona się na tym znała. Musiała się na tym znać. Była tak ładna, że choć cała była w tatuażach i agrafkach, mężczyźni ciągle się na nią gapili. Poprosiłam ją, żeby pokazała mi, co potrafi. Nie chciała. Teraz to rozumiem. Zrobiła to jednak. Uczyła mnie, pomagała, ocaliła mnie... I zmarła po przedawkowaniu heroiny kilka dni po tym, jak dowiedziałam się wszystkiego.

- Nie jesteś odpowiedzialna za jej śmierć!

Gwen także to sobie powtarzała. Ale czy z przekonaniem? Słowa Paige, wypowiedziane z taką pasją, były jak balsam na jej ranę.

- Cóż - przyznała Gwen - to nie był jej pierwszy raz. Pozostaje jednak faktem, że ona bardzo mi pomogła, a ja nie zdołałam pomóc jej. Może gdybym nie była tak skoncentrowana na sobie, może gdybyśmy jeszcze przez tydzień czy dwa były bliźniaczkami, otworzyłaby się przede mną. Nie wiem. Nigdy się tego nie dowiem. Tamtej wiosny zapisałam się do nowej szkoły. Miałam nową twarz i nowe imię. Jej imię. To był wielki sukces, dzięki temu, czego nauczyła mnie Gweneth, prawdziwy anioł.

- Podobało ci się tam?

- Było cudownie. Ale wiedziałam, że jestem oszustką, i to nie dawało mi spokoju. W końcu przekonałam samą siebie, że moje życie może być takie jak w klasztorze, gdzie miałam przyjaciół, a jednocześnie byłam sobą. Sądziłam, że moje nowe przyjaciółki pozostaną przyjaciółkami, nawet jeśli pokażę im swoją prawdziwą twarz. To nie będzie miało dla nich znaczenia. Postanowiłam, że uczczę swoje piętnaste urodziny, idąc na szkolną zabawę Halloween bez przebrania.

- Ale dla twoich „przyjaciółek” to miało znaczenie.

- I to wielkie. Zbyt wielkie. Wróciłam do szkoły, do której chodziłam rok wcześniej. Nie chciałam, ale nie miałam wyboru. Zaliczyłam już wszystkie szkoły, do których mogłam chodzić. I okazało się, że nikt tam nie rozpoznał we mnie dziewczyny z fioletowym policzkiem.

- A twoje włosy? Oczy? Ty?

- Kiedy nie ukrywam się pod makijażem, widać tylko znamię. Nic dziwnego, wracamy do książki i okładki. Jeśli odstręczyła cię okładka, nie pamiętasz tytułu. To była dla mnie ważna lekcja. Postanowiłam wtedy zawsze chodzić umalowana.

- I dotrzymałaś tego postanowienia, dopóki nie skorzystałaś z chirurgii laserowej?

- Nie skorzystałam z chirurgii laserowej.

- Znamię samo zbladło?
- O nie. Ciągle je mam. Ale kosmetyki są coraz lepsze, w tym także korektory. Teraz wystarcza tylko cienka warstwa.
- Niewiarygodne. Naprawdę ciągle masz to znamię?
- Naprawdę. - Gwen uśmiechnęła się, po czym zmarszczyła brwi, jakby się nad czymś zastanawiała. - Chcesz zobaczyć?

### Rozdział 3

- Tak - odparła Paige - chcę. - Dobrze. - Gwen wyciągnęła z kosmetyczki paczkę chusteczek higienicznych. Odsunęła włosy z twarzy i związała je gumką. - Zobaczysz coś, czego nie widział nikt od tamtej szkolnej zabawy szesnaście lat temu.

- Nikt? Ale sądziłam, że...

- Że mam chłopaka o imieniu David?

- Tak. A on tak cię kocha, że, zdaniem Robyn, nie masz kłopotów, z których mogłabyś się zwierzać.

- To fikcja, Paige, Wymyślona postać. Nigdy nie było żadnego Davida... ani żadnego innego mężczyzny.

- Ale - powiedziała Paige cicho - jest łatwiej, kiedy wszyscy myślą, że on istnieje.

- Tak, łatwiej jest kłamać. Dużo łatwiej. - Gwen była ciekawa, kiedy i jak Paige dokonała tego odkrycia. Przez chwilę miała wrażenie, że Paige jej to powie.

Ale Paige była skoncentrowana na Gwen.

- Znamię na twarzy nie wyklucza miłości.

- Oczywiście, że nie. W przypadku innych. W moim przypadku wyklucza. Przez dwa lata żyłam jak parias. Kiedy wreszcie znalazłam sposób, by ludzie zaczęli mnie akceptować, nie miałam zamiaru ryzykować. Poza tym, kiedy miałam piętnaście lat, w ogóle nie myślałam o miłości.

- A później?

- Też nie. Patrzyłam na mężczyzn jak na nieosiągalnych przyjaciół, kochanków, przez tak długi czas, że nigdy nawet nie przyszło mi na myśl, by widzieć w nich coś innego.

- A co oni widzą w tobie?

- Cóż, kilku z moich przyjaciół twierdziło, że byliby zainteresowani czymś więcej. Ale niewiele ryzykowali, skoro myślą, że jestem zakochana w nieistniejącym Davidzie. Ja też niewiele ryzykuję, udając, że także mogłabym być zainteresowana. „Udawać” to słowo klucz. Maski na twarzy ułatwia udawanie. Mogę być, kim tylko zechcę, a przede wszystkim mogę nie być sobą. A kiedy maska spada... - Gwen otworzyła paczkę chusteczek. - No dobrze. Tak to wygląda.

Kilkoma dobrze wyćwiczonymi ruchami starła korektor, ukazując ciemne fioletowe znamię pokrywające cały policzek.

- Zdumiewające - szepnęła Paige.

Ale nie przerażające. Nie budzące litość. Paige była po prostu zaciekawiona. Tak bardzo, że przysunęła się bliżej.

- Skóra jest bardzo gładka.

- To rzeczywiście nietypowe, co odkryłam, kiedy postanowiłam poszukać informacji o znamionach w Internecie. Było to cztery miesiące temu. Okazało się wtedy, że istnieje coś takiego jak chirurgia laserowa, a poza tym dowiedziałam się więcej o samych znamionach. Wiem, że z czasem ich wygląd się pogarsza. Skóra na ogół staje się grubsza, nierówna, a na jej powierzchni pojawiają się pęcherze, które pękają i krwawią.

- Sądzę, że gładka skóra jest bardziej podatna na działanie lasera.

- Mnie też się tak wydaje, zwłaszcza że najlepsze rezultaty osiąga się u dzieci, zanim skóra zaczyna się zmieniać.

- Tak ci się wydaje, ale nie wiesz tego? Nie byłeś u żadnego specjalisty?

- Jeszcze nie.

- Dlaczego? - spytała Paige i zaraz sama sobie odpowiedziała na to pytanie. - Boisz się rozczarowania.

- Tak, ale nie chodzi o rozczarowanie efektami terapii. Sądzę, że byłyby zadowalające. Mogłabym raczej być bardzo rozczarowana sobą, tym jak radziłabym sobie z przyzwyczajeniem się do nowej twarzy. Jeśli w ogóle byłabym w stanie się przyzwyczać.

- Przecież byłabyś tą samą Gwen, jaką teraz widzi świat.

- Wyglądałabym tak samo, ale ta Gwen, która od szesnastu lat nosi maskę, jest taką samą fikcją jak David.

- Ale przecież ty sama wiesz, kim jesteś.

- Tak, Paige, wiem. Jestem dziewczyną w masce, która szesnaście lat temu postanowiła resztę życia spędzić w przebraniu. Wiem, jak się czułam, kiedy znamię było ukryte. Szczęśliwa. A kiedy je odsłoniłam... Cóż, dwa razy przerobiłam tę bolesną lekcję. To



była słuszna decyzja. Maską spełniła swoje zadanie.

- Jesteś szczęśliwa - powiedziała Paige. - Masz wielu przyjaciół.

- Byłam bardzo szczęśliwa. I jestem. Właśnie dlatego to takie dziwne, że nagle zaczęłam grzebać w Internecie. Moje życie było dobre, szczęśliwe, spokojne. Nadal takie jest, tylko że teraz moja łódź zaczęła się chybotać. Ja ją rozhuśtałam. Na powierzchni spokojnej wody pojawiły się fale. A teraz... Dwa miesiące temu postanowiłam popłynąć z jedną z tych fal. I odszukać moją matkę.

- Podjęłaś tę decyzję z powodu tych poszukiwań w Internecie?

Gwen skinęła głową.

- Oczywiście przedtem też czasami o niej myślałam, choć nigdy mi jej nie brakowało, w każdym razie nie świadomie. Miałam cały klasztor kochających matek. Nadal mi jej nie brakuje albo nie zdaję sobie sprawy z tego, że jest inaczej. Ale martwię się o nią. Może była tak skrzywdzoną tak wrażliwa i krucha jak Gweneth? Może ciągle dręczy ją poczucie winy z powodu tego, i że mnie porzuciła? Może nawet obwinia siebie o to, że urodziłam się ze znamieniem? Wiem, że takie znamiona powstają w życiu płodowym. W pierwszym trymestrze ciąży, tak było napisane w pewnym artykule. I nic, co ciężarna kobieta robi, czy czego nie robi, nie ma na to wpływu. Ale ona może uważać, że to jej wina i że skazała mnie na życie tak nieszczęśliwe, jak jej.

- Chciałabyś ją zapewnić, że to nieprawda?

- Bardzo. Ale jest mało prawdopodobne, bym kiedykolwiek miała okazję to zrobić. To nie ona zostawiła mnie w klasztorze. Zrobiła to jakaś inna kobieta, która poznała moją matkę, rozmawiała z nią.

- Próbowłaś się z nią skontaktować?

- Jeszcze nie. Pewnie nigdy tego nie zrobię. Jestem pewna, że siostra Mary Catherine, zakonnica, która przyjęła mnie do klasztoru, nie знаła jej nazwiska. Ale może ta kobieta wspomniała siostrze Mary Catherine o mojej matce? - Gwen wzruszyła ramionami. - A może nie.

-Nie pytałaś jej?

-Nie. Kiedy mieszkałam w klasztorze, nie miało to dla mnie znaczenia, a odkąd zakonnice przeprowadziły się do Santa Fe, nie kontaktowałam się nimi. Oczywiście nie tak miało być...

Gwen i zakonnice obiecały pisać do siebie. Jednak tylko zakonnice dotrzymały przyrzeczenia. Pisały do swojej Angel, pisały nawet wtedy, kiedy stało się jasne, że nie będzie odpowiedzi. Gwen nie czytała tych listów, ale dziewczyna pozostająca w stanie wojny z

całym światem układała w myślach gorzkie, pełne nienawiści odpowiedzi.

Nigdy jednak nie przelała tego jadu na papier. W głębi duszy wiedziała przecież, ile miała szczęścia, że otrzymała w dzieciństwie tyle miłości. A kiedy już była w stanie to przyznać, a zamię zostało ukryte pod korektorem? Wtedy powinna była napisać do zakonnic. Podziękować im.

Ale tego nie zrobiła. Bo nie była już Angel, którą znały. Dziewczyną, idącą śmiało przez życie, szczerą i otwartą.

- Dwa miesiące temu napisałam do siostry Mary Catherine. Wiem, że list doszedł, wysłałam go poleconym. Ale dotąd nie otrzymałam odpowiedzi.

- Ale dostaniesz ją, prawda?

- Tak, jestem pewna. I to będzie bardzo miłe.

- Zastanawiam się...

- Nad czym, Paige?

- Czy to swoją matkę chcesz zapewnić, że wszystko u ciebie w porządku, czy siostrę Mary Catherine.

- Może i siostrę - przyznała Gwen. - Ale ją już o tym zapewniłam w liście, który do niej wysłałam. - Gwen westchnęła i dodała szybko: -To wszystko musi ci się wydawać takie trywialne. Nie to, że chcę uspokoić matkę, tylko moje niezdecydowanie co do terapii laserowej. To takie błahe w porównaniu z problemami, z którymi ty codziennie masz do czynienia. Pewnie wydają ci się strasznie skoncentrowana na sobie.

- Skądże. Twoje problemy są inne, ale na pewno realne. I wcale nie wydają mi się błahe. Perspektywa odsłonięcia przed światem prawdziwego ja jest niepokojąca. Przerazająca.

- Cóż, cieszę się, że tak uważasz. I to bardzo miło z twojej strony, że słuchałaś mnie z takim zainteresowaniem.

Paige rzeczywiście słuchała z takim zainteresowaniem, jakby niczego innego nie miała ochoty robić w to sobotnie popołudnie, jakby nigdzie indziej nie chciała i nie musiała być.

- Och, Paige! - Wykrzyknęła Gwen. - Patrz, która godzina! Tyle czasu już zawracam ci głowę, a ty jesteś zbyt uprzejma, żeby mi przerwać. Powinnaś była już wyjść jakieś dziesięć minut temu.

Paige spojrzała na zegarek i zmarszczyła brwi. Nigdy dotąd nie traciła poczucia czasu. Zdumiewające. Tak niezwykle jak jej decyzja, by przyłączyć się do Gwen. Dobrze się z tym czuła. Cieszyła się, że to zrobiła.

- Wszystko w porządku, Gwen. Nie jestem spóźniona. To tylko trzy przecznice stąd. Ale chyba istotnie powinnam już iść.

Chociaż wcale nie chcesz, pomyślała Gwen. Chociaż się tego boisz. Ale Paige już podnosiła się z wysiłkiem, jakby przygniatał ją jakiś ciężar, i Gwen znowu zapragnęła, by ktoś pomógł Paige Forrester. Jediną osobą, która w tej chwili mogła to zrobić, była Gwen. Mogła zaproponować tylko jedno.

- Ja też powinnam już iść. Możemy pójść razem.

Była to luźna propozycja. Gwen nie spodziewała się, że zostanie przyjęta. A jednak...

- Byłoby wspaniale, Gwen. Dziękuję.

- Zazwyczaj schodzę po schodach do oszklonego przejścia między budynkami - powiedziała Paige, kiedy wyszły już z pokoju Luise - żeby się trochę poruszać. Nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie. Sama zazwyczaj wybieram schody.

- Świetnie.

Wejście do klatki schodowej znajdowało się w holu przy windach. Paige ruszyła szybko przed siebie i odezwała się dopiero, kiedy się tam znalazły.

- O, nie.

W jej głosie pobrzmiwała nuta irytacji, jakby chciała się skarcić za to, że o czymś zapomniała.

- O co chodzi, Paige?

- Obawiam się, że będę musiała usiąść. - Oparła się o ścianę i osunęła powoli na podłogę. - Cholera...

Gwen przyklękła obok i spojrzała na jej pobladłą twarz, zroszoną zimnym potem skórę, usta z trudem chwytające powietrze.

- Sprowadzę pomoc.

- Nie! - Paige uśmiechnęła się wysiłkiem. - Nic mi nie jest. Wszystko. .. będzie... w porządku.

- Mogę ci jakoś pomóc?

-Nie. -Z twarzy Paige zniknął uśmiech. Zamknęła oczy, jakby zbierała resztki energii do walki z niewidzialnym wrogiem. - Samo przejdzie.

## Rozdział 4

Ale nie przeszło, ani trochę, choć wydawało się, że siedzą tam już całą wieczność. W końcu ktoś je zauważył i sprowadził pomoc.

Hol rozdzielał dwa oddziały, onkologiczny i chirurgii urazowej, z przylegającymi do nich oddziałami intensywnej terapii. Oddziały intensywnej terapii znajdowały się za zamkniętymi drzwiami bez szyb, ale wejścia na onkologię i chirurgię były otwarte, a z ich korytarzy dobrze widać było cały hol - poza niewielką wnęką, w której schroniła się Paige, kiedy zrozumiała, że musi usiąść, a schody są za daleko.

Wnęka była jednak widoczna dla tych, którzy wsiadali i wysiadali z wind, i gdyby nie fakt, że było sobotnie popołudnie, panowałby tu nieustanny ruch.

W końcu z windy, która się właśnie zatrzymała, nadeszła pomoc w postaci ubranej w różowy uniform młodej wolontariuszki.

- Doktor Forrester!

Paige otworzyła oczy i poznała dziewczynę, która w weekendy pomagała pacjentom i personelowi z ósmego piętra.

- Cześć, Shirley. Wszystko w porządku.

- Och, chyba nie! Doktor Ransom ma teraz obchód.

- Nie potrzebuję...

- Pójdę po niego.

- Nie, nie przyprowadzaj Cole'a.

Ale Shirley już nie słuchała. Wcisnęła metalowy przycisk, otwierający drzwi oddziału intensywnej terapii.

Paige znowu zamknęła oczy, ciągle walcząc ze słabością, która kazała jej usiąść. Rozmowa z upartą Shirley jeszcze bardziej ją wyczerpała.

Gwen obserwowała jednocześnie Paige i drzwi prowadzące na oddział, które otworzyły się już po krótkiej chwili.

Czarnowłosy chirurg miał na sobie niebieskie spodnie, stetoskop i biały fartuch z kieszenią na lewej piersi. Pod kieszonką widniał napis CHIRURGIA URAZOWA, a pod nią LEK. MED. COLE RANSOM.

Wydawał się jednocześnie energiczny i spokojny.

- Paige? - powiedział cicho, klękając.

Palcami odnalazł miejsce na jej szyi, w którym mógł zbadać tętno.

Gwen zobaczyła jednak, że to mu nie wystarczyło. Chciał sprawdzić coś jeszcze, cokolwiek to było, i delikatnie wsunął wprawną dłoń w rękaw kaszmirowego płaszcza Paige.

Gwen w pierwszej chwili pomyślała, że chce zmierzyć jej puls na nadgarstku.

Ale doktor Cole Ransom nie zatrzymał się przy nadgarstku Paige, szukając czegoś dalej, wyżej, na jej przedramieniu.

Czego? Gwen nie miała pojęcia.

Pozwól, by cię zbadał, Paige. Pozwól, by się tobą opiekował. On się o ciebie martwi.

Tylko że, zrozumiała nagle Gwen, Paige nie chciała, żeby Cole ją badał. Ani by się nią opiekował.

Paige wyraźnie powiedziała to Shirley. Nie przyprowadzaj Cole'a. Bez skutku. A kiedy chirurg wyszeptał jej imię, zeszywniała.

Teraz Paige otworzyła oczy i mimo wyczerpania odsunęła się od niego zdecydowanie.

- Czuję się świetnie, Cole.

Chirurg uniósł ręce w geście rezygnacji. Ale ciągle był zaniepokojony.

- Nie czujesz się świetnie, Paige.

- Owszem, czuję się całkiem dobrze. Schyliłam się, a potem za szybko się podniosłam i trochę zakreśliło mi się w głowie, więc postanowiłam usiąść. To nic groźnego.

- Nigdy nie wiadomo. –Ja to wiem.

- Jeśli nie chcesz, żebym to ja cię badał, pozwól, że przyprowadzę kogoś innego.

- Nie potrzebuję badania. Wystarczy, że posiedzę tu jeszcze pół minuty.

- I co wtedy?

- Wtedy - powiedziała nagle Gwen - Paige i ja pójdziemy dalej.

Kłęczał tuż obok Gwen. I przez cały czas była tak bardzo świadoma jego obecności. Jego głosu, rąk, sposobu, w jaki delikatnie dotykał Paige.

On oczywiście też zdawał sobie sprawę z obecności Gwen, choć zapewne mgliście. Założył pewnie, że wychodziła z windy, może wraz z Shirley, i została z Paige, kiedy wolontariuszka poszła po pomoc.

Cokolwiek zakładał, musiał zmienić zdanie, kiedy Gwen wtrąciła się do rozmowy.

Odwróciła się i spojrzał na nią.

-A ty jesteś...

Dziewczyną w masce. Która przysięgła sobie już nigdy nikomu nie pokazywać oszpeconej twarzy.

Fakt, że Gwen pokazała Paige znamię, że chciała to zrobić, był znaczący. Ale fakt, że zapomniała, proponując Paige wspólny spacer, ukryć znamię pod korektorem... był niezwykły.

A teraz, kiedy ten mężczyzna patrzył na nią...

To było straszne.

Gwen czuła się naga. Całkowicie obnażona. I coraz bardziej groteskowa, bo pod jego spojrzeniem fioletowy policzek stawał się coraz ciemniejszy, coraz bardziej gorący.

Gwen nie potrafiła powiedzieć, w którym dokładnie momencie Cole Ransom zauważył znanie. Jego oczy, niewzruszone i szare jak kamienie, były nieprzeniknione.

Ale Gwen wiedziała, co Cole zobaczył.

Nie myśl o tym, mówiła sobie Gwen. Tu chodzi o Paige, o to, co się z nią dzieje, nie o ciebie.

Podczas gdy Gwen karciała się w duchu, Paige odpowiedziała na pytanie Cole'a:

- To moja przyjaciółka, Gwen St. James.

- Widziałas, co się stało, Gwen?

- Tak - odparła natychmiast. Ale zanim dodała coś więcej, spojrzała na Paige. Tak jak powiedziała, jej słabość mijała. Gwen doszła do wniosku, że teraz jedyne niebezpieczeństwo, jakie jej grozi, ma związek z tym chirurgiem. Zmusiła się, by spojrzeć mu prosto w twarz i skłamać.

- Właściwie to wszystko moja wina. Sprawdzalam, czy nie zgubiłam gdzieś kluczy. Znalazłam je, ale wypadły mi z ręki i Paige schyliła się, żeby je podnieść.

- Dokąd się wybieracie?

- Niedaleko.

- Jeśli Paige znowu poczuje choćby najlżejsze zawroty głowy...

- Nic takiego się nie stanie!

- W porządku. - Cole uśmiechnął się lekko do Paige, która rzeczywiście wyglądała już znacznie lepiej.

- Przepraszam, Cole! - powiedziała nagle Paige.

- Za co?

- Za to, że byłam taka niewdzięczna. Chyba było to dla mnie trochę kępujące... I czułam się tak głupio... To oczywiście kiepska wymówka.

- Nie potrzebujesz wymówek. Poza tym miałaś rację. Wystarczyło tylko trochę czasu.

- Cóż... dziękuję.

- Nie ma za co.

Cole patrzył Paige w oczy przez kilka długich sekund. Potem wstał i nie spojrzawszy więcej na Gwen, odszedł.

Gwen rozpuściła włosy i na jej policzek opadła gęsta miedziana zasłona.

- Dzięki - mruknęła Paige, kiedy za Cole'em zamknęły się drzwi. - Nie uwierzył w moją historyjkę.

- W moją też nie.

- Cóż - Paige wzruszyła ramionami - czasem łatwiej jest skłamać.

- Jesteś w ciąży, prawda? Z nim? I nie chcesz, żeby on o tym wiedział?

- Co?! Nie! Nie jestem w ciąży, a między mną a Cole'em nigdy nic nie było. Naprawdę czułam się głupio. Moje nerki... sprawiają mi trochę kłopotów, już od pewnego czasu. Dlatego zasłabłam. A najbardziej idiotyczne z mojej strony jest to, że nie powinnam do tego dopuszczać.

- Do czego?

- Nie wolno mi dopuszczać do takiego spadku ciśnienia krwi, bym musiała siadać, żeby nie upaść.

Gwen nie wiedziała nic na temat chorób nerek. Ale była dość wysportowana, by wiedzieć coś niecoś na temat zasłabnięć. Sama nigdy nie zemdląca, ale widziała, jak przytrafiało się to innym, nawet całkiem często, w czasie dorocznego wyścigu Bay kontra Bakers. Mimo upału, jaki tam zazwyczaj panował, niektórzy uczestnicy wyścigu nie uzupełniali płynów w organizmie i czasami tracili przytomność z powodu zbyt niskiego ciśnienia.

- Może wrócę szybko na oddział i przyniosę ci coś do picia?

- Nie, Gwen, dziękuję.

- Nie chce ci się pić?

Paige uśmiechnęła się ze smutną drwiną.

- Ciągle chce mi się pić. Ale muszę się bardzo ograniczać. Wyczerpałam już swój limit do ósmej wieczorem.

- Ale przecież prawie zemdlącaś.

- To prawda. Ale to nie z braku płynów, a raczej ich dystrybucji w moim organizmie. W ogóle mam dość niskie ciśnienie. Kiedy rozmawiałyśmy, byłam tak rozluźniona, że krew zebrała mi się nogach. Zapomniałam poruszać trochę nogami, zanim wstałam. Ale teraz jest już w porządku. - Paige podniosła się powoli. - Widzisz?

Gwen także wstała. I zobaczyła, że blade policzki Paige zabarwił cień rumieńca.

- Bez problemu dojdę do matki - uspokajała Paige.

- Pójdę z tobą.

- Naprawdę czuję się dobrze, Gwen.

- To świetnie, ale ja jednak pójdę z tobą.

|

## Rozdział 5

- Cole wie o twoich nerkach?

- Tak. - Z rozmachem, który dowodził, że wracają jej siły, Paige otworzyła ciężkie szpitalne drzwi. - Wie o wszystkim.

- Ale z jakiegoś powodu nie chciałaś, żeby dowiedział się, co się naprawdę dzisiaj wydarzyło? - Gwen spojrzała na nią krytycznie. - Może nie powinnyśmy rozmawiać?

- Naprawdę mogę iść i rozmawiać jednocześnie. Chętnie ci wyjaśnię, dlaczego nie chciałam, żeby wiedział, co się stało. Po prostu on ma mnóstwo ważniejszych spraw na głowie, pacjentów, którymi musi się zajmować.

- Wydaje mi się, że nie miał nic przeciwko temu, by zająć się tobą.

- Cole Ransom jest bardzo oddany swojej pracy. Z taką samą troską zajmowałby się kimś zupełnie obcym.

- Jesteś pewna?

- Czego?

- Wydawało mi się, że on się o ciebie troszczy. Bardzo.

- Wiem, Gwen. Cole już taki jest.

- Oddany?

- I świetny w tym, co robi - dodała Paige. - A tak przy okazji, jest twoim sąsiadem.

- Mieszka w Belvedere Court?

- Tak sądzę. Nie słyszałam, żeby zmienił mieszkanie.

- Od jak dawna tam mieszka?

- Odkąd zaczął tu pracować. W lipcu minął rok.

- A gdzie mieszkał wcześniej?

- W Dallas. Podobno był tam tak zadowolony z pracy, że właściwie nie próbowaliśmy go tu sprowadzić. Chociaż bardzo nam na nim zależało.

-My?

- Byłam jednym z sześciu członków komitetu do spraw zatrudnień.

- Czy on jest chirurgiem onkologiem?

- Nie. Jest chirurgiem naczyniowym. Po prostu akurat wypadła moja kolej, więc musiałam się tym zająć. To jeden z tych ważnych, ale czasochłonnych obowiązków, z których muszą się wywiązywać wszyscy pracownicy wydziału. Ja byłam młodszym członkiem komitetu, ale też musiałam zrobić, co do mnie należało, to znaczy przeczytać listy



motywacyjne i odbyć spotkania z kandydatami. Jak już powiedziałam, Cole nie miał zamiaru zmieniać pracy. To nam zależało na tym, by go zatrudnić. Na szczęście przyjął nasze zaproszenie i przyjechał na spotkanie. A kiedy tu przyjechał, przekonał się, że chce u nas pracować.

- Ty go przekonałaś?

- Nie. Przekonał go szpital, wydział, może miasto. Ale rzeczywiście, to ja miałam go przekonać. Pod koniec pierwszego dnia swojej wizyty Cole miał zjeść kolację z członkami komitetu. Wszyscy jednak uważali, że Cole najwięcej rozmawiał ze mną i że będę miała większe szanse przekonania go, jeśli zjemy tę kolację sami. Na szczęście Cole już podjął decyzję. W drodze do restauracji powiedział mi, że postanowił przyjąć naszą ofertę. Dla mnie była to wielka ulga. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym przekonać go do czegoś, na co nie miałby ochoty. Więc tylko spędziliśmy miło czas, rozmawiając przy kolacji.

- A kiedy przeprowadził się do San Francisco, zaczęliście się spotykać?

- Nie! Między nami nigdy nic było, Gwen. Ani z mojej, ani z jego strony. Zaraz po jego przyjeździe poszliśmy parę razy na kawę. Ale to nie były randki. Tak przy okazji, w szpitalnej kafejce serwują doskonałe cafe latte. Później był bardzo zajęty, ja też, Teraz spotykamy się zazwyczaj wtedy, kiedy potrzebuję konsultacji chirurgicznej. To on zakłada dożylny dreny moim pacjentom.

- Żeby umożliwić im przyjmowanie chemioterapii?

- Dożylny odżywianie, transplantacje szpiku, transfuzje krwi. Wszystko, czego potrzebują. Cole operował także jedną z moich pacjentek. Jedna z głównych żył wiodących do serca była zatkana z powodu guza. Operacja była bardzo ryzykowna, wiele wskazywało na to, że pacjentka prawdopodobnie jej nie przeżyje, więc nikt poza Cole'em nie chciał się tego podjąć. On jednak się zgodził, a ta kobieta przeżyła. Później chemioterapia dała bardzo dobre efekty. Od ponad roku trwa u niej remisja.

- Więc jest naprawdę świetnym chirurgiem naczyniowym.

- I urazowym. Specjalizował się też w chirurgii urazowej. Dał nam jasno do zrozumienia, że chce nadal zajmować się jednym i drugim. Ale dopóki nie zaczął tu pracować, nikt właściwie nie rozumiał, co to znaczyło. Nie można być jednocześnie pełnoetatowym chirurgiem naczyniowym i urazowym. Jeden etat to często aż za dużo. Zakładaliśmy więc, że Cole będzie od czasu do czasu operował na urazówce i wtedy ograniczy liczbę operacji na chirurgii naczyniowej. Ale on pracuje tu już od szesnastu miesięcy i jak dotąd nie zrezygnował z żadnej operacji.

- Więc ma dwa razy więcej dyżurów niż inni?

- Tak. Tak właśnie chce pracować i nikt nie może mu tego zabronić. Jest bardzo zdolny, ma wszelkie predyspozycje do wykonywania tego zawodu. Ma nerwy ze stali. To bardzo pomocne, bo Cole pracuje prawie we wszystkie weekendy, a właśnie wtedy zdarza się najwięcej nagłych wypadków.

- Ciekawe, dlaczego to robi.

- Uwielbia operować. Jeden z jego kolegów z Dallas napisał o nim, że choć Cole ma świetny kontakt z pacjentami, na pewno będzie chciał cały czas spędzać na sali operacyjnej. Jego pacjenci, przygotowani do operacji, pod narkozą będą wjeżdżać na salę, a ich sytuację przedstawi inny lekarz, który zaraz potem da Cole'owi wolną rękę.

- Jakby Cole był czarodziejem - mruknęła Gwen. Jak Houdini. Mistrz czarów... i artysta uciekinier. - Ale dlaczego chce operować nagle przypadki? Czemu chce się zajmować kwestią życia i śmierci?

- Nie wiem, Gwen. Naprawdę nie znam Cole'a zbyt dobrze. Nie wiem, czy ktokolwiek go zna. No, jesteśmy na miejscu.

Gwen знаła ten wielki kremowy dom. Przejeżdżała koło niego dwa razy dziennie, w drodze do pracy i z powrotem.

- To jest dom twojej matki? Tu mieszkałaś, kiedy byłaś dzieckiem? Wydaje się taki wielki, a jednocześnie przytulny. Zawsze się zastanawiałam, kto tu mieszka.

- A więc już wiesz. Możesz tu przychodzić, kiedy tylko zechcesz. Moja matka zawsze jest w domu i uwielbia gości.

- Nawet takich, których nie zna?

- Zwłaszcza takich. Naprawdę chciałabym, żebyś ją poznała, i wiem, że ona bardzo by się ucieszyła ze spotkania z tobą. No i oczywiście zaraz oprowadziłaby cię po całym domu. Chętnie zaprosiłabym cię dzisiaj...

Niewypowiedziane „ale” zawisło w jesiennym powietrzu. Paige utkwiała wzrok w granatową furgonetkę stojącą na podjeździe i zmarszczyła brwi.

- Ja też próbowałam kiedyś stworzyć siebie na nowo – powiedziała Paige. - Stać się kimś innym.

Gwen przeczytała napis na drzwiach samochodu i odgadła resztę.

- Z Jackiem Loganem? Tym z Firmy Remontowej Jacka Logana?

Paige skinęła głową.

- Wtedy był na ostatnim roku studiów. A ja na drugim. Dwanaście lat temu.

- I co?

- Kogo udawałam? Nazwałam się April. Avril.

- Udawałaś Francuzkę?

- Nie. Udawałam, że studiuję romanistykę.

- Co się stało, kiedy odkrył prawdę?

- Nigdy nie odkrył prawdy. Nasz związek, jeśli można to tak nazwać, zakończył się, zanim zdążyłam wyznać mu prawdę. Jack go zakończył.

- Ale to był ważny związek?

- Nie dla niego.

- Ale dla ciebie.

- Wtedy, tak. Ale okłamywałam samą siebie bardziej, dużo bardziej, niż jego.

- A teraz?

- Teraz? Nic. Tyle że na wiosnę moja matka postanowiła odnowić dom. Ja o tym nie wiedziałam. Nie było powodu, by miała mnie o tym informować, nie mówiąc już o tym, że nie miała powodu, by powiedzieć mi, kogo zamierza zatrudnić. Jej przyjaciele, z których wielu posiada zabytkowe posiadłości, chętnie pomogli jej wybrać wykonawcę. Spotkała się ze wszystkimi, których jej polecono. Ale sama też szukała, w książkach telefonicznych i w Internecie. I znalazła Jacka. Spodobał jej się, więc postanowiła, że to jemu powierzy odnowę domu.

- Nie wiedząc, że spotykałaś się z nim w Stanford?

- Właściwie nie spotykałam się z nim. Ale nie miała pojęcia, że się znamy. Nikt o tym nie wiedział.

- Gdyby ci powiedziała, że chce go zatrudnić, miałabyś coś przeciwko temu?

-Nie. Powiedziałabym jej, że poznaliśmy się na studiach i że, mimo sceptycznej postawy przyjaciółek, intuicja jej nie zawiodła. Można mu zaufać. Z pewnością wywiąże się z powierzonego mu zadania i zrobi to dobrze.

- Jej przyjaciółki w to wątpiły?

- Tylko dlatego, że nigdy o nim nie słyszały. W przeciwieństwie do innych firm, które od zawsze działały na rynku, Jack zaczął zaledwie dziesięć lat temu. Okazuje się jednak, że w tym czasie wyrobił sobie renomę. - Paige urwała, a kiedy znowu zaczęła mówić, w jej głosie brzmiała przepraszająca nuta... Jakby przepraszała Jacka. - Widzisz, adwokat naszej rodziny, który jest jednocześnie bliskim przyjacielem, postanowił go sprawdzić. Twierdził, że nie ma wyboru. Zlecenie było tak duże, że każdy mógł ulec pokusie.

- By policzyć za dużo?

Paige skinęła głową.

- Tego właśnie obawiał się Stuart. Zwłaszcza kiedy się okazało, że i Jack ma bardzo

duże wydatki. Jest ojcem jedenastoletniej dziewczynki, Beth. Po rozwodzie to jemu przyznano opiekę nad córką. Beth uczy się w Akademii Marine View, to prywatna szkoła, bardzo droga. Beth jest też bardzo uzdolniona muzycznie, gra na fortepianie, trzeba więc płacić za lekcje. Jack kupił fortepian, a ostatnio także dom w pobliżu szkoły Beth, mniej więcej pół kilometra stąd. Dom jest niewielki, ale kosztowny, głównie ze względu na to, że znajduje się w Pacific Heights. Och, no i jego rodzice mieszkają tam razem z nim i Beth.

- To niezwykle, że właśnie ojcu przyznano prawa rodzicielskie po rozwodzie. To robi wrażenie.

- Stuart użył tego określenia, kiedy już go sprawdził. Uznał go za godnego najwyższego zaufania. Jack zrobił na nim wrażenie.

- Więc zdał ten egzamin?

-Zdecydowanie tak. Później dowiedział się, że Stuart go sprawdzał. Stuart sam mu to powiedział, kiedy się w końcu poznali.

- Jack był zły, kiedy się o tym dowiedział?

- Nie wiem. Nawet jeśli tak było, Stuart nic na ten temat nie wspomniał.

- Ale ty o niczym nie wiedziałaś?

- Nie, nie wiedziałam. Moja matka też dowiedziała się, kiedy już było po wszystkim. I tak by go zatrudniła. Mam wrażenie, że zrobiła to już wcześniej. Ale oficjalnie zatrudniła go cztery miesiące temu, kiedy powiedziała przyjaciółkom, kogo wybrała. Ja też wtedy się o tym dowiedziałam. Stuart odkrył oczywiście fakt, że w tym samym czasie studiowaliśmy na tej samej uczelni. Nikt jednak nie sądził, że się znamy. Nie było żadnego powodu, by przypuszczać, że tak jest. Ja też nic nie powiedziałam. A w ciągu ostatnich czterech miesięcy nie zadzwoniłam do Jacka...

- Żeby mu powiedzieć, że Paige i Avril to jedna i ta sama osoba?

- Właśnie. Więc tak to wygląda. Remont domu zacznie się w poniedziałek rano i według planu będzie trwał pół roku. Prędzej czy później wpadniemy na siebie. Gdyby to był ktokolwiek inny, już dawno doprowadziłabym do spotkania. Kiedy moja matka wspomniała, że Jack i Beth - i przyjaciółka Beth, Dina - mają do niej przyjść dziś po południu, powiedziałam, że ja też wpadnę. - Paige wzięła głęboki oddech. - Wydawało mi się, że to dobry pomysł. Bo to jest dobry pomysł. Chcę to już mieć za sobą. Poza tym to naprawdę wiele hałasu o nic. Jack prawdopodobnie nawet mnie nie pamięta. Najlepiej by było, gdyby nie pamiętał.

Nie, tak wcale nie byłoby najlepiej, pomyślała Gwen. To boli, kiedy ktoś nas nie pamięta. Kiedy nie jesteśmy dość ważni, by nas wspominać.

Myśl ta obudziła w niej uczucia, nad którymi, na razie, Gwen nie chciała się

zastanawiać. Tak jak nad innymi uczuciami, jakie przyniósł len niezwykle dzień. Ale będzie musiała się z nimi uporać. Już wkrótce.

- Cóż - powiedziała Paige. - Lepiej już pójde. Jeszcze raz ci dziękuję, Gwen. Za to, co zrobiłaś dla Luise... i dla mnie.

Paige Forrester rzadko kogoś obejmowała.

Gwen St. James robiła to często.

Ale od czasu, kiedy opuściła klasztor, nie obejmowała nikogo, mając odsłonięte znamię. Nie przypominała sobie też, by kiedykolwiek miała w ramionach kogoś tak kruchego, jak Paige. Jej elegancki strój też był rodzajem przebrania. Pod ubraniem Paige była delikatna i krucha jak ptaszek.

- Naprzód - mruknęła Paige, kiedy już się od siebie odsunęły.

- Oczarujesz go, bez względu na to, czy cię pamięta, czy nie.

Paige nie uważała się za istotę szczególnie czarującą. Ale przekonanie, z jakim Gwen wypowiedziała te słowa, i jej uśmiech sprawiły, że nagle poczuła się... dobrze. Sama miała ochotę się uśmiechnąć.

- Zapamiętaj moje słowa, Paige. Jestem znana z tego, że w takich sprawach nigdy się nie mylę. Właściwie chętnie poznałabym dalszy ciąg tej historii... jeśli miałabyś ochotę jeszcze się ze mną spotkać.

- Miałabym wielką ochotę, choć moja historia zapewne nie będzie miała szczęśliwego zakończenia.

- Mówiłaś, że w szpitalu jest kafejka.

- Jest. To bardzo miłe miejsce.

- Więc spotkajmy się tam.

- Zgoda.

- Świetnie. Ale - dodała Gwen, przypomniawszy sobie, że Paige nie może dużo pić - może wolałabyś coś mniej... płynnego?

- Nie, latte będzie w sam raz.

Mogę upić parę łyków, pomyślała Paige. Udawać, że piję. Przyda mi się kilka zaczarowanych chwil z tą artystką od makijażu.

Tak jak dwanaście lat temu zapragnęła czarów z mężczyzną o imieniu Jack...

## Rozdział 6

*Uniwersytet Stanford*

*Jesień*

*Dwanaście lat temu*

Paige odkryła bibliotekę Wydziału Dramatycznego wiosną, kiedy była na pierwszym roku. Wkrótce biblioteka stała się jej ulubionym miejscem do nauki. Było tam dobre oświetlenie i duże stoły, za to nie przychodzili tam żadni studenci medycyny.

W ogóle przesiadywało tu niewielu studentów. Ci z Wydziału Dramatycznego, których ze zrozumiałych względów powinno być najwięcej, rzadko tam zagładali. Cały świat był dla nich sceną, więc zapewne mogli uczyć się gdziekolwiek. A próby, które w mniemaniu Paige stanowiły ich główne zajęcie, oczywiście nie odbywały się w bibliotece.

Wiele dni i wieczorów spędzała więc w zupełnej samotności. I nie chodziło chyba tylko o to, że w Pało Alto nastąpiła właśnie cudowna wiosna, słoneczna i ciepła, i wszyscy woleli jechać nad jezioro Laguna, by tam się uczyć albo przynajmniej zabrać tam książki. Po powrocie do kampusu jesienią następnego roku Paige odkryła, że biblioteka jest tak samo wyludniona w czasie jesiennych słońc, jak podczas ciepłych wiosennych dni.

Aż do połowy października miała więc całą bibliotekę tylko dla siebie. Później, dokładnie dwa tygodnie przed dziewiętnastymi urodzinami, pojawił się on.

Usiadł przy innym stole, w pewnej odległości od niej, i zaczął wyciągać książki z plecaka. Wtedy spostrzegł, że go zauważyła, uśmiechnął się do niej. A kiedy nie zareagowała, niepewna, czy uśmiech był istotnie j przeznaczony dla niej - choć nikogo innego w bibliotece nie było - pomachał przyjaźnie ręką.

Patrzył na nią wyczekująco, z uśmiechem, aż i ona w odpowiedzi pomachała do niego.

I tyle. Zaczął czytać. Ona też wróciła do swoich książek. Wyszedł o wpół do jedenastej. Ona wyszła pół godziny później. Rytuał ten wyglądał zawsze tak samo - uśmiech, przyjazny gest dłonią, książka. Tak było następnego wieczoru i w czasie kolejnych sześciu dni.

W jego zachowaniu za każdym razem pojawiał się jakiś nowy element. Na przykład od czasu do czasu przerywał czytanie, wstawał i robił kilka kroków, dla rozprostowania swoich długich, zgrabnych nóg sportowca.

Paige zawsze była świadoma jego obecności. Przechadzał się po czytelniku, nigdy jednak nie podchodził zbyt blisko. Paige uświadomiła sobie, że chciałaby, żeby się do niej odezwał.

Z drugiej strony jednak bała się tego.

Och, nie! Ja nie mam nic do powiedzenia. Cóż mogłabym powiedzieć komuś takiemu jak ty?

Ósmego wieczoru Paige stanęła oko w oko z tym, czego tak pragnęła i bała się jednocześnie.

- Nie jesteś aktorką.

Paige spojrzała w oczy, które z bliska wydawały się jeszcze bardziej zielone. Twarz też wydawała się jeszcze przystojniejsza. A ciało silniejsze. Zauważyła też, że jego ciemnobrązowe włosy, tak ciemne jak jej i w podobnym odcieniu, były lekko rozjaśnione słońcem. Czego ojej włosach nie można było powiedzieć.

- Nie jestem?

- A jesteś?

- Nie. Ale... skąd wiesz?

- Nie ruszasz ustami. - W ogóle się nie poruszała. A w każdym razie niewiele. Była sztywna i nieruchoma. I czujna. Jakby coś ją bolało. Poruszała się tylko wtedy, kiedy było to konieczne, kiedy musiała przewrócić kartkę książki lub znaleźć coś w notatkach, od których nie odrywała wzroku. No i kiedy jedną ręką wyciągała tabletki z fiolki dostępnych bez recepty pigułek przeciwbólowych, które popijała dietetyczną colą. Był to płynny ruch - wyjęcie tabletki i pociągnięcie łyku napoju z kofeiną. Dobrze wyćwiczony. Jakby wykonywała go bardzo często. - Cierpisz na migreny?

- Co? Och. Nie.

- Ale coś cię boli.

- Skąd! Czuję się świetnie.

- Jak na kogoś, kto świetnie się czuje, bierzesz bardzo dużo pigułek.

- Masz rację. Za dużo. Zwłaszcza że już prawie wszystko w porządku. Wysłałam z tego.

- Z czego?

- Och, no wiesz, miałam mały wypadek. Zderzyłam się z kimś, jadąc na rowerze. To często zdarza się w kampusie. Tak przy okazji, tej drugiej osobie nic się nie stało. A ja już doszłam do siebie.

Było to kłamstwo. Same kłamstwa. W głowie czuła nieznośny pulsujący ból. Nie miała roweru. A jedyne zderzenie, jakie jej się przytrafiło, to kolizja wymagań, jakie sobie postawiła, z tym co -jak się obawiała będzie w stanie osiągnąć. Niedobrze.

I niedobrze, że on, właśnie on, zauważył, że coś ją boli i że bierze za dużo tabletek. Paige powinna czuć się zakłopotana. Zła. Ale ten chłopak nie patrzył na nią tak, jakby ją osądzał,

lecz tak, jakby się o nią naprawdę martwił.

To dodało jej śmiałości.

- Ty też nie ruszasz ustami - usłyszała nagle swój głos. - *Ergo*, nie jesteś aktorem.

-Nie, nie jestem. Studiuję inżynierię budowlaną. A tak przy okazji, nazywam się Jack Logan.

O czym oczywiście musiała wiedzieć, a w każdym razie on był tego pewny. Ale nie było w tym arogancji. W kampusie był znaną postacią.

Grał w piłkę nożną. Był to ulubiony sport większości studentów. Jack grał na drugiej linii przez cały czas swojego pobytu w Stanford. Miał dużo meczów w poprzednich sezonach, ale niczego szczególnego nie dokonał. Jednak w tym roku, ilekroć wyszedł na boisko, wydatnie przyczyniał się do zwycięstwa swojej drużyny. Jack zdawał sobie sprawę z tego, że zawdzięczał sukcesy szczęściu i świetnym napastnikom, którzy odbierali jego piłki. Nawet wspaniała akcja w ostatnich sekundach meczu z Southern Cal była tak naprawdę fuksem. Jack był po prostu przeciętnym piłkarzem. Trener miał rację, kiedy pozostawił na pierwszej linii zawodnika, który od zawsze zajmował tę pozycję. Ale wtedy okazało się, że Jack ma poparcie kibiców, którzy zupełnie oszaleli na jego punkcie.

Cały kampus ogarnęła histeria. Zwłaszcza że zbliżał się koniec semestru i studenci potrzebowali rozrywki. W ciągu ostatnich dwóch tygodni w każdym wydaniu „Stanford Daily” na pierwszej stronie było zdjęcie Jacka.

Za każdym razem inne, z podpisem „Dajcie mu grać!” albo jakąś wariacją na ten temat. Na meczach jego imię stało się hymnem kibiców. Podczas ostatniego weekendu, w połowie meczu transmitowanego przez lokalną telewizję, drużyna cheerleaderek ustawiła się w kształt liter składających się na jego imię. Czy tego chciał, czy nie - a raczej nie chciał - wszyscy w kampusie wiedzieli, kto to jest Jack Logan. Poza tą dziewczyną, która nie była aktorką. I najwyraźniej nie miała pojęcia, kim on jest.

-A ty jesteś...

O Boże, będzie znał moje nazwisko, uświadomiła sobie Paige. Forrester. Jak Forrester House, jeden z pierwszych akademików w kampusie, który nadal należał do najbardziej popularnych. Albo biblioteka imienia Forresterów na wydziale prawa. I Pawilon Forresterów. A także Arena. I Wieża.

Kiedy składała papiery na tę uczelnię, nie miała pojęcia, że nazwisko Forrester jest tu tak samo znane i poważane jak w San Francisco. Owszem, wiedziała, że jej ojciec studiował w Stanford. Ale jego rodzice kształcili się gdzie indziej. A matka, choć niezmordowanie zbierała fundusze na Centrum Medyczne Pacific Heights, dla uczczenia pamięci Alana, i patronowała



różnym artystycznym przedsięwzięciom ze względu na pamięć Rosalind i Gavina, nie miała z Uniwersytetem Stanford żadnych powiązań.

Związki rodziny Forresterów ze Stanford sięgały kilku pokoleń wstecz. Dziadek Gavina, który zbił majątek na kolei, był serdecznym przyjacielem innego słynnego pioniera w tej branży, samego Lelanda Stanforda.

- Nic dziwnego, że się dostałaś.

Jak często Paige Forrester słyszała te słowa? Zbyt często. Jakby spuścizna Forresterów była wszystkim, co miało znaczenie i gwarantowała przyjęcie na tę obleganą uczelnię. Jakby fakt, że Paige ciężko pracowała na swój sukces, zupełnie się nie liczył.

Niepokoilo ją to. I to nie tylko dlatego, że podobne insynuacje były po prostu obraźliwe. Niepokoilo ją to także ze względu na generacje Forresterów, których nie mogła znać. Budynki, które postawili, stypendia, które ufundowali, wszystko to było darem dla uczelni, na której studiowali i którą kochali. I dla tych, którzy mieli mniej szczęścia i bez ich pomocy nie mogliby zdobyć wykształcenia.

Paige była uczulona na nazwisko Forrester i komentarze, jakie ono wywoływało, na długo przed tym, jak przybyła do Stanford.

Tak było zawsze.

„Och, droga Paige”, mówiły kobiety ze śmietanki towarzyskiej San Francisco, „tak kochałyśmy Rosalind. Jaką wspaniałą byłaby dla ciebie babcią. Zostałyśmy zaproszone na przyjęcie z okazji twoich narodzin, które Rosalind i Mariel organizowały dla twojej matki, a zamiast tego poszłyśmy na pogrzeb Rosalind. I Gavina. I oczywiście twojego ojca”.

To było okropne. Nie do wytrzymania, nawet dla kogoś tak silnego jak Mariel. No, ale Rosalind i Gavin byli dla niej jak rodzice, byli jej dużo bliżsi niż jej własna matka i ojciec. A Alan był jej najlepszym przyjacielem. Na pewien czas uciekła od wszystkiego, co jej ich przypominało. Nawet od tego wspaniałego Stuarta Dawsona.

W tym momencie zawsze jakaś inna kobieta podejmowała wątek i ciągnęła dalej: „Wszystkie pośpieszyłyśmy z pomocą twojej matce. Rosalind na pewno tego właśnie by chciała. Przyznaję, najpierw robiłyśmy to z obowiązku. Ale teraz wszystkie kochamy Claire, tak jak kochała ją Rosalind. Ona jest taka... kochana. I taka utalentowana. Ty zapewne także posiadasz uzdolnienia w tym kierunku. Udzielała nam lekcji malarstwa. Nieźle nam to szło! Dzięki niej. Sądziłam, że nie potrafię postawić prostej kreski, dopóki ona nie uświadomiła mi, że jest inaczej”.

„Masz tyle szczęścia, droga Paige”, dodawała trzecia pani, „że Claire jest twoją matką. Wszystkie jesteśmy takie zadowolone, że stała się częścią naszego życia. A ty musisz być dla

niej wielką pociechą. Jesteś taka podobna do Alana. Na pewno go jej przypominasz. To taka piękna pamiątka po tej idealnej miłości. Bo to była wielka miłość. A ty jesteś dzieckiem tej miłości".

„Ale wszystkie martwimy się”, wtrącała czwarta kobieta, marszcząc brwi, „że Claire nie wychodzi z domu. Odwiedzamy ją, oczywiście. Dzięki niej czujemy się tak jak u siebie w domu. Może nie powinnyśmy się niepokoić, że tak rzadko opuszcza to miejsce. Dom jest jej sanktuarium. Tam są wszystkie jej wspomnienia”.

- April - powiedziała Paige w odpowiedzi na pytanie Jacka Logana. To imię pojawiło się nagle, nagle. Czy to podświadomość podsunęła jej wizję wiosennego przebudzenia, świtu świata, kwietniowego deszczu i wszystkich kwiatów maja?

- April - powtórzył Jack, w taki sposób, że zadrżała. - April i co dalej?

Paige nie wahała się ani sekundy.

- April Dawson.

Podala nazwisko najbliższego przyjaciela Alana i zarazem jedyne ojca, jakiego znała.

- A co studujesz?

- Romanistykę.

- I nie ruszasz ustami. To fantastyczne.

Francuski Paige Forrester nie był fantastyczny, a w każdym razie jej wymowa pozostawiała nieco do życzenia. Paige była zbyt nieśmiała i tak dalece nie miała w sobie nic z aktorki, że nigdy nawet nie próbowała poprawić akcentu. Ale uczyła się francuskiego sześć lat. Rozumiała wszystko.

- Mówisz po francusku, Jack?

- Ani trochę. Nauczysz mnie?

- *Bon soir*, Avril - mówił Jack każdego wieczoru, kiedy po treningu spotykał się z nią w bibliotece.

- *Bon soir*, Jacques - odpowiadała z mocno bijącym sercem. Zupełnie zapominała o fizyce i biochemii.

Wolała czytać literaturę francuską.

O jedenastej odprowadzał ją do domu przy Greek Row, gdzie, jak sądził, miała swój pokój. Tam właśnie mieszkała większość studentów romanistyki, mówiono więc niemal wyłącznie po francusku.

*Bon nuit*, Avril, mówił przy drzwiach.

*Bon nuit*, Jacques, odpowiadała i wchodziła do środka. A kiedy jego sylwetka zniknęła w ciemności, pędziła do zaparkowanego w pobliżu samochodu i jechała do położonego poza

kampusie apartamentu, w którym mieszkała sama.

Z wieczora na wieczór ten spacer zabierał im więcej czasu.

Jack opowiadał jej o piłce nożnej, o tym, jak stał się gwiazdą, choć wcale na to nie zasłużył. O tym, jak będzie się cieszył, kiedy sezon wreszcie dobiegnie końca. O tym, że w szkole średniej grał dużo, by zdobyć stypendium sportowe, za które był bardzo wdzięczny. O tym, że nie ma zamiaru zajmować się piłką zawodowo.

Poza tym, że wcale nie jest aż tak dobry i nie lubi, gdy go rozpoznają na ulicy.

- Więc chcesz zostać inżynierem?

- Nie, jeśli uda mi się temu zapobiec - uśmiechnął się Jack. - Ale to, co studiuje, może być bardzo przydatne w pracy, jaką chcę się zajmować.

- To znaczy?

- W remontach. W restauracji starych budynków.

- Robiłeś to już kiedyś?

- Od dziecka próbowałem tego i owego. Mój ojciec jest malarzem pokojowym. Pomagałem mu w tym przez pewien czas. Zawsze było tam mnóstwo innych fachowców, cieśli, dekarzy, elektryków i hydraulików. Uczyłem się od nich. W końcu rzeczywiście zacząłem zasługiwać na to, żeby mi płacić. Kiedyś chciałbym mieć własną firmę remontową. I połączyć to wszystko w jedną całość.

Jack chciał pracować w San Francisco. Chciał tam mieszkać. Żeby być blisko rodziców.

Byli niemłodzi, jak na rodziców dwudziestojednolatka. Pete Logan był już po sześćdziesiątce. Eve miała pięćdziesiąt dziewięć lat. Jack był ich drugim dzieckiem. Pierwszy syn, Jason, przyszedł na świat osiemnaście lat przed Jackiem i zmarł w wyniku syndromu nagłej śmierci niemowlęcej, kiedy miał trzy miesiące.

- Nie planowali więcej dzieci.

- Bo utrata Jasona była dla nich zbyt ciężkim ciosem?

- Tak. A poza tym sądzę, że obwiniali się o jego śmierć.

- Ale to przecież nie była ich wina!

- Nie, ale Jason był bezradnym małym dzieckiem. Całkowicie zależnym od nich. Nigdy nie przestali za nim tęsknić. Jak mogliby przestać? Mnie też go brakuje.

- Tobie?

- Oczywiście. To, że nigdy się nie spotkaliśmy, nie zmienia faktu, że był moim bratem i.

- Co, Jack?

- Nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Ale... jeszcze zanim rodzice powiedzieli mi o

Jasonie, nie myślałem o sobie jak o jedynaku.

- Nie byłeś jedynakiem.

- Nie. Ale byłem dużym zaskoczeniem.

Dzieckiem, pomyślała Paige, które odmieniło zdruzgotane życie swoich rodziców. Tak jak on chciał pewnego dnia odmieniać życie starych zniszczonych domów.

Kiedy nadeszła kolej Paige, kolej April, z jej ust popłynęły same kłamstwa.

April Dawson miała wszystko to, czego brakowało Paige Forrester. Była beztroska. Lekko myśląca. Nie miała pojęcia, jak niefrasobliwie wyznała Jackowi, co będzie robiła po studiach. *Que sera, sera!* Co będzie, to będzie!

Powiedziała, że pochodzi z Bostonu, ma czworo rodzeństwa, same siostry, a jej ojciec, chirurg, uwielbia córki. Mama jest jak starsza siostra, wszyscy są sobie tak bliscy!

April jest najmłodsza. I pewnie dlatego jest taka niefrasobliwa. Najstarsza siostra natomiast była typowym pierworodnym dzieckiem. Pracowitym. Zdeterminowanym. Odpowiedzialnym. W wieku siedmiu lat ta wymyślona siostra postanowiła iść w ślady ojca, którego uwielbiała. W szkole miała zawsze same piątki, college zrobiła w trzy lata. Jednocześnie zaczęła studiować medycynę. Studia także zamierzała skończyć przed terminem.

- Ale po co? - spytał Jack dziewczynę, która, o czym nie miał pojęcia, miała identyczny plan. - Po co się tak spieszyć?

-No... nie wiem... Ona już taka jest. Chce być najlepsza. Nie jest taka zabawowa jak ja.

- I taka szczęśliwa?

- Och! Myślę, że jest całkiem szczęśliwa. Choć pewnie czasami czuje się trochę samotna.

- Jesteście do siebie podobne?

- *Quoi, Jacques? Mais non!* Ależ skąd!

Jack uważał, że powinna lepiej się odżywiać. Twierdził, że jej organizm potrzebuje prawdziwego jedzenia, a nie tylko dietetycznej coli i pigułek. Owszem, przyznał, ograniczyła przyjmowanie leków. I bardzo go to cieszyło.

Zbliżało się Święto Dziękczynienia. Jack oznajmił, że spędzi cztery dni z rodzicami w ich domu w Dały City. Paige ukryła przed nim swoje plany - cztery dni z matką w ich posiadłości w Pacific Heights. Powiedziała mu, że leci do Bostonu w środę wczesnym rankiem.

- W takim razie we wtorek zabieram cię na kolację.

- Naprawdę?

- Jeśli się zgodzisz.

- Zgadza się. Jack, jest coś, co chciałabym ci powiedzieć.

- Więc mów.

- Powiem na kolacji. We wtorek.

Paige chciała powiedzieć mu wszystko. I może by to zrobiła. Powiedziałyby mu oczywiście o tych mniej istotnych sprawach: jak brzmi jej prawdziwe nazwisko, co studiuje, dlaczego udawała kogoś innego.

A może i o tych bardziej istotnych. Że na pewno uda mu się zrealizować marzenia i odnawiać stare budowle, składać ich fragmenty w jedną całość, bo sprawił, że ona tak właśnie się poczuła. Odnowiona. Cała. April i Paige w jednej osobie.

Może ją pocałuje? Sądziła, była pewna, że on tego chce. Był jednak dżentelmenem. Czekał, aż pójdą na oficjalną randkę.

Czekał na wtorek.

Ale wtorek nigdy nie nadszedł. Ani pocałunek. Ani randka.

Kiedy przyszedł w poniedziałek, Paige sądziła, że odkrył jej oszustwo. Był zupełnie inny niż Jack, którego znała. Dziki. Zły.

- Poznałem kogoś latem - powiedział. - Na przyjęciu weselnym kolegi. Ona jest w ciąży, April. Ze mną.

- Przez cały czas się z nią spotykałeś?

- Nie, widziałem ją tylko raz, na tym weselu. To była tylko jedna noc.

Najwyraźniej więc Jack nie miał w zwyczaju czekać na pocałunek do pierwszej randki. Kiedy spotykał dziewczynę, która mu się podobała, po prostu szedł z nią do łóżka.

Jej Jack Logan nie chciał, nawet w przebraniu, beztraskiej śmiałej April.

Ale ten mężczyzna, który uprawiał seks, kiedy przyszła mu na to ochota, był także kochającym synem, tęsknił za bratem i wierzył w rodzinę.

- Masz zamiar się z nią ożenić?

- Tak. W sobotę. Potem już nie wrócę na studia. April?

- Tak?

- Chodź ze mną jutro na kolację, tak jak planowaliśmy.

- Nie.

- Więc dzisiaj. Teraz.

- Nie. Muszę już iść.

- Ale chciałaś mi coś powiedzieć.

- To już nieważne. Będiesz ojcem, Jack. Tata. Wspaniałym tatą, na pewno. Wiem o tym.

-April...

-*Aurevoir*, Jack.

## Rozdział 7

A teraz, dwanaście lat później, Paige Forrester przywita się z Jackie Loganem. Witaj ponownie? Może. Jeśli ją pozna.

Stojąc na progu, pomachała Gwen i weszła do domu. Cicho. Z ulgą przyjęła fakt, że w holu nikogo nie ma.

Musiała usiąść, choć nie tak gwałtownie jak przedtem i nie na tak długo. Tylko na parę minut, żeby wziąć się w garść. Żeby się przygotować. Osunęła się na dolny stopień schodów.

Nawet jeśli Jack ją rozpozna, nie powinno być problemu... A co do tego, że nie ujawniła się wcześniej... „Myślałam o tym, żeby do ciebie zadzwonić - Jack - powie. Albo nawet: *Bonjour, Jacques! C'est Avril Paige Forrester. Quelle surprise!*”

Wiem, jak bardzo jesteś zajęty, twoja firma wspaniale prosperuje nie chciałam robić hałasu o przelotną znajomość sprzed wielu lat.

Może kiedyś Paige mogłaby się zdobyć na tak swobodny lekki ton. Ale nie teraz, kiedy zawiodły ją nerki. Nie, zanim ona je zawiodła.

Od tego czasu wszystko było dla niej trudne. Ciągle czuła się zmęczona, nawet sen nie przynosił ulgi. Była słaba, drażliwa i bezustannie męczyło ją pragnienie.

Staraj się, próbuj. Od dawna był to refren jej życia, prawda skryta za pogodną fasadą, którą prezentowała światu. Ale kiedy pojawiły się zaburzenia gospodarki elektrolitowej, fasada ta zaczęła się niebezpiecznie kruszyć.

Musi opanować emocje, które ostatnio tak łatwo wymykają jej się spod kontroli. Frustrację, spowodowaną świadomością, że sama wpakowała się w kłopoty. Zniecierpliwienie, że tak kiepsko sobie radzi. Ale tłumienie tych uczuć też nie przynosiło wiele pożytku, czego dowodziło choćby jej niedawne zachowanie wobec Cole'a.

Paige musi uśmiechać się do matki, która tak niewiele od niej wymaga. Byłoby też miło, gdyby uśmiechnęła się do Jacka. I do Beth i Diny.

Paige poruszała nogami, wstała i powiesiła płaszcz na wieszaku.

Staraj się, próbuj.

Refren jej życia brzmiał dzisiaj trochę fałszywie. Nie działał. To, co ją czekało,

wydawało jej się koszmarem.

Ale przypomniały jej się też inne słowa, które mogły zadziałać. Ze względu na towarzyszące im wspomnienia i uczucie, że może nie jest tak całkiem sama.

Czuła się tak, jakby Gwen stała tuż obok, dopingując ją do działania.

„Oczarujesz go, Paige. Zapamiętaj moje słowa”.

Jacka nie było w salonie. Paige dostrzegła go w ogrodzie, gdzie dokonywał właśnie jakiejś inspekcji. Dziewczynki mogły pójść z nim. Z ogrodu rozciągał się piękny widok i były tam fontanny. Ale wołały, co wcale Paige nie zaskoczyło, zostać w domu z Claire.

Dla Paige scena, jaką zastała w salonie, była boleśnie znajoma. Inne dziewczynki, inne córki, szczebioczące wesoło z jej matką.

Innym dziewczynom tak łatwo to przychodziło. Claire także.

Claire Forrester powinna mieć dom pełen córek. Córek, które stworzyła dla niej April Dawson. Miałyby je naprawdę, Paige była tego pewna, gdyby Alan nie zginął w wypadku.

Przyjaciółki przyprawdzały do niej swoje córki i wnuczki, a koleżanki Paige też chętnie odwiedzały dom Forresterów.

Czy obecność przyszywanych córek niepokoiła tę prawdziwą?

W dziwny, pełen żalu i smutku sposób Paige była zazdrosna. Bardzo chciała bawić się z Claire tak jak one. W ogóle chciała się bawić. Ale nie umiała. Więc szczerze się cieszyła, że jej matka znalazła inne dziewczynki, które to potrafiły.

Poza tym, tłumaczyła sobie Paige, obecność innych dziewczynek sprawiała, że jej odczucia wobec matki i matki wobec niej mniej rzucały się w oczy.

I mniej bolały.

Ale tak naprawdę obie czuły się niezręcznie w swoim towarzystwie, bez względu na to, ile osób było w domu i jak bardzo starały się to ukryć.

A starały się obie.

Jedna była artystką, druga naukowcem. Jedna była wiosną, druga zimą. Jedna była swobodna, druga sztywna. Jedna była czarodziejką, druga lekarzem onkologiem.

Czy były też matką i córką?

Jako mała dziewczynka Paige zadręczała się myślą, że w szpitalu zamieniono noworodki. Przez przypadek, a może nawet celowo. Kto nie chciałby prawdziwej córki Claire, prawdopodobnie silnej zdrowej dziewczynki, zamiast słabej chorowitej Paige?

W końcu Paige porzuciła tę myśl. Była dzieckiem Alana Forrester. Jej podobieństwo do ojca położyło kres wszelkim wątpliwościom.

- Paige! - wykrzyknęła Claire, kiedy dostrzegła ją w drzwiach. – Tak się cieszę, że udało

ci się przyjść!

Matka i córka zbliżyły się do siebie, ale zatrzymały się na odległości ramienia. Był to taniec, który doprowadziły do perfekcji po latach niezręcznych uścisków. Zawsze za krótkich, za długich, za słabych, za mocnych.

Zbyt gorączkowych.

Ale Paige podeszła dość blisko, by dostrzec troskę w oczach matki która widziała jej zmęczenie, bladość, chudość.

Czuję się świetnie, mamo! Świetnie, świetnie, świetnie.

Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa.

I będzie ich jeszcze więcej. Gdy otworzyły się oszklone drzwi werandy, Paige poczuła chłód wiatru i usłyszała za sobą ciepły męski głos.

- Ty musisz być...

- Paige - odwróciła się i wyciągnęła rękę do studenta, który teraz był właścicielem firmy remontowej. I samotnym ojcem. On też ją rozpoznał. Natychmiast. Nie miał cienia wątpliwości. I to go zaniepokoiło. Bardzo.

-A ty jesteś Jack.

- Tak, jestem Jack. - Jego dłoń, szorstka i silna, ujęła jej dłoń. - To moja córka, Beth. I przyjaciółka Beth, Dina.

Dziewczynki wyglądały jak siostry. Obie smukłe, jasnowłose. Dina, ta śmielsza, uśmiechnęła się szeroko.

- Dzień dobry, pani doktor.

- Dzień dobry, pani doktor - powiedziała cicho Beth.

- Witajcie, dziewczynki. Mówicie mi, proszę, po imieniu. Jestem Paige.

Dina uśmiechnęła się jeszcze szerzej, ale Beth spojrzała pytająco na ojca.

Mogę? Powinam? Paige nie wiedziała, które z tych pytań dostrzegła we wzroku dziewczynki. Czy czekała na pozwolenie, czy też wołała zwracać się do Paige jak dziecko do osoby dorosłej?

Paige bardzo wyraźnie stanęło przed oczami wspomnienie kolacji sprzed wielu lat. Była wtedy mniej więcej w wieku Beth. Przy stole, jak zwykle, siedziały cztery osoby. Jej rodzina. Claire, Paige, Stuart i Mariel.

Ciocia Mariel podczas opisu finału drugiego ze swoich trzech nieudanych małżeństw oznajmiła, że jej zdaniem nadszedł już czas, by Paige przestała nazywać ją „ciocią”.

Paige pamiętała, jak ociągała się z tym, co wydawało jej się nagłym wielkim skokiem w dorosłość. Ale spełniła życzenie Mariel i w ich wzajemnych stosunkach zaszła nieodwracalna



zmiana. Oddaliły się od siebie.

A jeśli chodzi o przyjaciela Alana, człowieka, który nigdy się nie ożenił i był dla Paige jak ojciec... Do dziś pozostał wujkiem Stuartem i był Paige tak bliski, jak wtedy, gdy była dzieckiem. Zawsze czuła się przy nim bezpiecznie.

- W porządku - powiedział Jack do córki. - Jeśli Paige tego chce, nie widzę problemu.

Jack znał swoją Beth.

- Cześć, Paige.

- Cześć, Beth. Tak naprawdę to jesteś Elisabeth?

- Tak.

- To tak jak ja. Takie jest moje drugie imię.

- Ty też byłeś w Stanford, prawda? Wtedy, kiedy studiował tam mój tata?

- Przez pewien czas.

- Ale nie znaliście się?

- Właściwie - odparła Paige - znaliśmy się... trochę.

Paige spojrzała na Jacka. Jego oczy, bardziej zielone niż w jej wspomnieniach, błyszczały czymś, czego wolałaby nie nazywać. Wiedziała jednak, co to znaczy. Teraz nic nie powie. Może okłamywać innych, ile zechce, ale on wkrótce zażąda od niej wyjaśnień.

Teraz tylko patrzył i czekał.

- Twój tata spotykał się z dziewczyną, którą znałam - powiedziała do Beth. - Widzieliśmy się kilka razy, ale nigdy nas sobie nie przedstawiono. Dopiero teraz... - Paige miała ochotę zmienić temat. Inspiracji dostarczyły jej napisy na granatowych bluzach dziewczynki: Marina View Swim Team. - Pływacie?

- Nie, to Lany jest pływakiem. - Dina spojrzała znacząco na Beth, która oblała się rumieńcem.

- Rozumiem.

- Zrozumiesz, jak pójdziesz z nami.

- Właśnie idziemy na basen - wyjaśnił Jack. - Może poszłybyście z nami? Obie?

- Dziękuję - odparła szybko Claire - ale obawiam się, że tym razem nie będę mogła się do was przyłączyć. Chętnie jednak zobaczę się z wami, dziewczynki, w poniedziałek po szkole. I zawsze, ilekroć będziecie miały ochotę mnie odwiedzić.

- Claire...

- Naprawdę, będzie to dla mnie wielką przyjemnością, Jack! Z pewnością znajdzie się tu jakiś pokój, w którym będą mogły odrabiać lekcje.

- A ja będę zachwycona, jeśli pomogą mi przejrzeć to wszystko, co zdołałam tu

zgrupować przez trzydzieści lat. No i oczywiście upieczemy ciastka dla robotników.

- To naprawdę nie jest konieczne.

- Wiem, ale chcę to zrobić. A z dwoma pomocnikami...

Które najwyraźniej miały wielką ochotę piec ciasteczka z Claire. Bawić się z Claire. A nawet uczyć się z Claire. Jack westchnął i uśmiechnął się z rezygnacją.

- Dobrze. - Uśmiech znikł z jego twarzy. - Ale ty z nami pójdziesz, prawda, Paige?

To właściwie nie było pytanie. Nie miała wyboru.

- Tak - odpowiedziała. - Bardzo chętnie.

## Rozdział 8

Gwen zachwiała się nagle, albo tak jej się wydawało, i zaczęła się zastanawiać, czy tak jak Paige, nie znalazła się na granicy utraty przytomności.

Jeśli tak, to podobnie jak przypadku Paige, stało się tak dlatego, że krew zebrała się w jej ciele nie tam, gdzie powinna. Ale oczywiście nie w nogach. I na pewno nie dlatego, że przemierzając dystans między domem Forresterów i Belvedere Court, czuła się zrelaksowana.

Jej krew zebrała się w oszpeconym znamieniem policzku, a stało się to w chwili, kiedy spoczął na nim wzrok doktora Cole'a Ransoma. I nie czuła się spokojna, przeciwnie, emocje, nad którymi dotąd udawało jej się panować, wymknęły się spod kontroli.

Ale była już prawie w domu i gdyby miała więcej rozumu, weszłaby do budynku, nie zatrzymując się, by przeczytać listę lokatorów.

Musiła jednak najpierw poszukać kluczy i wtedy... Był tam, Cole Ransom, numer 812. Dwa piętra nad mieszkaniem 603, które zajmowała.

Wydawało jej się dziwne, że specjalista tak wysokiej klasy nie mieszka we własnym apartamencie, tylko w wynajętym mieszkaniu. Z pewnością stać go na ekskluzywną kawalerkę, nawet w Pacific Heights. Wyobrażała go sobie w takim miejscu. Czarnowłosa, szarooki chirurg. Wyobrażała sobie, że...

Daj spokój! Przestań o nim myśleć, rozkazała sobie.

Z marnym skutkiem.

Skrzynka na listy Cole'a była opatrzona jego nazwiskiem, co zauważyła, kiedy otwierała swoją. Zawartość specjalnie jej nie zaskoczyła. Katalogi firm wysyłkowych z ofertą

na Boże Narodzenie. Kilka reklam. I zawiadomienie z poczty o czekającej tam na nią przesyłce. Nawet to jej nie zdziwiło. Makijażyści regularnie otrzymywali próbki z różnych firm kosmetycznych, z których wiele chciało dostać potwierdzenie odbioru.

Podpisze żółty formularz i w poniedziałek otrzyma przesyłkę. Jak zawsze wypróbuje nowy podkład, róż, szminkę czy tusz do rzęs i szczerze napisze, co o nich sądzi.

- Zazwyczaj siadam tam. - Jack wskazał na najwyższy rząd drewnianych ławeczek.

Beth i Dina dołączyły do grupy innych dziewczynek, które zarezerwowały im już miejsca trzy rzędy nad linią startu.

Nikt nie zarezerwował miejsca dla Jacka. Nikt inny nie siedział tam na górze. Rodzice dzieci biorących udział w zawodach siedzieli tuż nad basenem. A rodzice córek, które przyszły tu patrzeć, a nie pływać...

W Centrum Wodnym Golden Gate było mnóstwo takich córek. Ale tylko jeden ojciec, Jack, którego dyskretna, acz czujna obecność nie krępowała Beth ani jej przyjaciółek.

- To dość wysoko - przyznał. - Możemy usiąść gdzie indziej.

- Nie, nie ma problemu - odparła Paige. Wszystko w porządku. Czuję się świetnie. Ile już razy wypowiedziała tego dnia to kłamstwo? I ile jeszcze razy je wypowie?

Czuła się fatalnie. Naczynia krwionośne w jej ciele rozszerzyły się gwałtownie, lekceważąc niskie ciśnienie krwi. Oczywiście była to całkiem normalna reakcja, biorąc pod uwagę panującą na basenie wysoką temperaturę.

Ale organizm Paige nie funkcjonował normalnie.

Problemem była też wilgoć, która utrudniała jej oddychanie. Tyle tylko, przypomniała sobie doktor Forrester, że nie istniały żadne naukowe dowody na poparcie tej tezy.

Trudności z oddychaniem musiały mieć podłoże emocjonalne. Miały może jakiś związek ze wspomnieniem chwili, kiedy usłyszała diagnozę. Do tego czasu lekceważyła objawy: słabość, puchnięcie kostek, zaburzenia rytmu serca, ustawiczne uczucie wyczerpania. Staraj się. Próbuj.

Ale kiedy nadmiar płynu, nie znajdując ujścia, zalał jej płuca... Tak, te trudności z oddychaniem mają podłoże emocjonalne. Na pewno. Przecież tak naprawdę może oddychać. Oddycha. W porządku.

Mdłości jednak były całkiem realne. To z pewnością reakcja na chlor unoszący się w wilgotnym powietrzu, który ma wpływ na podniesiony poziom chlorków w jej krwi.

- Paige?

- W porządku, Jack. Chodźmy na górę.

- Jesteś pewna? Paige spojrzała w stronę ostatniego rzędu i zdecydowanie skinęła głową.

- Najzupełniej - skłamała i ruszyła po schodach.

I kłamstwo stało się prawdą. Tam na górze rzeczywiście było w porządku. Czowała się dobrze. Z Jackiem. Z czujnym ojcem i uważnym mężczyzną.

- Więc o co właściwie chodziło? - zapytał.

- Ta temperatura i wilgoć trochę mnie zmęczyły. I chlor. Ale już czuję się lepiej.

- Więc powiedz mi - powiedział Jack Logan miękko - o co chodziło z April Dawson?

- Mogę powiedzieć ci najpierw coś innego?

- Jasne.

- Dopiero po twoim spotkaniu ze Stuartem dowiedziałam się, że będziesz remontował dom mojej matki. W ogóle o remoncie dowiedziałam się dopiero wtedy.

- Naprawdę? Naprawdę nic nie wiedziałas?

- Naprawdę.

- A gdybyś wiedziała o tym wcześniej?

- Nikt by cię nie sprawdzał. I oczywiście zostałbyś zatrudniony. Było ci przykro, że zostałeś tak dokładnie sprawdzony?

- Nie, do dzisiaj, kiedy cię zobaczyłem i zacząłem się zastanawiać, czy to przypadkiem nie ty tego chciałaś.

- Nie, Jack, nie. Uwierz mi, proszę...

- Wierzę ci, Paige. I jak już powiedziałem, aż do dziś nie było mi z tego powodu przykro. Nie miałem nic przeciwko temu, by Stuart mnie sprawdził. To dobry człowiek. No i leżało to w interesie twojej matki.

- O, tak.

- I nosi nazwisko Dawson. Tak jak dziewczyna, którą kiedyś znałem... a Stuart nie zna... przynajmniej nie jako April.

- Zapytałeś go?

- Czy przypadkiem nie jest spokrewniony z April Dawson? Oczywiście. Powiedział, że nie ma żadnej rodziny.

- Bo tak jest. Ale opiekuje się moją matką. I mną. Zawsze tak było.

- To dobry człowiek.

- Tak, bardzo dobry.

- Więc cieszę się, że mnie zaakceptował. Jestem też pod wrażeniem profesjonalizmu, z jakim sporządził raport.

- Widziałeś go?

- Kiedy Stuart przyznał, że mnie sprawdzał, poprosiłem go o kopię. A ty go widziałeś, Paige?

- Tak.

- I czytałaś? - Tak uważnie, jak dziewczyna z biblioteki czytała swoje notatki. Jack widział odpowiedź na swoje pytania w jej błękitnych oczach. - Więc znasz już fakty z mojego życia. Małżeństwo. Rozwód. Finanse. Rodzina. A teraz opowiedz mi o sobie. Zaczynając od April Dawson. Kim ona jest?

- Nikim, Jack. Ona nie istnieje.

- Ale oboje wiemy, że istniała. Dlaczego?

- Bo byłem ciekawa, jak to jest być kimś innym. Nie nosić żadnej etykiety.

- Na przykład etykiety z nazwiskiem Forrester?

- Tak. I z napisem „studentka medycyny”.

- Kiedy postanowiłaś stać się April Dawson?

- Tego wieczoru, kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy. April Dawson zmarła tego wieczoru, kiedy się rozstaliśmy.

- Ale już wcześniej zaczęłaś się uczyć w bibliotece Wydziału Dramatycznego. Dlaczego?

- Bo nie przychodzili tam studenci medycyny. Nie, żebym chciała uniknąć presji, jaka jest ich udziałem, uczucia, że tak długo, jak inni się uczą, ja też powinnam. To nie był problem. Ja i tak zawsze wychodziłam ostatnia. Problem polegał raczej na tym, że inni studenci chcieli się uczyć ze mną.

- Bo byłaś najlepsza?

-Nie. To znaczy, zawsze miałam dobre oceny, ale nie przychodziło mi to bez trudu. Musiałam się dużo uczyć, a nie bardzo mi się to udawało w grupie.

- Więc kiedy im odmawiałaś, czułaś się winna, a kiedy się zgadzałaś, musiałaś potem poświęcić dodatkowo kilka godzin na studiowanie w samotności?

- Ty też?

- W pewnym sensie. Byłem popularny, bo grałem w futbol.

- Ale studenci inżynierii budowlanej też chcieli się z tobą uczyć, prawda? Bo ty istotnie byłaś najlepszy?

Jack uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Nie najgorzej mi szło. Dobrze sobie radziłem na testach.

Paige też się uśmiechnęła, po czym zmrużyła oczy.

- Rozwiązywałeś standardowe testy, nawet jeśli przedmiot był ci całkiem obcy?  
- Oczywiście nie bezbłędnie, ale... wiesz, jest w tym pewna metoda. Wzór. Poza tym, to wiem już na pewno, mój mózg tak działa. Pomagało mi to na boisku, bo potrafiłem dostrzec układ graczy i przewidzieć rozwój gry, a w mojej pracy pomaga mi to wyobrazić sobie oddzielne elementy konstrukcyjne jako jedną całość i różnych podwykonawców jako jedną ekipę. Ale nie rozmawiamy o mnie, pamiętasz? Wróćmy do ciebie do Paige.

- To znaczy do April.

- Nie - powiedział Jack. - Do Paige. Cierpiałas na bóle głowy, prawda?

- Tak. Skąd wiedziałeś?

- Siedziałaś tak nieruchomo, kiedy się uczyłaś. Prawie nie ruszałaś głową. Ograniczyłaś przyjmowanie leków, ale ciągle je brałaś. Miałaś częste migreny?

- Nie. Byłam tylko bardzo spięta.

- Dlaczego?

- Dlaczego czułam się spięta? Bo taka już jestem. Wiele od siebie wymagałam. Zawsze. Pamiętasz starszą siostrę April?

- Pierworodną córkę, która wiele od siebie wymagała i czasem czuła się samotna?

- Tak. Była odpowiedzialna i bardzo się starała.

- Pamiętam ją, Paige. Bardzo dobrze. Chciała zostać lekarzem z powodu ojca, który był chirurgiem. Twoja matka powiedziała mi, że twój ojciec, chirurg, został ranny w wypadku samochodowym i zmarł pięć dni później. Czy w wieku siedmiu lat postanowiłaś, że pójdziesz w jego ślady?

- Tak. Ale na szczęście w szkole średniej podczas wakacji pracowałam, zbierając dane dla instytutu onkologii, i okazało się, że medycyna to naprawdę jest to, czym chcę się zajmować. Przez pewien czas próbowałam odtworzyć drogę kariery ojca. Studia w Stanford, praca w Centrum. To się zgadza.

- Ale nie jesteś chirurgiem.

- Nie. W końcu z tego zrezygnowałam. Byłam kiepska. Mimo że moja matka jest artystką, a ojciec był chirurgiem, moje ręce są do niczego. - Paige spojrzała na swoje zaciśnięte dłonie leżące na jej kolanach. Widzisz, Jack? Taka właśnie jestem. Spięta. Skrępowana. I tyle. Paige spojrzała w stronę basenu. - Który z nich to Lany?

- Ten chudy, najbliżej zegara.

- Nie wygląda groźnie.

- Nie. Na razie. Przyjaźni się z Beth. Od drugiej klasy. Na razie tylko Dina zauważa, że jest odmiennej płci.

- Ale wiesz, że Beth też może to pewnego dnia zauważyć?

- Nie zdziwiłbym się. Na szczęście na razie kokieteria Diny wprawia go w zakłopotanie.

Tak jak i Beth.

- Ale Dina jest uparta, prawda?

- Owszem. Jest najlepszą przyjaciółką Beth. Od kilku lat.

- Choć jest trochę starsza.

- Nie trochę. Całe trzy miesiące.

- W okresie dojrzewania trzy miesiące to dużo.

- Bardzo dużo. Ale prawdę mówiąc, ta różnica między nimi dopiero niedawno stała się widoczna. Poza tym Dina zawsze lubiła odgrywać przy Beth rolę starszej siostry. To miła dziewczyna, Larry jest wspaniałym dzieciakiem, a Beth jest...

- Śliczna.

- Śliczna - powtórzył Jack z zachwytem i miłością. - I niewinna. Oczywiście wspominam teraz czasy, kiedy sam miałem dwanaście, trzynaście lat, i ogarnia mnie przerażenie.

- Jesteś wspaniałym ojcem.

- Jestem po prostu ojcem, Paige.

- Jesteś wspaniałym ojcem, który się martwi.

Jack skinął głową.

- Kiedyś, kiedy Beth była jeszcze bardzo mała, powiedziałem sobie, że uchronię ją przed złem tego świata. Wydawało mi się, że muszę tylko umieć przewidzieć nieszczęśliwe wypadki, jakie mogą jej się przytrafić, i choroby, na jakie może zapaść. To trudne, ale możliwe. Zwłaszcza dopóki była mała. Ale ona dorasta, a świat się zmienia. Poradziliśmy sobie ze świnką i ewentualnymi powikłaniami, ale jest jeszcze szkarlatyna i ospa, przez które trzeba będzie przejść w przyszłości. Bardzo się tego boję. No i okres dojrzewania. Chłopcy, samochody, burza hormonów, narkotyki...

- Beth nie bierze narkotyków!

- Nie bierze. I mówi, że nigdy nawet nie spróbuje. Ale kto wie, z czym spotka się w przyszłości, jak bardzo będzie kiedyś zagubiona?

- Ty będziesz o tym wiedział - stwierdziła Paige. - Beth ci powie.

- Mam nadzieję.

- Ale nie jesteś pewny? Widać, że ona bardzo cię kocha, Jack. I ufa ci.

- Ona czuje się zagubiona, Paige. Coś ją dręczy. Jakiś smutek. Właściwie zawsze była poważna.

- Wrażliwa?

Jack znowu skinał kłową.

- Zawsze nurtowały ją różne sprawy. Ale przedtem zawsze mówiła mi, że o czymś rozmyśla i że wkrótce będzie chciała o tym porozmawiać. Kiedy przetrwała to już w samotności, przychodziła do mnie i omawialiśmy to.

- A co ją tak nurtowało?

- Och, wiesz, różne rzeczy, zagadki życia. Na ogół zna odpowiedź na swoje pytanie i o niej chce rozmawiać. Na przykład zastanawiała się, dlaczego ludzie ranią innych. Doszła do wniosku, że to dlatego, że wcześniej ktoś zranił ich. Albo dlaczego psy nie żyją tak długo jak ludzie. Beth uważa, że dlatego, by człowiek mógł opiekować się swoim psem i kochać go przez całe psie życie. Pies cierpiałby bardziej niż człowiek, gdybyś jego pan umarł pierwszy.

- Och, Jack...

- Chcę, żeby rozmawiała ze mną o wszystkim, Paige. O wszystkich swoich smutkach, zmartwieniach, przemyśleniach. Do tej pory tak było.

- A teraz wydaje ci się, że coś ją trapi?

- Tak.

- Możesz ją o to zapytać.

- Pewnie tak zrobię. Chociaż z drugiej strony coś mi mówi, że może powinienem jej dać prawo do odrobiny prywatności. Do własnych małych tajemnic. Powtarzam sobie, choć bez przekonania, że każdy od czasu do czasu odczuwa smutek. Beth nie może przecież być szczęśliwa przez całe życie, choć jej ojciec bardzo by tego chciał.

Szczęśliwa, pomyślała Paige. I bezpieczna. Jeśli istniał na świecie ojciec zdolny dać to swojej córce, to był nim Jack. W końcu to on sprawił, że kiedyś czuła się szczęśliwa.

Jack, który zrobił, co mógł, by ją ocalić.

## Rozdział 9

- Miałaś rację, co do tych tabletek, Jack. - Paige przerwała ciszę, w której słychać było tylko plusk wody rozbryzgiwanej przez ośmiu nastolatków i dopingujące okrzyki publiczności. Chłopcy przepłynęli właśnie jedną długość basenu. - Brałam ich za dużo.



- Ale to były tylko dostępne bez recepty tabletki od bólu głowy?

- Tak. To były tabletki od bólu głowy popijane dietetyczną colą.

- Mów.

- Mam uszkodzone nerki. Nazywa się to analgezja nefropatyczna i jest spowodowane długotrwałym nadużywaniem leków przeciwbólowych.

- Dostępnych bez recepty - powtórzył Jack.

- Tak.

-Jakich?

- Tu właśnie wszystko się komplikuje. Kwestia ta wzbudziła wiele sporów i kontrowersji. Największy problem to metodologia. Nie można, rzecz jasna, zaplanować badania, w którym grupie pacjentów zostanie podana odpowiednia dawka leku i czekać na efekty w nadziei, że wystąpi u nich uszkodzenie nerek. Więc trzeba bazować na opisanych przypadkach. Pacjentów, u których wykryto chorobę nerek, prosi się, by przypomnieli sobie, jakie ogólnie dostępne leki przeciwbólowe przyjmowali, w jakich dawkach, i czy brali w tym czasie jakiegokolwiek inne farmaceutyki... - Paige urwała i pokiwała głową. - Przepraszam!

- Za co?

- Za ten wykład.

- Odpowiadasz na moje pytanie. Jak dotąd wszystko rozumiem. A jeśli czegoś nie zrozumie, poproszę, żebyś mi to wyjaśniła.

- Dobrze. Pierwsze przypadki opisano prawie pięćdziesiąt lat temu. Lek przeciwbólowy nazywał się fenacetin i został wycofany ze sprzedaży. Ale jego głównym składnikiem był i jest acetaminofen.

- Tylenol?

- Tak, tylenol.

- Słyszałem, że tylenol może uszkadzać wątrobę.

- Tak, i to zarówno przyjmowany w bardzo dużych dawkach, jak i w ilościach zalecanych przez producenta, zwłaszcza w połączeniu z alkoholem. Jeśli chodzi o wątrobę, nie ma wątpliwości.

- A jeśli chodzi o nerki?

- To inna sprawa. Jest wiele powodów, dla których należy być bardzo ostrożnym przy ustalaniu związków tylenolu, czy innych leków przeciwbólowych, z chorobami nerek. Większość pacjentów cierpiących z powodu chronicznego bólu przyjmuje wiele różnych środków przeciwbólowych. Mnie również to dotyczyło. Z danych może wynikać, że dopiero kombinacja różnych środków powoduje choroby nerek. Kofeina także może mieć na to wpływ. Pamiętajsz

te wszystkie dietetyczne napoje, którymi popijałam tabletki?

- Chyba się nie obwiniasz?

- A kogo innego mogłabym obwiniać? Musiałam wiedzieć, że przyjmowanie tak dużych ilości leków może zrujnować mi zdrowie. A nawet gdybym nie wiedziała, informacje na fiolkach były czytelne i zrozumiałe. Ogólnodostępne środki przeciwbólowe powinny być stosowane tylko przez krótki okres, najwyżej kilka dni. Zalecane dawki są zazwyczaj niewielkie, ja natomiast pochłaniałam je całymi garściami. Przekraczałam zarówno zalecane dawki, jak i czas przyjmowania tych środków. Sądzę że takie właśnie są przyczyny uszkodzenia nerek w przypadku większości pacjentów z analgezią nefropatyczną. Ogromne ilości pigułek, dzień w dzień.

- Ale ciębie codziennie bolała głowa.

- Sama byłam sobie winna. A czasami, dość często, brałam leki, choć głowa mnie właściwie nie bolała, profilaktycznie, na wypadek, gdyba miała mnie rozboleć i utrudnić naukę.

- A teraz miewasz bóle głowy?

- Czasami.

- I -I co?

- Mijają.

- Ty sprawiasz, że mijają.

- Tak.

- A możesz zrobić to samo z analgezią nefropatyczną?

- Nie. To nieodwracalne uszkodzenie nerek.

- Więc co można z tym zrobić?

- Cóż, trzeba sobie jakoś radzić, co mnie niespecjalnie się udaje.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś trudną pacjentką.

- Nie, staram się nią nie być. Teraz doceniam to, do czego zdolne są nerki, kiedy funkcjonują normalnie. To niezwykle. Można faszerować się proteinami, wapnem, potasem, przystosują się do wszystkiego. Ale moje nerki nie funkcjonują normalnie.

- Twoja matka nie wie, prawda?

- O mojej chorobie? Nie.

- Dlaczego?

- Po co miałabym ją martwić?

- Bo jesteś jej córką. Jej zadaniem jest martwić się o ciebie...

- Mówisz jak prawdziwy rodzic.

- Rodzic, który boi się, że jego córka kiedyś coś przed nim ukryje, coś, co naprawdę powinien wiedzieć.

- To nie takie proste w przypadku mojej matki.

- Mówisz jak prawdziwa córka. Masz na myśli jej agorafobię?

- Powiedziała ci o tym?

- Nie miała wyboru. Fachowcy zawsze wysyłają swoich klientów do sklepów w całym mieście. Twoja matka dała mi jasno do zrozumienia, że nie lubi opuszczać domu.

- Naprawdę użyła słowa „agorafobia”?

- Tak, i zdefiniowała je jako pragnienie unikania stresujących sytuacji, które pojawiają się, ilekroć zrobi choć jeden krok poza próg posiadłości.

- Ale zaproponowałaś jej, żeby wybrała się na basen.

- Pomyślałem, że jeśli będzie z tobą, a także ze mną i z dziewczynkami, nie będzie to dla niej tak stresujące. Zakładam, że chciałyby wychodzić z domu.

- Ja nie mam co do tego pewności.

- Bo za tym kryje się coś jeszcze, prawda? Coś, czego nie rozumiem. I nic dziwnego. Zastanawiałem się, co takiego w świecie zewnętrznym może być stresujące dla Claire Forrester. Z pewnością nie ludzie, nawet i Obcy, ani to, czego nie może przewidzieć. Przyprawiałem do niej różnych podwykonawców, często bez uprzedzenia. Witła wszystkich, jakby na nich czekała, jakby każdy był jej rodzonym bratem, którego od dawna nie widziała. Mówi, że cieszy się na te sześć miesięcy remontu, bo będzie to dla niej świetna zabawa. Jestem przekonany, że naprawdę chce, żeby Beth i Dina pływały się po jej domu.

- Bo tak jest, Jack. Oczywiście. Będzie zachwycona, że ma dziewczynki u siebie. I ekipę remontową. Im więcej, tym weselej.

- Więc nie ma nic przeciwko temu, żeby świat przychodził do niej, ale nie chce, boi się, wyjść do świata?

- Dokładnie tak. Wszystko rozumiesz, Jack.

- Nie rozumiem dlaczego, Paige. Czy ty wiesz?

- Sądzę, że tak. To nie świat ją przeraża, tylko myśl, że mogłaby oddalić się od domu. Boi się, że podczas jej nieobecności pojawi się tam coś ważnego. Czy też raczej ktoś.

- Kto?

- Mój ojciec.

- Twój ojciec? - powtórzył Jack. - Który zmarł pięć dni po twoich narodzinach?

- Tak. I nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Ona była z nim, patrzyła na niego. Ich historia nie miała szczęśliwego zakończenia. On nie zbudził się z trzydziestoletniej śpiączki, nie

powróci nagle po tym, jak błąkał się po świecie, nie wiedząc, kim jest. On nie żyje. Ona wie, że on nie żyje. Ale czeka na niego, Jack. Od trzydziestu jeden lat czeka na ducha.

- Ona ją zna - stwierdziła Dina po raz setny. - Na pewno.

- Tak myślisz?

- Wiem to, Beth. Jak sądzisz, kim była ta dziewczyna, z którą spotykał się twój tata? Twoją matką, oczywiście. Doktor Forrester, Paige, zna ją. Sama widziałaś, jak ze sobą rozmawiali. Byli bardzo poważni. Paige przyjaźniła się z twoją matką i pewnie dlatego masz na imię tak, jak ona na drugie. Wspaniale, Beth. Teraz możesz się wszystkiego dowiedzieć.

## Rozdział 10

Larry zwyciężył w stylu zmiennym, podciągnął swoją drużynę na trzecie miejsce na stu metrach i był drugi w kraulu na dystansie pięćdziesięciu metrów.

Pierwsze miejsce w stylu zmiennym było miłą niespodzianką. Wszyscy sądzili, że zawodnik z Bayside, który ustanowił rekord regionu, utrzyma tytuł. Wynik drużynowy także był lepszy od przewidywanego. Dzięki Larry'emu. Kiedy skakał do wody, sytuacja Akademii Marina View nie wyglądała wcale tak różowo.

Jednak największym i najwyraźniej bardzo nieprzyjemnym zaskoczeniem było drugie miejsce Larry'ego w kraulu. Sądząc po reakcji jego ojca, była to prawdziwa tragedia.

- Mogłabym go zabić - powiedziała Paige do Jacka, przyglądając się tej scenie z górnych rzędów. Byli zbyt daleko, by słyszeć słowa, ale gestykulacja mężczyzny nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

- Ja też - zgodził się Jack. - Wiele razy odczuwałem taką pokusę.

- Rozmawiałeś z nim?

- Oczywiście. Raz, w takiej chwili, jak ta. Bez skutku. I wiele razy przy różnych okazjach w ciągu ostatnich czterech lat. Wtedy jest całkiem rozsądny. Mówi do rzeczy. Przyznaje, że niepotrzebnie traci nad sobą panowanie, i przysięga, że już nigdy tego nie zrobi. A potem... sam widzisz. Na szczęście Lany zaczyna rozumieć, że to wyłącznie problem ojca. Jeszcze nie całkiem to pojmuje, ale na razie Beth zachwyca sam fakt, że daje nura do wody, a Dina jest jego najwierniejszą wielbicieleką.

- Ty także mu kibicujesz.

- No jasne. Mam zamiar zaproponować mu, żeby poszedł z nami na kolację. Z nami, to znaczy także z tobą.

- Och. Ja...

- Umawiałem się z dziewczynkami, że pójdziemy do Wharf, ale równie dobrze możemy zjeść gdzie indziej, jeśli wolisz. Na pewno istnieje kuchnia najbardziej dla ciebie odpowiednia.

- Właściwie mogę jeść po trochu z każdej kuchni.

- Świetnie. Ale?

Ale może matka i córka miały jednak coś wspólnego: skłonność do fobii?

Przypadłość Paige mogłaby nazywać się nefrofobia. Lęk przed wszystkim, co może mieć związek z nerkami.

Duszności wywoływały u niej panikę, gdyż mogły być wynikiem nadmiaru płynów gromadzących się w płucach. Już samo wspomnienie duszności budziło strach. Paige bała się też utraty przytomności, osłabienia, pragnienia. Musiałaby też bardzo uważać na to, co je. Z całą pewnością dziewczynki i Larry zastanawialiby się, co z nią jest nie tak.

Ale nie tylko strach powodował, że jej serce zaczynało bić szybciej. Inne wspomnienie budziło lęk. Ale i zachwyty. Tak właśnie się czuła wtedy, dwanaście lat temu, z Jackiem... i tak samo czuła się przy nim teraz.

Paige miała ochotę zwinąć się w kłębek w jego ramionach i mrużyć w rytm uderzeń jego serca: trzymaj mnie, chroń mnie, spraw, by wszystko, co złe, odeszło w cień.

Ale to „wszystko” tkwiło przecież w niej samej. Wewnętrzna presja, poczucie, że musi starać się jeszcze bardziej i robić jeszcze więcej. Ta postawa pomogła jej odnieść sukces, ale także doprowadziła do ciężkiej choroby.

Jack o tym wiedział.

A jednak patrzył na nią tak, jakby bardzo chciał, by wtuliła się w jego ramiona. Zdawał się mówić, że ją ochroni przed wszystkim, co złe.

- Paige?

- Bardzo bym chciała pójść z wami, Jack, naprawdę... ale może przełożymy to na kiedy indziej? Teraz powinnam iść do domu i trochę się przespać.

- Dobrze. Zgoda. Możemy pójść na kolację innym razem. Kiedy tylko zechcesz.

I zrobimy to, dodali oboje w myślach.

Wschodzący księżyc lśnił złotawo, migocząc zimnym blaskiem w nocnym powietrzu.

Ale w miarę upływu czasu jego światło nabierało krwawego odcienia. Rodzice małych dzieci, a nawet ojciec pewnej jedenastolatki, cieszyli się, że ten księżycowy krwotok zaczął się

dopiero wtedy, kiedy ich pociechy zapadły już w sen.

Takiego księżycyca dzieci nie powinny oglądać.

Nikt nie powinien oglądać takiego księżycyca, powiedziałyby większość mieszkańców San Francisco.

Nikt, kto dostrzegł to straszne światło, nie był w stanie o nim zapomnieć. Tylko ci, na których czekały niecierpiące zwłoki obowiązki, potrafili odwrócić się od tego grzesznego księżycyca. Zwłaszcza pracownicy stacji telewizyjnych i redakcji dzienników musieli skoncentrować się na ważniejszych sprawach. Widzowie nocnych wiadomości i czytelnicy porannych gazet będą oczekiwali naukowego wyjaśnienia tego dziwnego zjawiska. Niektórzy będą się też spodziewali, że jego barwa zostanie precyzyjnie nazwana już na pierwszej stronie.

Purpurowy księżyc.

Szkarłatny księżyc.

Pąsowy księżyc.

Większość jednak przyzna, że dokładne określenie koloru nie *ma* większego znaczenia.

Czytelnicy i widzowie będą oczekiwali zapewnienia, że ten krwawy księżyc był zjawiskiem, jakiego najprawdopodobniej już nigdy więcej nie zobaczą.

Claire Forrester chciałyby móc powiedzieć, że nigdy wcześniej nie widziała takiego księżycyca. Ale widziała. Wtedy, drugiego listopada, dokładnie o tej samej porze, o północy. Trzydzieści jeden lat temu.

Wtedy właśnie zmarł Alan.

Claire ani wtedy, ani teraz nie próbowała określić tego koloru. I wówczas, i dziś widziała dwie barwy: czerwień i fiolet. Ten sam zniechęcony, połyskujący tłusto fiolet, przez który połała się krew tylu ludzi.

„Kocham cię, Claire. Kocham cię”.

Po tym jak wyszeptał te słowa, Alan stracił przytomność. Kilka sekund później zemdlała Claire. Ale słyszała te słowa, widziała miłość...i krew, która wypłynęła z ust Alana.

Zrozumiała, że on umrze i że nie pozwoli jej umrzeć wraz z nim. Że w ogóle nie pozwoli jej umrzeć. Jego słowa i zawarta w nich moc zapadły jej głęboko w serce. Dawały siłę do walki.

Claire obudziła się w szpitalu w Monterey. Mąż był na jednym oddziale intensywnej terapii, a córka na drugim. Przez pięć dni i nocy Claire dzieliła czas między ich dwoje. Rozdarta, nękana lękiem o jedno, kiedy czuwała przy drugim. Wiedziała jednak, że dzięki obecności

Mariel, ani Alan, ani Paige nigdy nie byli sami.

A kiedy Stuart przyjechał wreszcie z zasypanego śniegiem lotniska, on także zaczął czuwać przy szpitalnych łózkach. Podczas gdy Mariel i siedziała przy jednym, on mógł być przy drugim, zaproponował więc Claire, by odpoczęła trochę, przespala się albo przynajmniej poleżała. Ale Claire nie była w stanie odpoczywać. Ani przez chwilę. W porównaniu ze swoją rodziną czuła się bardzo zdrowa. Owszem, straciła trochę krwi. Nawet dość sporo. Po narkozie czuła się oszołomiona i zdezorientowana. Ale przecież nie była w śpiączce, jak Alan. Jej organy wewnętrzne nie zostały zmiażdżone, jej kręgosłup nie był złamany, jej płuca nie krwawiły. W przeciwieństwie do swojej córki nie miała żółtaczki, nie leżała pod kroplówką, nie walczyła o życie.

Alan i Paige byli umierający. Konali. Prognozy lekarzy nie pozostawiały wątpliwości co do ich losu.

Ale Claire okłamywała ich oboje.

-Zaczekaj tylko, aż ją zobaczysz, Alanie. Jest taka śliczna. Wygląda tak jak ty, mój kochany. Dokładnie tak jak ty.

- Zaczekaj, aż zobaczysz tatusia, Paige. Zaczekaj, aż weźmie cię na ręce. On tak bardzo cię kocha. Oboje cię kochamy. Zawsze będziemy cię kochali.

Tamtej nocy trzydzieści jeden lat temu Claire przestała kłamać.

Musiała przestać.

Alan umarł.

A krwawy księżyc lśnił ponuro na czarnym niebie. Tak jak dzisiaj.

Kiedy rozległ się dzwonek telefonu, Claire odczuła ulgę i wdzięczność. Wiedziała, kto dzwoni.

## Rozdział 11

- Ty też na niego patrzysz - powiedziała Claire przez telefon do człowieka, który trzydzieści jeden lat temu dotarł w końcu ze śnieżnego Chicago do burzliwego Monterey. Był wtedy przy niej, pomógł jej przetrwać to, co wydawało się nie do wytrzymania.

- Tak, patrzę na niego.

- Jak sądzisz, co to oznacza?

- Nic, Claire. Zupełnie nic. Ale jeśli interesują cię teorie meteorologiczne, to słyszałem,

że podobno zimne powietrze utworzyło warstwę, która zatrzymała niezwykle dużą ilość smogu.

- Ale w Monterey nie było smogu w ciągu tych pięciu dni. I aż do tamtej nocy nie padał deszcz, prawda?

Pięć dni, powtórzył Stuart w myślach. Aż do tej nocy.

Przez wszystkie te lata ani on, ani Claire nie zrobili w swoich rozmowach najmniejszej nawet aluzji do pięciu ostatnich dni życia Alana. Oczywiście rozmawiali o nim. O dawnych dobrych czasach, o wielkiej miłości. Ale nie o tych pięciu dniach, kiedy tak wiele się skończyło. Po cóż mieliby to robić? Nie było o czym mówić, nie trzeba było wspominać. Oboje przy tym byli. Oboje mieli te chwile wyryte w sercach.

A w każdym razie tak wydawało się Stuartowi.

- Nie pamiętasz? - zapytał.

- Czy padało? Chyba pamiętam. Ale im bardziej staram się pamiętać, jak to było, tym bardziej to wszystko wydaje mi się mgliste.

- Dlaczego chcesz pamiętać?

Dlaczego nie potrafisz i nie chcesz zapomnieć?

- Bo jest coś, co powinnam sobie przypomnieć, Stuarcie. Zachowałam strzępy wspomnień, przeblyski pamięci, ale nie potrafię złożyć tego w całość. A muszę to zrobić.

- Od dawna próbujesz tego dokonać?

- Och, sama nie wiem. Chyba od wiosny.

Stuart obawiał się, że tak właśnie będzie brzmiała odpowiedź. Słowa Claire potwierdziły tylko to, co w ciągu ostatnich miesięcy było boleśnie oczywiste. Zdecydowała się odnowić dom, o czym powiedziała mu wiosną, ale nie dlatego, że postanowiła odmienić swoje życie. Użyła słowa „odnowa” w jego najbardziej dosłownym znaczeniu – doprowadzenia domu do takiego stanu, w jakim był na początku, sprawienia, by był jak nowy, czyli w tym przypadku taki, jak wtedy, kiedy ostatnio został gruntownie odremontowany, od piwnic aż po dach. Na krótko przed ślubem Alana.

„Odnowa” nie zwiastowała zmian. Decyzja o remoncie domu zbiegła się z poszukiwaniem w mrokach pamięci zagubionych wspomnień. Wszystko to świadczyło o tym, że Claire tylko poleruje swoją piękną przeszłość i nie myśli o tworzeniu pełnej blasku przyszłości.

Świadomość ta była dla Stuarta bardzo bolesna, chciał jednak pomóc Claire. Jak zawsze.

- Opowiedz mi o tych przeblyskach.



- Idę w deszczu. Jest ciemno. Zimno. Sądzę, że to noc, kiedy wydarzył się wypadek. Albo następna. Jedna z nich, na pewno. Ty jesteś ciągle w Chicago. Jeszcze nie wróciłeś.

- Skąd wiesz?

- Wiem, bo gdybyś był wtedy w Monterey, byłbyś przy mnie. A w tym wspomnieniu jestem bardzo samotna. I zrozpaczona.

Ciągle jesteś bardzo samotna, Claire. Byłbym przy tobie teraz, gdybyś mi tylko na to pozwoliła.

- Gdybyś istotnie błąkała się wówczas w deszczu, nie mogłabyś być z Paige ani z Alanem. A wiem, że chciałaś być z nimi przez cały czas.

- Ale ja wiedziałam wtedy, że nie jestem z nimi, i nie dlatego czułam się tak zrozpaczona. Oni wiedzieli, że muszę coś zrobić. Chcieli, żebym to zrobiła. Oni - powtórzyła cicho - mój konający mąż, moje ciężko chore dziecko. To brzmi jak jakiś sen, prawda? Koszmarne sen. Ale wydaje się takie realne. Czy ktoś ci powiedział, że wyszłam ze szpitala?

- Nie. Ale nie zdziwiłbym się, gdybyś tam zabłądziła. Ten szpital to prawdziwy labirynt. Mogłaś przez przypadek trafić do wyjścia. A co mówi Mariel?

- Nie pytałam jej. I nie mam zamiaru. Rozmowa o tamtych czasach byłaby zbyt bolesna dla nas obu.

- Chcesz, żebym ja ją zapytał?

- Nie, dziękuję.

- Więc jak chcesz się z tym uporać?

- Muszę sobie przypomnieć, co się wtedy wydarzyło.

- A jeśli okaże się, że to niemożliwe?

- Wtedy będę musiała przyjąć do wiadomości, że to tylko moja wyobraźnia, halucynacje. Bardzo prawdopodobne, że to wszystko było tylko wynikiem depresji poporodowej.

- Co?

- Nigdy nie przyszło ci to do głowy?

- Nigdy. Byłaś w rozpaczy, Claire. Jak my wszyscy.

- Tak, ale na krótko przedtem urodziłam dziecko. Gdybym wówczas uległa psychozie, nikt nawet by tego nie zauważył. Niczego ode mnie nie oczekiwano. Byłam jak zombi, poruszałam się jak we śnie.

- To nieprawda. Byłaś całkiem przytomna, Claire, ze wszystkich sił walczyłaś o Alana i Paige.

- O Alana, być może. Ale on umarł, a Paige została przeniesiona na oddział

noworodków...

- Byłaś z nią, Claire, przez cały czas. Mówiłaś do niej, dotykałaś jej, dodawałaś jej otuchy, bez przerwy.

- Nie bardzo udało mi się dodać jej otuchy, prawda?

- Oczywiście, że ci się udało.

- Nie. Gdyby tak było, przychodziłaby do mnie, żebym dodała jej otuchy później, kiedy była już dość duża, by świadomie dokonać wyboru. A oboje wiemy, że nigdy tego nie zrobiła. Czemu miałyby być inaczej? Wiedziała, że nie jestem godna zaufania. Miałam swoją szansę, kiedy była jeszcze w moim łonie, ale zmarnowałam ją, schodząc w dół urwiska do Alana.

- To nie był powód przerwania łożyska.

- Wszyscy tak mówią, ale skąd mogą wiedzieć? Liczy się tylko wpływ, jaki to miało na Paige. Była bezpieczna i zdrowa, a wystarczyła chwila, by musiała walczyć o życie.

- Ale przeżyła.

- Nie dzięki mnie, Stuarcie. Gdyby pogotowie nie przyjechało na czas, gdyby nie zdążyli mnie przewieźć do szpitala, gdyby urodziła się w lesie, a nie w klinice... A i tak była słaba, taka chora.

- Urodziła się pięć tygodni przed terminem.

- Tak, i potrzebowała tych pięciu tygodni. Bardzo. Mogła przyjść na świat wtedy, kiedy powinna, ale...

- To nie twoja wina, że była wcześniakiem. Paige cię kocha, Claire.

- A ja kocham ją, Stuarcie. Wiesz, że tak. Ale wiesz też, wszyscy wiemy, że nigdy nie byliśmy sobie bliskie. A gdybyś widział ją dzisiaj, i kiedy wpadła do mnie zobaczyć się z Jackiem i dziewczynkami... Była taka wyczerpana. Ona tak bardzo potrzebuje jakiejś bezpiecznej przystani, ale wie, że ja jej tego nie dam. Przy mnie jest taka spięta, czujna, tak i bardzo stara się być idealną córką. Zastanawiam się czasem, czy jej perfekcjonizm nie jest kolejnym skutkiem tego, że nie mogłam jej karmić przez tych kilka pierwszych miesięcy życia.

- Perfekcjonizm Paige nie ma nic wspólnego z tobą, Claire, ani z tym, czy ją karmiłaś, czy nie. To kwestia osobowości, cecha, którą odziedziczyła po Alanie, tak jak zewnętrzne podobieństwo.

- Alan nie był perfekcjonistą! Nie wymagał od siebie tyle, co Paige.

- Owszem, wymagał. Więcej nawet niż Paige. A to, że Paige jest taka delikatna i łagodna, zawdzięcza tobie. Alan też stał się przy tobie bardziej czuły, szczęśliwszy. To szaleństwo.

- Owszem.

- Jesteś najmniej szaloną osobą, jaką znam

- Poza... - Claire urwała i jęknęła z bólu. Znała już ten ból, odczuwała go coraz częściej. Nasilał się. Wstrzymała oddech, ale to tylko pogorszyło sytuację.

- Claire?

- Poza tym, że - podjęła, starając się stłumić palący ból w żołądku - nigdy nie wychodzę z domu. Ty, Paige, Mariel i inni przyjaciele od trzydziestu lat usiłujecie jakoś obchodzić tę moją przypadłość.

Nie od trzydziestu lat, pomyślał Stuart. Być może Claire już wówczas zaczęła czuć, że nie chce wychodzić z domu. Ale dla tej małej dziewczynki, która potrzebowała matki, Claire opuszczała dom, by pójść do biblioteki, na przyjęcie urodzinowe koleżanki, na szkolną imprezę. Stuart często im towarzyszył i zawsze dobrze się bawił. Aż pewnego razu dostrzegł w oczach Claire panikę, którą udawało jej się ukrywać przez wiele lat.

Spostrzeżenie to przyniosło bolesną świadomość. Tak jak Claire nie była bezpieczną przystanią dla swojej córki, tak on nie był bezpieczną przystanią dla Claire. Nie wtedy, kiedy opuszczała przystań mającą dla niej największe znaczenie: dom, w którym mieszkała z Alanem.

Stuart wiedział, że Claire nie wyszła z domu od dnia, w którym Paige skończyła studia.

A teraz Claire odnawiała dom, by wyglądał znowu tak, jak wtedy, gdy żył Alan. Chciała, by posadzki lśniły, ściany jaśniały świeżością, a niewidoczna konstrukcja opierała się czasowi.

Przyznała się do jednego niewyraźnego wspomnienia, a może były i inne, które zbladły, a ona postanowiła przywrócić im dawny blask.

- Claire?

- Stuarcie?

- Może zabrałbym cię jutro na lunch? Do Top of the Mark?

- Naprawdę sądzisz, że mogłabym wyjść?

- Wiem, że byś mogła. - Gdybyś tylko tego chciała, chciała mnie. Gdybyś chciała w życiu jeszcze czegoś poza blednącymi wspomnieniami o Alanie. - Przyjadę po ciebie o dziesiątej.

- Och, Stuarcie. - W jej głosie był strach. - Nie mogę.

- Och, Claire - powiedział łagodnie, uśmiechając się lekko, choć bolało go serce. - Wiem.

Gweneth St. James nigdy nie widziała czerwonego księżyca. Ale wiedziała, że taki księżyc świecił nad klasztorem kilka nocy przed tym, jak ją tam przywieziono. Siostra Mary Catherine jej o tym powiedziała i dodała, że to znak. Niebiański dowód na to, że jej znamię jest śladem bożego błogosławieństwa.

O północy Gwen błąkała się po bezdrożach Internetu, nieświadoma księżyca. Zajmowała się tym od dziewiątej. Zanim usiadła przed komputerem, wspominała wydarzenia tego popołudnia, od spotkania Paige przy wejściu do szpitala, aż do ich pożegnalnego uścisku. I obietnicy, że spotkają się na kawie. Dwie godziny - tylko tyle to wszystko trwało.

W tym czasie Gwen poznała żywotną umierającą Luise.

I śliczną udręczoną Paige.

Wyznała Paige tajemnice, których nigdy dotąd z nikim nie dzieliła. Potem starła z twarzy maskę. A kiedy jej twarz została obnażoną pojawił się on.

Cole.

Pozwól mu się sobą zająć, Paige. Pozwól mu się zbadać. Jemu tak bardzo na tobie zależy.

Paige uważała, że Gwen myli się co do jego uczuć. Prawdopodobnie miała rację. Gwen nie była wówczas zdystansowaną obserwatorką, która zazwyczaj czytała w ludzkich sercach jak w otwartej książce. Tym razem w grę wchodziło jej własne serce.

Troska Cole'a o Paige była niewątpliwie tylko naturalną reakcją lekarza. Jego głos byłby równie łagodny, a ręce równie delikatne, gdyby na podłodze siedziała obca dziewczyna z wielkim znamieniem na policzku.

Wtedy właśnie Gwen zaczęła żałować, że to nie ona zasłała na szpitalnym korytarzu, i przestała myśleć o wydarzeniach minionego popołudnia, a zamiast tego włączyła komputer i zajęła się czymś bardziej pożytecznym.

Zaczęła szukać informacji o „szalejących nerkach”, w nadziei, że może istnieje taki medyczny termin. Nie istniał.

„Nerki” w połączeniu z „chorobami” dały w efekcie tysiące linków i od tej chwili Gwen przeglądała kolejne strony.

Teraz wiedziała już, dlaczego Paige ciągle odczuwa pragnienie i dlaczego zawsze chodzi po schodach, nawet kiedy jest bardzo zmęczona. Wiedziała też, dlaczego ciało Paige podczas ich krótkiego uścisku wydało jej się takie kruche i słabe.

Gwen wierzyła, że wie, co Cole chciał sprawdzić, kiedy wsunął rękę w rękaw płaszcza Paige, nie wiedziała jednak, dlaczego. Teraz odpowiedź na to pytanie znajdowała się zapewne

tuż przed jej oczami, ale wspomnienie dłoni chirurga nie pozwoliło jej się skoncentrować. Nawet ekran; monitora się zarumienił!

Jakby napłynęła do niego krew.

Gwen odwróciła się w stronę źródła czerwonego światła i zobaczyła księżyc, purpurowy jak jej znamię. W oddali wody zatoki połyskiwały czerwono, a bliżej, zdawałoby się niemal na wyciągnięcie ręki, szkarłatnym blaskiem lśniły okna wielkiego szpitala.

Cole Ransom nie widział księżyc, ani o północy, ani o żadnej innej godzinie. Operował od wieczora do rana.

Jego pierwszy pacjent, gniewny nastolatek, stłukł szybę, uderzając w nią pięścią. Wykrwawiłby się na śmierć, gdyby jego młodsza siostra nie zawiązała nad raną sznurowała. Przecięta została jedna z głównych żył, ale chłopiec dotarł do szpitala żywy, a operacja nie była trudnym zadaniem dla doświadczonego chirurga.

Drugim pacjentem Cole'a był siedemdziesięciodwuletni emerytowany mechanik samolotowy z pękniętą aortą brzuszną. Aby uratować mu życie, Cole operował całą noc.

Więc nie widział księżyc. A gdyby go zobaczył, znienawidziłby go.

Bo przypomniałby mu o znamieniu, które widział po południu? Czerwonej plamie, która szpeciła tak piękną twarz?

Nie. Znamię nie było w stanie oszpeciść twarzy tej dziewczyny. Ani umniejszyć znaczenia jej odwagi. Bo odwróciła się do niego tak odważnie tak bardzo chciała pomóc Paige, mimo że sama czuła się bardzo niezręcznie. Przez niego.

Cole żałował, że z jego powodu poczuła się skrepowana. Ale czerwony księżyc wywołałby u niego inne wspomnienie, wspomnienie ohydy, nie piękna. Tchórzostwa, nie odwagi.

Cole widziałby w nim krwotok zbyt rozległy, by mógł sobie z nim poradzić. Jego blask, jak krew, obryzgałby wszystko: podłogę, ściany, sufit. Białą satynową narzutę na szerokim łóżku.

Księżyc przypomniałby mu tę straszną rzeź.

Nie, żeby o niej zapomniał.

Nie zapomni nigdy.

Luisse Johansson także nie widziała księżyc. Ale gdyby go zobaczyła, wydałby jej się piękny. Przypomniałby jej kosze pełne wiosennych fuksji i radość, jaką sprawiało jej

obserwowanie kolibrów, które zlatywały się, by spijać ich kwietną ambrozię.

O północy Luise była pogrążona we śnie.

Spała i śniła.

Nie zbudziła się o świcie, jak jej się to często zdarzało, by patrzeć na zachód księżyca. Luise już nigdy się nie obudziła. Ale ten księżyc o świcie należał do niej. Do panny młodej. Był brzoskwiniowo różowy.

I w jego świetle Luise, śniąc i uśmiechając się, poleciała do nieba i do mężczyzny, którego kochała.

## Rozdział 12

*Centrum Medyczne Pacific Heights Poniedziałek, 4 listopada*

- Gabinet doktor Forrester. Mówi Alice. W czym mogę pomóc?

- Nazywam się Gweneth St. James...

- Charakteryzatorka?

- Tak, to ja. Umawialiśmy się z Paige na kawę. Dzwonię, żeby ustalić, kiedy możemy się spotkać.

- Może dzisiaj?

- Byłoby świetnie, jeśli Paige ma czas. Ale może być też jutro albo pojutrze, kiedykolwiek.

- Dziś po południu między trzecią a czwartą?

- Doskonale.

- Porozmawiam z Paige i oddzwonię, gdyby jednak nie mogła się z tobą spotkać.

Gwen?

- Tak?

- Wiesz już o Luise, prawda?

- Tak. Robyn do mnie zadzwoniła.... - Gwen odetchnęła, żeby się uspokoić. - A jak czuje się Paige?

- Dla niej to zawsze trudne. I zdaje się, że z czasem coraz trudniejsze.

Po rozmowie z Alice Gwen włożyła podpisane zawiadomienie pocztowe z powrotem do swojej skrzynki na listy. Jeśli Paige nie odwoła spotkania, Gwen nie będzie w domu, kiedy przyjdzie paczka zawierająca najprawdopodobniej próbki kosmetyków.

Paige nie odwołała spotkania. Wracając do domu, Gwen zastała wiadomość od niej na automatycznej sekretarce.

- Właśnie miałam zadzwonić do ciebie w sprawie naszego spotkania. Myślałam o jutrzejszym poranku, bo sądziłam, że o trzeciej musisz już być w drodze do pracy. Masz dziś wolny dzień? Tak czy inaczej o trzeciej jest nawet lepiej, w kafejce jest pusto o tej porze, więc będziemy mogły usiąść przy oknie. No, to czekam, o trzeciej. Gwen? Dziękuję, że zadzwoniłaś.

Rozmowa z Alice była trzecią rozmową telefoniczną, jaką Gwen odbyła tego ranka.

Najpierw, za piętnaście siódma, zadzwoniła do pracy. Wiedziała, że o tej porze zostanie już kierownika stacji, i nie myliła się.

Bez problemu dostała dwa tygodnie urlopu, o który poprosiła. Nie była na urlopie od siedmiu lat. Gwen i jej szefowa znały świetną charakteryzatorkę, która z radością podejmie się zastępstwa, zaczynając od dziś.

Przede wszystkim jednak szefowa była ciekawa, dlaczego Gwen postanowiła iść na urlop. Czy zdecydowała się wyjść za Davida? Wszyscy będą zadawali sobie to pytanie.

Gwen nie zaprzeczyła, ale i niczego nie potwierdziła.

Miesiąc miodowy na Tahiti był ostatnim z wielu domysłów szefowej. Gwen pożegnała się ze śmiechem.

Nie wiedziała co, jeśli w ogóle cokolwiek, zdecyduje się powiedzieć swoim współpracownikom. Postanowi coś w tej sprawie w ciągu nadchodzących dwóch tygodni.

Wiedziała tylko, że wydarzenia ostatniej soboty będą miały duży wpływ na jej przyszłość. Nie będzie już tylko zdystansowaną obserwatorką życia innych ludzi; teraz dziewczyna w masce zacznie żyć własnym życiem.

Po raz drugi podniosła słuchawkę, by zadzwonić do Kliniki Chirurgii Laserowej. Recepcjonistka powiedziała, że umówi Gwen na wizytę, najpierw jednak musi dostać od niej kartę szpitalną, a dokładnie jej numer. To tylko kwestia wstąpienia do kliniki jeszcze przed wizytą.

Gwen zrobiła to po drodze na spotkanie z Paige. Procedura rejestracyjna przebiegła tak sprawnie, że Gwen dotarła do szpitalnej kafejki pięć po wpół do trzeciej. Kupiła bezkofeinową cafe latte z pełnym mlekiem i usiadła przy stoliku z widokiem na zatokę.

W kafejce, zgodnie z przewidywaniami Paige, było pusto. Ci spośród pracowników centrum, którzy mieli ustalone godziny pracy, właśnie kończyli zmianę. Lepiej skończyć pracę i zdążyć do domu na czas niż wypić popołudniową kawę, ryzykując spóźnienie.

Gwen przypuszczała, że lekarze są na popołudniowych obchodach, po których, jeśli nie

mają dziś dyżurów, pójdą do domu. Obchody wyjaśniały też fakt, że pacjenci i odwiedzające ich rodziny nie ruszali się z oddziałów.

Tak więc w kafeterii była tylko Gwen... i Cole.

Podszedł do baru.

Sprawiał wrażenie zmęczonego. Wyczerpanego.

Taka jest cena magii.

„Cole uwielbia operować”, powiedziała Paige. Tylko ktoś o władnięty wielką pasją mógł zdecydować się na operowanie i na chirurgii urazowej, i na naczyniowej. I to wtedy, kiedy najczęściej operacje są kwestią życia lub śmierci. A może to wcale nie pasja, tylko arogancja, egocentryzm i wypływające z pychy przekonanie, że jest w stanie dokonać każdego cudu?

Jeśli jednak Cole naprawdę nie lubił tych nagłych, zagrażających życiu sytuacji, dlaczego tak chętnie operował? Może czuł, że na granicy życia i śmierci może dać z siebie najwięcej, choć jemu samemu przysparza to niewyobrażalnych cierpień?

Cierpienie. Nie, brak w tym logiki. Cole Ransom, utalentowany, przystojny, zmysłowy... i cierpiący? Tak, to właśnie dostrzegła w nim Gwen tamtego sobotniego popołudnia. Tak, w jego obecności niczego nie była pewna. Wydawało jej się, że widzi uczucie do Paige, które prawdopodobnie nie istnieje.

Gwen nie mogła jednak pozbyć się wrażenia, że coś rzuca na tego człowieka cień bólu. Może więc właśnie ten cień jest przyczyną dla której Cole Ransom spędza tyle czasu na sali operacyjnej? Nie szuka cierpienia, lecz ucieczki od niego? Jego demony nie mają wstępu na salę operacyjną, zwłaszcza kiedy stawką jest ludzkie życie.

Więc jego pacjenci odnajdywali tam magię, a znużony artysta - spokój.

Gwen spojrzała na mężczyznę napełniającego największy biały kubek parującą czarną kawą - napojem krzepiącym zmęczonych walką wojowników, nie nektarem bogów. A więc mimo dyżuru w weekend i wyraźnego wyczerpania chirurg nie spieszył się do domu.

Gwen przyglądała mu się bez skrępowania. Czemu nie? Nawet gdyby poczuł na sobie jej spojrzenie i odwrócił się, i tak nie będzie wiedział, kim ona jest. W sobotę Gwen St. James oznaczała dla niego znamię. Czerwono fioletowy znak na policzku był wszystkim, co mógł wtedy dostrzec.

A Gwen St. James, którą zobaczyłby dzisiaj? Ta Gwen była tak piękna, jak on był przystojny. Miała starannie upięte włosy i maskę na twarzy.

Tak więc nic dziwnego, że kiedy spojrzał w jej stronę, uśmiechnął się lekko i podszedł. Szukał towarzystwa. Przyjemności. Seksu? Zmysłowe zwierzę, szukające tym razem ucieczki innego rodzaju.



Pozwól mu się dotknąć. On chce cię dotknąć. No, niezupełnie ciebie. Bądźmy szczerzy, ani trochę mu na tobie nie zależy. Ale to mogłoby się zdarzyć, tej nocy, z oszustką Gwen. Będzie cię dotykał, a ty jego, a noc to najlepsza maska ze wszystkich. On się nigdy nie dowie, a ty nigdy nie zapomnisz. Możesz to zrobić, możesz, możesz, jeśli się odważysz.

- Mogę się przysiąc?

Możesz to zrobić. Zrób to! Ani się waż!

W przeciwieństwie do głosu, który zachęcał ją, by oszukała Cole'a Ransoma tak, jak nigdy nie oszukała żadnego mężczyzny, ten drugi głos, który się temu sprzeciwiał, należał do kogoś, kogo kiedyś знаła. Do Angel. Do tej Angel, którą powinna była się stać. Do dziewczyny, która stanęłaby przed swoją klasą i rozkazała: spójrzcie na mnie, zobaczcie, kim naprawdę jestem.

Gwen wiedziała, co widział teraz Cole Ransom: piękną dziewczynę, do której miło byłoby się zbliżyć. Gwen dobrze znała to spojrzenie, wielu mężczyzn tak na nią patrzyło, ale żaden z nich nie patrzył tak uważnie.

I żadnego z nich tak bardzo nie pragnęła.

On się nigdy nie dowie, a ty nigdy nie zapomnisz.

Gwen odpowiedziała mu tak, jak często odpowiadała na podobne pytania zadawane przez innych mężczyzn.

- Czekam na kogoś.

- Na Paige?

- Słucham?

- Czekasz na Paige?

- Ty... ty wiesz... kim ja jestem? - wyjąkała.

- Gwen St. James. Poznaliśmy się w sobotę. Jestem Cole Ransom. Pamiętasz mnie?

- Tak...

- Więc czemu ja nie miałbym pamiętać ciebie?

Gwen nie odpowiedziała. Nie wiedziała, co powiedzieć. Ale nagle zobaczyła swoją dłoń wskazującą krzesło przy stoliku.

- Później już nic złego wam się nie przytrafiło?

Nie. Rozmawialiśmy o tobie.

- Nie.

- Nie upuściłaś już więcej kluczy?

- Nie uwierzyłeś, że je upuściłam?

- Ani na sekundę.

- A zawsze uważałam, że całkiem dobrze kłamię.

- Przykro mi, że pozbawiam cię złudzeń.

- Cóż, i tak myślałam, żeby z tym skończyć.

- Tylko myślałaś?

- Bardzo szybko podejmuję decyzje. - Szybko, bez trudu i bez grzebania w swojej duszy. Dlaczego jej dusza jest taka bezbarwna? Może to wynik noszenia maski przez tyle lat? Gwen nie wiedziała. Ale w przyszłości będzie podejmowała decyzje bardzo ostrożnie. - Z tym także postanowiłam skończyć.

- Z szybkimi decyzjami?

- Tak.

- Ach. - Cole pociągnął łyk kawy, ale nie odrywał oczy od jej twarzy. - Nie pracujesz dziś wieczorem.

- Skąd wiesz?

- Ty jesteś tą Gwen, która malowała Luise Johansson, prawda?

- Znałeś Luise?

Och, Luise, co byś mi powiedziała o tym mężczyźnie?

- Nie, nigdy jej nie poznałem. Ale wszyscy bardzo ją lubili. Wiele słyszałem o tym, jak była szczęśliwa, kiedy wychodziła ze szpitala. Dzięki charakteryzatorce Gwen, prawdziwej artystce, która pracuje w telewizji FOX. To ty.

- To ja. Ale Luise była szczęśliwa dzięki Paige, nie mnie. Moja pomoc była bardzo powierzchowna.

- Powierzchna? - powtórzył miękko. - Czy to możliwe?

Mówił do niej, o niej, jakby mu naprawdę zależało, jakby chciał jej dotknąć.

Gwen odwróciła wzrok i patrzyła w okno na pochmurne, grożące deszczem niebo. Potem znowu spojrzała na Cole'a.

- Uważasz, że tak naprawdę Paige zasłała z powodu chorych nerek?

- Wiesz o jej nerkach?

- Oczywiście. Paige jest moją przyjaciółką. - Gwen wypowiedziała te słowa, tak jak podobne słowa wygłosiła w sobotę Paige - z radością i dumą. I z szacunkiem, pomyślała Gwen, przypominając sobie ton głosu Paige. Jakby Paige wiedziała, jak rzadkim skarbem jest przyjaźń. I z nadzieją, jakby sądziła, że w końcu znalazła ten skarb w osobie Gwen. No i dobrze, przyznała w duchu Gwen, może w jej głosie słyszała własną nadzieję.

Uświadomiła sobie, że przyjaźnie, które zawarła Gwen-oszustka, były na ogół dość powierzchowne. Owszem, jej naprawdę zależało na przyjaciółkach. A im naprawdę zależało na

niej. Ale oni jej nie znali. Nie ufała im na tyle, by dać się poznać. Nie ufała im tak, jak ufała swojej przyjaciółce Paige.

- Chociaż przyznaję, że Paige niechętnie mówi o sobie. Ale poczytałam trochę i zaczynam rozumieć. Tak mi się w każdym razie wydaje. Wiem, że wiąże cię tajemnica lekarska, ale mam kilka pytań...

- Pytaj.

- W porządku. Świetnie. Cóż, wiem, że kiedy wsunąłeś rękę w jej rękaw, szukałeś miejsca, w które wprowadzana jest rurka do dializy. Ale nie jestem pewna, dlaczego.

- Sprawdziłem, czy nie ma drżenia.

- Drżenia?

Cole uśmiechnął się lekko.

- Zawirowania przepływu krwi spowodowanego utworzeniem przez toki między żyłą a arterią. Jeśli powstała przetoka jest zbyt duża, może powodować obniżenie ciśnienia.

- Wtedy może pomóc interwencja chirurgiczna?

- Zgadza się.

- Ale nie było drżenia?

- Było, ale nie większe, niż się spodziewałem.

- To ty utworzyłeś tę przetokę, prawda?

- Owszem.

Po tym, co Gwen przeczytała, była niemal pewna, że to przetoka Brescia-Cimino.

Cole nie dałby Paige, ani żadnemu ze swoich pacjentów, niczego innego. Tak zwana przetoka własna, powstała przez zszycie własnej żyły i arterii pacjenta, wystarczała na dłużej niż łatwe do założenia wszczepiane protezy.

Siedząc przed ekranem komputera tamtej nocy, kiedy księżyc świecił purpurą, Gwen doszła do wniosku, że Paige jest dializowana. Teraz Cole potwierdził jej domysły. A fakt, że Paige miała przetokę, jaką robi się zazwyczaj wtedy, gdy występuje potrzeba długotrwałej dializy, oznaczał, że jej choroba była w końcowym stadium.

Długotrwała dializa oznaczała też, że leki i dieta nie były w stanie jej pomóc. Być może poziom potasu w jej organizmie był zbyt wysoki albo była tak niedożywiona, że dializa okazała się jedynym rozwiązaniem.

Ale niezbyt szczęśliwym. Paige ciągle była niedożywiona. Gwen wiedziała nawet, dlaczego. Przed dializą pacjenci muszą ograniczać przyjmowanie protein, jednak kiedy zaczynają poddawać się dializie, muszą zwiększyć ich dawki. W czasie dializy proteiny są wypłukiwane z organizmu i jeśli ich ubytek nie jest odpowiednio uzupełniany, następuje

powolny zanik mięśni.

Właśnie dlatego Paige chodziła po schodach, nawet wtedy, gdy była zmęczona. Ćwiczyła, by utrzymać mięśnie w formie.

Ale Paige była szczupłą, a jej kości delikatne. Nie bardzo udawało jej się utrzymywać poziom ciśnienia krwi na tyle wysoki, by uniknąć omdleń, a jednocześnie nie dopuszczać do jego zbytowego wzrostu, co grozi dostaniem się wody do płuc.

Doktor Paige Forrester, która doskonale potrafiła ustalić dawki chemoterapii dla swoich pacjentów, nie umiała utrzymać równowagi we własnym organizmie.

- Co o tym sądzisz? - spytał Cole.
- Sądzę, że Paige nie najlepiej znosi dializowanie.
- Powiedziała ci to?
- Nie. Ale to widać. A co z transplantacją?
- Co masz na myśli?
- Czy Paige jest dobrą kandydatką?

W szarych oczach lekarza pojawił się srebrny błysk.

- Mam wrażenie, że Paige niewiele ci powiedziała na temat swojej choroby.
- Sam wiesz, jak niechętnie mówi o sobie.
- Tak, ale jest w tym coś jeszcze, prawda? Doszedł do wniosku, że łatwiej będzie wyciągnąć trochę informacji ode mnie. - Jego oczy lśniły - Jeśli tak, to udało ci się to, Gwen. Uwiodłaś mnie. Odpowiedź brzmi: tak. Paige jest idealną kandydatką do przeszczepu nerki.

- Kiedy?
- Dzisiaj. Wczoraj. Osiem miesięcy temu.
- Więc czeka na dawcę? - Gwen wiedziała, że okres oczekiwania na organ do przeszczepu trwa średnio trzy, cztery lata. Chyba że znajdzie się ochotnik.

- Naprawdę?
- A nie jest tak, Cole?

*Primum non nocere.* Po pierwsze - nie szkodzić. Przysięga, jaką składa każdy lekarz. Tak jak i obietnicę dochowania tajemnicy lekarskiej. Cole zdecydował się nagiąć trochę drugą zasadę dla dobra tej pierwszej. Im więcej Gwen będzie wiedziała o chorobie Paige, tym większej pomocy będzie mogła jej udzielić.

- O ile wiem, Paige nie upoważniła swojego nefrologa do umieszczenia jej nazwiska na liście oczekujących.
- Dlaczego?
- Na to pytanie powinna szukać odpowiedzi jej przyjaciółka.

Gwen powiedziała mu, że ma taki zamiar, gdyby ciągle byli sami.

Jednak przy stoliku, tuż obok Cole'a, stanęła ładna blondynka w białym fartuchu z wyhaftowanym na piersi napisem CHIRURGIA - ODDZIAŁ INTENSYWNEJ TERAPII.

Na palcu miała obrączkę, a na twarzy uśmiech.

- Cole?

- Jen.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Myślałam, że już poszedłeś do domu. Co ty tu jeszcze robisz?

- Wiedziałem, że będziesz mnie potrzebowała. Co się stało?

- Pan... pacjent z czwórki dostał wysokiej gorączki. Trzydzieści osiem i osiem.

- Kiedy?

- Piętnaście minut temu. Wszystko jest pod kontrolą. To znaczy, dyżurujący lekarz został wezwany na izbę przyjęć, ale powiedział nam, żeby wykonać zwykłe badania i skonsultować się ze specjalistą od chorób zakaźnych. Skoro ciągle tu jesteś i zajmowałeś się tym pacjentem, pomyślałam sobie, że powiem ci, co się dzieje.

- Mniej więcej godzinę temu oglądałem tę ranę i założyłem opatrunek. To nie to powoduje gorączkę.

- Wiem, czytałam twoją notkę, ale...

- Zaraz tam będę, Jen. Daj mi dwie minuty. I niech nikt nie dotyka opatrunku.

- Załatwione. Gdyby ktoś chciał to zrobić, zasłonię pacjenta własną pierś.

Ostatnie słowa Jen wypowiedziała trochę zalotnie. Oszustka Gwen знаła ten ton, sama często pozwalała sobie na takie kokietyjne uwagi, bezpiecznie ukryta w fikcji o nieistniejącym Davidzie, tak jak Jen kryła się za swoją obrączką.

A czy przystojny wolny mężczyzna uśmiechnął się, gdy Jen odeszła? Nie. Nie odrywał poważnego wzroku od Gwen.

- Muszę iść.

- Dziękuję, że odpowiedziałeś na moje pytania.

-Cała przyjemność po mojej stronie, Gwen. Ale jesteś mi coś winna. Następnym razem ty odpowiesz na moje.

## Rozdział 13

Więc czemu ja nie miałbym pamiętać ciebie? Kiedy Cole odszedł, Gwen zaczęła wymyślać odpowiedzi. „Mam to znamię na twarzy, może nie zauważyłeś?” I jego odpowiedzi.

„Zauważyłem, Gwen. Ale czy naprawdę sądzisz, że to ma dla mnie jakiegokolwiek znaczenie? Za jakiego człowieka mnie uważasz?”

- Gwen?

- Paige!

- Cześć. Przepraszam za spóźnienie,

- Nic się nie stało. Właśnie...

- Śniłaś na jawie.

Fantazjowałam.

Gwen wstała i lekko uściśniła Paige.

Kiedy usiadły, Gwen skoncentrowała się na kobiecie, która potrzebowała nerki do przeszczepu - dzisiaj, wczoraj, osiem miesięcy temu. Paige miała głębokie cienie pod oczami. Jak zawsze. Ale wyglądała lepiej niż w sobotę. Jej policzki były zaróżowione. Jeśli szła na górę po schodach, a na pewno tak było, nie wydawała się bliska omdlenia.

- Wyglądasz lepiej.

- Czuję się lepiej. Dziękuję.

- Więc?

- Więc? - powtórzyła Paige, zaskoczona.

- Jak było? - spytała Gwen. - Z Jackiem.

- Och!

- Nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz.

- Nie, chcę. Tylko że... nie jestem przyzwyczajona... - Do tego, że mam przyjaciółkę. -

Było miło, Gwen. Miło było znowu go zobaczyć.

- Pamiętał cię. Oczywiście! - zawołała Gwen, choć w uszach ciągle dźwięczało jej pytanie Cole'a, na które nie odpowiedziała. - Prawda?

- Tak. - Zaróżowione policzki pociemniały jeszcze bardziej. - Poznał mnie.

- I był oczarowany.

- Cóż - odparła Paige z uśmiechem. - Tego nie wiem.

- Ale spotkasz się z nim jeszcze?

- Tak sądzę. Tak - powiedziała Paige rozpromieniona. - Ale dosyć o mnie. Masz wolny tylko ten jeden wieczór czy wzięłaś urlop?

- Wzięłam urlop. Z czego bardzo ucieszyła się kobieta o imieniu Maria. Współpracowała popołudniami ze stacją jako wolny strzelec i nie posiada się z radości, że

przez pewien czas będzie dostawała pensję za cały etat. Dobrze jest wiedzieć, że kiedy potrzebuję więcej niż dwa tygodnie wolnego, ktoś miły i bardzo utalentowany będzie zadowolony.

- Więcej niż dwa tygodnie? Po co aż tyle?

- Żeby pomyśleć. Podjąć decyzję. I pójść w piątek po południu do Kliniki Chirurgii Laserowej. To wstępna konsultacja. Zobaczę, co powiedzą lekarze.

- Powiedzą to, co przypuszczasz, że w twoim przypadku zabieg da wspaniałe efekty. W czasie weekendu czytałam trochę o znamionach. Pewnie nie odkryłam niczego, czego byś już nie wiedziała. Informacje, które można znaleźć w Internecie, są równie dokładne jak te z podręczników medycyny, ale bardziej aktualne. Dowiedziałam się paru rzeczy, o których nie miałam pojęcia. Zaczynając od przyczyn powstawania takich znamion.

Gwen przypomniała sobie jedną z definicji.

- Chroniczne zbieranie się krwi w małych naczyniach krwionośnych spowodowane zmniejszonym unerwieniem ich ścianek lub jego brakiem.

- Nie wiedziałam o tym - powiedziała Paige. - Nie wiedziałam też, jak nieprzyjemna, zwłaszcza w przypadku znamion, może być chirurgia laserowa.

- Odczucie, jakby ktoś bez przerwy strzelał gumką w naszą skórę?

- Tak.

Wiązka światła laserowego musi być za każdym razem skierowana dokładnie w wypełnione krwią naczynie. W zależności od wieku dziecka i wielkości obszaru skóry, zabieg często wykonuje się pod narkozą. Nawet w przypadku osób dorosłych, jeśli znamię jest tak rozległe, jak u Gwen, zdecydowano się czasem na narkozę.

- Ból mnie nie przeraża. Ale jak sobie radzić z pęcherzami i strupami, które się później pojawiają? Prawdopodobnie po każdym zabiegu musiałabym przez siedem do dziesięciu dni rezygnować z makijażu. Wszystko to trwałoby zapewne kilka miesięcy, więc bardzo często nie byłoby mnie w pracy. Owszem, Maria byłaby uszczęśliwiona, ale może byłoby prościej, gdybym całkiem zrezygnowała z pracy?

- Albo chodziła do pracy bez makijażu.

- Albo chodziła do pracy bez makijażu - potwierdziła Gwen. - Naprawdę myślisz, że dla twoich współpracowników, twoich przyjaciół, miałyby to jakiegokolwiek znaczenie?

- Tak. W sensie pozytywnym. Okazałoby mi współczucie i zrozumienie. Ale też czuli by się zdradzeni. Oni powierzali mi swoje tajemnice, ufali mi, a ja im nie. To nie jest przyjaźń, prawda? I, co gorsza, okłamywałam ich. Muszę się zastanowić, co naprawdę powinnam zrobić w tej sytuacji.

Gwen napiła się kawy i spojrzała na kubek Paige, która nie pociągnęła jeszcze ani łyka, ale trzymała go w splecionych dłoniach. Może po to, by je ogrzać. Paige Forrester była tak szczupła, że pewnie ciągle było jej zimno.

Tak jak zawsze, chciało jej się pić. Nic dziwnego. Gwen wyczytała w Internecie, że dzienna dawka płynu w przypadku osoby takiej jak Paige wynosi tylko trzy filiżanki. A płyn definiowano jako wszystko, co jest w stanie ciekłym, gdy znajduje się w temperaturze pokojowej.

Lody.

Żelki.

I oczywiście cafe latte.

Z pewnością na długo przed tym, jak Gwen zadzwoniła, by umówić się z nią na kawę, Paige starannie obliczyła, jaką ilość płynu będzie mogła w tym dniu przyjąć. Owszem, mogłaby teraz upić łyk czy dwa, a przy innej okazji darować sobie łyk czy dwa. Ale lekarka, w przypadku której leki nie przyniosły rezultatów, a dializa okazała się skuteczna, nie chciała ryzykować utraty równowagi, jaką wreszcie udało jej się osiągnąć.

Gdyby jednak zdecydowała się na przeszczep...

„Na to pytanie odpowiedzi powinna szukać jej przyjaciółka”.

- Ja też szukałam czegoś w Internecie... o szalejących nerkach. I doszłam do wniosku, że jesteś dializowana, ale efekty nie są takie, jak byś chciała.

- Masz rację, Gwen. Co do obu kwestii. Ale sytuacja wkrótce ulegnie zmianie. - Paige zacisnęła palce na kubku, jakby chciała się utwierdzić w swoim postanowieniu, a jej ciemnoniebieskie oczy błyszczały nadzieją. - Ustaliłam z moim nefrologiem, że nadszedł czas na zastosowanie nowego podejścia.

- To cudownie, Paige! Chcesz powiedzieć, że... och, nie patrz, ale przy barze stoją dwie dziewczynki, które chyba bardzo się tobą interesują.

- Mną? To lepiej spojrzę. - Paige odwróciła głowę, uśmiechnęła się i skinęła dłonią.

Dziewczynki podeszły do stolika.

- Dina. Beth. Cześć.

- Cześć, Paige!

- Cześć... Paige.

- To jest moja przyjaciółka, Gwen. Chcecie się do nas przyłączyć?

- Jasne! - Dina bez wahania klapnęła na jedno z krzeseł. Beth usiadła ostrożnie na drugim.

- Idziemy właśnie do domu twojej mamy - wyjaśniła Dina – ale postanowiłyśmy, że po



drodze wstąpimy do szpitala, żeby zobaczyć, jak tu jest.

- I co?

- Jest piękny - orzekła Beth.

- I wielki - dodała Dina. Jakby przechodząc do rzeczy, utkwiała wzrok w Gwen. -  
Studiowałaś w Stanford?

- Nie.

- Ale znasz tatę Beth?

- Właściciela firmy, która odnawia dom mamy Paige? Też nie.

- Gwen jest charakteryzatorką i wizażystką - wyjaśniła Paige. Dina, która sprawiała  
wrażenie odrobinę zniechęconej, natychmiast się ożywiła.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Od siedmiu lat pracuję w telewizji FOX, a przedtem malowałam osoby,  
które pozowały pewnemu fotografikowi.

- Malowałaś kogoś sławnego?

- To zależy, co się przez to rozumie. Z pewnością robiłam makijaż ludziom, którzy  
uważają się za sławnych.

- Ale normalnych ludzi też malujesz?

- Tak, przyjaciół, i przyjaciół moich przyjaciół. To lubię najbardziej.

- A co sądzisz o moim makijażu?

- Cóż - mruknęła Gwen, jakby dopiero teraz zauważyła trochę za ostry makijaż na buzi  
Diny. - Na pewno masz do tego smykałkę, ale czy jest jakiś powód, dla którego go stosujesz?

- Powód?

- No tak, chodzi mi o to, czy chcesz coś pod nim ukryć?

- Nie, dlaczego?

- Bo sądzę, że lepiej byłoby poczekać z makijażem, aż będziesz trochę starsza.

- Mama też tak uważa.

- Twoja mama pewnie martwi się, że wydajesz się starsza, niż jesteś w rzeczywistości.  
Moje podejście jest bardziej... mistyczne.

- Mistyczne?

- Sądzę, że należy pozwolić odkrytej skórze wchłaniać wszystko, co cię otacza. Będzie  
zdrowsza, świeższa, nabierze więcej własnych barw. Im więcej kolorów wchłonie, tym więcej  
odcieni będzie jej później pasowało. Tym więcej barw będziesz mogła wykorzystywać, malując  
się, kiedy będziesz dorosła.

- Więc nie jest tak, że każda osoba ma tylko jeden kolor, w którym jej jest do twarzy?

- Takie jest ogólne przekonanie, ale ja jestem innego zdania. Założę się, że będziesz mogła używać wielu różnych barw.

- Zmyję makijaż, żebyś zobaczyła, jak naprawdę wyglądam.

- To świetny pomysł.

- Super! - wykrzyknęła Dina i już jej nie było.

Beth zaczekała, aż Paige wskazała jej drogę do najbliższej damskiej toalety, po czym pospieszyła za przyjaciółką.

- Ty też masz smykałkę - powiedziała Paige, kiedy dziewczynki zniknęły. - Naprawdę wiesz, jak rozmawiać z jedenastolatkami.

- Nie jestem pewna. Powiedziałabym raczej, że to Dina mówiła więcej. Ale myślę, że one mają jakąś sprawę. Przyszły tu specjalnie, żeby porozmawiać z tobą.

- Nie mam pojęcia, dlaczego - odparła Paige. Zwłaszcza że idą do mojej matki, z którą tak łatwo się rozmawia.

Rozległ się dźwięk pagera.

## Rozdział 14

- No i co? - Gwen spojrzała na uśmiechniętą, ładną, wymytą do czysta buzię Diny.

- Bajecznie! Masz w sobie tyle kolorów. Za jakiś milion lat i tylko dla zabawy możesz sięgnąć po cienie do powiek i szminkę.

- Dla zabawy?

- No jasne. Makijaż powinien pasować do nastroju. Właśnie dlatego nie wierzę w zasadę jednej barwy. Wiele nastrojów, wiele kolorów.

- Fajnie! Dzięki. A gdzie jest Paige?

- Ktoś z rodziny jednego z jej pacjentów chciał się z nią zobaczyć.

Paige pożegnała się, ale zanim to zrobiła, powiedziała dwie rzeczy.

Że bardzo chciałyby znowu spotkać się z Gwen na kawie. Kiedy będą miały więcej czasu. A potem poprosiła Gwen, żeby nie wspominała przy jej matce o chorobie nerek, gdyby kiedyś Gwen wstąpiła do domu Claire.

- A czy chcieliście porozmawiać o czymś z Paige? - spytała dziewczynki.

- Tak, ale nie myślałyśmy, że dzisiaj ją tu spotkamy. Chcieliśmy tylko zobaczyć, gdzie jest jej gabinet i umówić Beth na spotkanie.

- Źle się czujesz, Beth?

# Brak

*(tak, droga Angel, wiedziałam więcej, niż ci powiedziałam), i poprosiłam go, by poszedł tym śladem.*

*Odnalazł twoją matkę... i nie tylko. Jego raport jest jasny i zrozumiały, a dokumenty mówią same za siebie. Możesz przejrzeć je od razu, ale mam nadzieję, że najpierw przeczytasz ten list do końca. To egoistyczne życzenie, ale chcę się wytłumaczyć! Chciałabym też, żebyś mi wybaczyła.*

*A więc, jeśli jeszcze czytasz, zaczynam.*

*Wszystko, co powiedziałam ci w klasztorze, było prawdą.*

*Istotnie przybyłaś do St. James o dziesiątej wieczorem, dwudziestego dziewiątego października.*

*I rzeczywiście kobieta, która cię do nas przywiozła, była turystką z Iowy.*

*I naprawdę znalazła twoją matkę na drodze w czasie burzy.*

*A twoja matka poprosiła ją o zabranie cię do nas.*

*Ale podała jej także inne informacje. Powiedziała, że twój ojciec był człowiekiem gwałtownym. Bił ją, a ona była pewna, że ciebie także by krzywdził. Wierzyła, iż oddanie cię to jedyny sposób, by zapewnić ci bezpieczeństwo. Nalegała więc, by nie informować o niczym policji.*

*Z tego samego powodu nie powinnyśmy także zabierać cię do szpitala, którego pracownicy musieliby powiadomić odpowiednie władze. Poza tym byłaś już w szpitalu, zostałaś zbadana, a lekarze uznali, że jesteś zdrowa. I tak było od trzydziestu siedmiu godzin, czyli od chwili twoich narodzin. Tak, twoja prawdziwa data urodzin to dwudziesty ósmy października. Wydawało mi się jednak, że będzie lepiej powiedzieć ci, iż urodziłaś się tuż przed tym, jak cię do nas przywieziono.*

*Nigdy nie widziałam twojej matki. Przed drzwiami klasztoru oddała cię turystce i uciekła. Ale ja uwierzyłam w jej historię. Nie miałam powodu, by w nią wątpić. Miałam jednak względem ciebie pewne obowiązki. Musiałam się upewnić, w miarę możliwości, że*

kobieta, która podawała się za twoją matkę, istotnie nią była i jako taka miała prawo cię oddać. Przekonawszy się, że istotnie jesteś podrzutkiem, mogłabym bez skrupułów wypełnić wymagane dokumenty.

Na szczęście często współpracowałam z policją z Carmel i opieką społeczną - na ogół w przypadkach związanych z przemocą w rodzinie - mogłam więc przeprowadzić dochodzenie z zachowaniem pełnej dyskrecji. Oczywiście nie chciałam, by twój ojciec dowiedział się, że jednak żyjesz.

Z tego powodu dopiero po miesiącu zaczęłam dzwonić na oddziały położnicze miejscowych szpitali. Wkrótce znalazłam ten, w którym się urodziłaś. Na szczęście pielęgniarka, która się tobą zajmowała, dobrze cię pamiętała.

Urodziłaś się dwudziestego ósmego października, na drodze w pobliżu Monterey, gdzie tuż przed tym wydarzył się wypadek samochodowy. Natychmiast zostałaś zabrana do małego szpitala w Carmel. Twoja matka miała jechać za tobą, ale jej stan uległ nagłemu pogorszeniu, więc szybko przetransportowano ją do szpitala w Monterey. Chodziło jednak o powikłania położnicze. Twoja matka nie została ranna w wypadku, była tylko jego świadkiem. Sama jechała innym samochodem.

Twój ojciec i jego rodzice byli w samochodzie, który uległ wypadkowi. Twój dziadkowie zginęli na miejscu, a twój ojciec, ciężko ranny, został przewieziony do tego samego szpitala, co twoja matka.

Według pielęgniarki, która zajmowała się tobą w Carmel, twoja matka przyjechała po ciebie następnego wieczoru (dwudziestego dziewiątego). Pielęgniarka nie wiedziała, czy twoja matka została wypisana ze szpitala, czy dostała przepustkę (raport detektywa wskazuje na to drugie). Pielęgniarka, która cię jej oddała, twierdziła, że twoja matka sprawiała wrażenie chorej. Mimo to bardzo szybko przyjechała po ciebie do Carmel i zabrała cię około dziewiątej trzydzieści. Piętnaście minut później turystka z Iowy zauważyła ją, idącą w deszczu i, na jej prośbę, zawiozła do klasztoru.

Pielęgniarka powiedziała mi, jak nazywa się twoja matka. Nazwisko to nic mi nie mówiło, mogłam jednak zadzwonić do szpitala w Monterey i zapytać o twojego ojca. (Był to dobry człowiek, o czym przekonasz się sama, kiedy przeczytasz załączone dokumenty. Wspaniały. Oskarżenia twojej matki o przemoc były nieprawdziwe. Chciała w ten sposób uzyskać pewność, że nikt nie będzie o ciebie pytał na policji).

Niestety, ojciec twój zmarł pięć dni po wypadku.

Nie pytałam o innych pacjentów o tym samym nazwisku, którzy byli hospitalizowani tego samego dnia. Nie próbowałam też szukać twojej matki. Wiedziała przecież, gdzie jesteś.

*Przyjechałaby po ciebie, gdyby mogła.*

*Myślałam jednak często o tym, by odszukać cię i podać ci jej nazwisko. Oczywiście zawsze w końcu porzuciałam ten zamiar. Nie zasługiwała na radość, jaką byłaś. Porzuciła cię, nigdy po ciebie nie wróciła, kłamała na temat twojego ojca i kto wie, na jaki jeszcze?*

*Nie zasługiwała na to, by poznać naszą Angel. Poza tym, myślałam, nie warto znać takiej matki.*

*Dziwne, ale w ciągu ostatnich dwóch lat zaczęłam się wahać. Po powrocie z Afryki postanowiłam skontaktować się z moim przyjacielem detektywem i zobaczyć, czego jeszcze można się dowiedzieć.*

*Wyobraź sobie moje zdumienie, kiedy wróciłam i znalazłam twój list, w którym planowałeś podobne dochodzenie!*

*Obie zaczęłyśmy myśleć o twojej matce, choć z innych pobudek. Ty chciałaś wspaniałomyślnie zapewnić ją, że decyzja, jaką podjęła owej deszczowej nocy, nie odbiła się niekorzystnie na twoim życiu. Ja natomiast zaczęłam się obawiać, że być może ona nie ma pojęcia, gdzie jesteś. Pielęgniarka mówiła, że wyglądała okropnie, jej mąż umierał. Może była taki zrozpaczona i dezorientowana, że nie pamiętała, co się stało?*

*Może sądzi, że zostawiła cię przy drodze na pewną śmierć? Albo że oddała cię zupełnie obcej osobie, turystce, po której zostało jej tylko mgliste wspomnienie?*

*Pozwól, że cię uspokoję, zanim zaczniesz się martwić. Detektyw nie odkrył niczego, co potwierdzałoby ten scenariusz (a zarówno pielęgniarka, jak i turystka twierdziły zgodnie, że twoja matka, choć chora i wyczerpana, wydawała się całkiem przytomna).*

*Detektyw nie odkrył też niczego, co mogłoby sugerować, iż twoja matka zasługuje na współczucie. (Wręcz przeciwnie).*

*Ale odkrył coś innego.*

*Coś, o czym musisz wiedzieć, coś, czego powinnaś była dowiedzieć się już dawno temu. (I dowiedziałabyś się, gdybym nie była tak pewna, że odnalezienie twojej matki nie przyniesie nic dobrego).*

*Ale, jak się wkrótce przekonasz, byłam w błędzie. Mam nadzieję, że z czasem zdołasz mi wybaczyć (ale zrozumieć, jeśli tego nie uczynisz).*

*Pierwszy dokument, który przeczytasz, droga Angel, to świadectwo urodzenia twojej siostry bliźniaczki...*

## Rozdział 15

Siostra bliźniaczka: Paige Elizabeth Forrester. Rodzice: Claire i Alan Forresterowie.

A miejsce narodzin niechcianej córki, które od dawna sobie wyobrażała? W zagłębieniu piaszczystej wydmy, a może pod zieloną kopułą sosen? Może istotnie na miejscu wypadku były wydmy albo cyprysy? Może ten niewielki fragment wyobrażeń Gwen znajdował odbicie w rzeczywistości?

A jeśli chodzi o odkrycie, że Gweneth Angelica St. James jest pierwotną córką Alana Forrestera i jego dziedziczką.

Adwokat o nazwisku Dawson, opisany przez siostrę Mary Catherine jako „znany prawnik i bliski przyjaciel rodziny Forresterów”, z pewnością będzie nalegał na badanie DNA. W grę, bądź co bądź, wchodzi ogromna fortuna. Każdy dobry prawnik domagałby się czegoś więcej niż tylko słów i dokumentów, zanim zdecydowałby się przekazać połowę majątku Paige jej domniemanej siostrze. Nawet gdyby Claire Forrester do wszystkiego się przyznała.

Gwen St. James zawsze była oszustką i nadal mogła nią pozostać. Oportunistką, która dowiedziała się o istnieniu zaginionej siostry Paige Forrester, miała podobne znamię i postanowiła to wykorzystać.

Potrzebowała pomocy. Przecież jest ktoś, kto pamięta październikowy dzień, kiedy wdowa po Alanie Forresterze - tak, z tych Forresterów z San Francisco - porzuciła swoje dziecko, dziewczynkę, mającą na twarzy znamię podobne do tego, które widniało na policzku Gwen.

Prawnik będzie domagał się dowodu. Zwłaszcza biorąc pod uwagę zupełny brak jakiegokolwiek fizycznego podobieństwa między Gwen a siostrą. Nie była też podobna do matki ani do dziadków czy ojca.

Do listu dołączona była dokumentacja fotograficzna. Pierwsza fotografia, zrobiona dwudziestego ósmego stycznia przed trzydziestu jeden laty, wycięta z gazety, przedstawiała doktora Alana Forrestera z żoną. Na kolejnych trzech zdjęciach, które ukazały się wraz z zajmującym całą stronę wspomnieniem w „Chronicie”, widnieli rodzice z synem. Ostatnia fotografia, kolorowa, została opublikowana w czerwcowym wydaniu „Town and Country”. Zdjęcie zrobiono we „wspaniałej rezydencji”, będącej własnością rodziny Forresterów, podczas dorocznej dobroczynnej imprezy wydanej przez „dobrodziejkę z San Francisco”, Claire Forrester. Dochód z imprezy został przeznaczony na oddział intensywnej opieki dla noworodków Centrum Medycznego Pacific Heights. Oddział ten, jak zaznaczono w notce pod

zdjęciem, cieszył się szczególnymi względami pani Forrester. Notka zawierała też informację, że Claire Forrester sponsoruje co roku przynajmniej dwie duże imprezy dobroczynne, z których dochód przeznaczony jest na szpitale. Na zdjęciu widniała córka Claire, lekarka, prawnik Stuart Dawson i Mariel Lancaster - „bliska przyjaciółka” i współorganizatorka imprezy.

Siostra Mary Catherine przypięła do zdjęcia krótką notkę, wyjaśniającą zainteresowanie Claire oddziałem intensywnej opieki dla noworodków.

W przeciwieństwie do Gwen, która urodziła się silna i zdrowa, mała i wątła Paige spędziła pierwsze sześć tygodni życia na oddziale intensywnej opieki. Detektyw odkrył, że takie różnice w wadze i stanie zdrowia często mają miejsce w przypadku dzieci urodzonych z ciąż mnogich. Pięcioraczki, sześcioraczki czy siedmioraczki różnią się niemal zawsze, ale różnice takie opisano także w przypadku bliźniąt. Wiąże się to z ilością krwi łożyskowej i składników odżywczych, które otrzymywało każde z bliźniąt w czasie życia płodowego, a także... Detektyw miał dość mgliste pojęcie o fizjologii, ale położnicy, z którymi się konsultował, zapewnili go, że z medycznego punktu widzenia to bardzo możliwe.

Jednak różnica ta będzie jeszcze jednym powodem, dla którego elegancki przystojny prawnik ze zdjęcia zażąda sprawdzenia DNA Gweneth St. James.

Gwen przyjęła to wszystko tak, jakby wiedziała o tym od zarania swojego życia i przez kilka krótkich chwil odczuwała tylko wielką, niczym niezmaconą radość.

Ma siostrę! Siostrę, której już od pewnego czasu chciała pomóc, a która w zamian planowała tylko, jak i kiedy ją zdradzić.

Dlaczego? To było oczywiste. Paige potrzebowała jednej ze zdrowych nerek Gwen. Ta nerka przejęłaby funkcje niespełniających swojego zadania nerek Paige. Oszukańczy plan został dokładnie przemyślany. Szczegółowo opracowany.

Gwen mogła się tego spodziewać po swojej wybitnie inteligentnej siostrze.

Ma rację, prawda? Paige ją zdradza. Nie chodzi tylko o to, że Gwen jest wyczulona na zdradę. Nie, nie tylko o to chodzi. Byłoby naiwnością sądzić, że ona i Paige spotkały się przez przypadek.

Ich spotkanie nie mogło być dziełem przypadku, lecz wynikiem spisku, przygotowanego starannie krok po kroku, łącznie z wybadaniem, którą z cech Gwen najłatwiej będzie wykorzystać.

Osobowość Gwen musiała być radosnym odkryciem; oto kobieta, którą wszyscy uważają za przyjaciółkę. Kobieta, która zawsze chętnie wysłucha i pomoże. Kobieta, którą bez trudu można manipulować.

Oczywiście Gwen St. James zaproponuje, że wykona makijaż Luise. I oczywiście

zauważy schorowaną kobietę wchodzącą do szpitala w tej samej chwili, co ona. Będzie się o nią niepokoiła. A kiedy umierająca Luise dotknie jej policzka - zupełnie jakby wiedziała - rozbudzone emocje Gwen przyćmią rozsądek. Zacznie mówić. I się odsłoni.

Teraz emocje także zaczynały przyćmiewać rozsądek. Zdołała jednak wznieść się ponad swoją rozpacz na tyle, by wyłączyć Luise ze spisku. Umierająca staruszka odegrała swoją rolę nieświadomie, choć bardzo chętnie. Kiedy się dowiedziała, że Gwen skrywa przed światem tajemnicę, którą powinna odkryć, dotknęła jej policzka i wypowiedziała przygotowane wcześniej zdanie, w wyniku czego Gwen wyznała swój sekret. Na co liczyła Paige.

Luise nie brała udziału w spisku. To pewne.

Ani Robyn. Luise i Robyn Johansson były tylko pionkami w tej grze. Z punktu widzenia Paige świetnie się do tego nadawały. Znalazły się we właściwym miejscu we właściwym czasie.

Jednak nawet gdyby ich nie było, Gwen i tak łatwo dałaby się podejść. Wystarczyłoby, żeby jedna z pielęgniarek zadzwoniła na prośbę Paige do stacji telewizyjnej i wyjaśniła, że jedna z pacjentek doktor Forrester, onkologa, chce wrócić do domu, by tam umrzeć, lecz przed śmiercią pragnie zobaczyć w lustrze swoje odbicie.

Ktoś doszedł do wniosku, że makijaż byłby dobrym rozwiązaniem problemu, a Paige wspomniała, że widziała na jakimś przyjęciu Madolyn Mitchell, której w pierwszej chwili nie rozpoznała, bo makijaż, który gwiazda telewizji zrobiła sobie sama, nie przypominał tego, do czego przyzwyczaili się widzowie wieczornych wiadomości. Paige nie powiedziałaby oczywiście, że makijaż Madolyn pozostawiał wiele do życzenia. Paige Forrester nigdy nie powiedziałaby czegoś takiego. Ale pielęgniarka wyjaśniłaby, że Paige ma wielki szacunek do wizażu jako dziedziny sztuki i darzy wielkim uznaniem utalentowaną makijażystkę z telewizji FOX. Doktor Forrester chce zawsze dla swoich pacjentów tego, co najlepsze. Dlatego właśnie chciałaby zapytać, czy Gwen nie zgodziłaby się zrobić umierającej pacjentce makijażu, który umożliwi jej powrót do domu. Pieniądze nie grają roli. Doktor Forrester chętnie wypłaci Gwen żadaną sumę oraz zapewni jej transport do szpitala i z powrotem, a później... Paige przekonałaby wdzięczną pacjentkę, by wypowiedziała to samo zdanie, które wypowiedziała Luise. Potem sama wygłosiłaby swoją dobrze wyćwiczoną kwestię.

Mogę się przyłączyć? Zadała to pytanie z udawaną nieśmiałością, kiedy wróciła do pokoju Luise. A Gwen w odpowiedzi zaczęła zwierzać się Paige z tego, czym nigdy dotąd z nikim się nie dzieliła. A kiedy urwała, by zapytać, czy Paige naprawdę ma ochotę tego słuchać, Paige zdecydowanie potwierdziła. Tak, naprawdę.

Powiedziała to tak zdecydowanie, jakby Gwen wyświadczała jej przysługę, obdarzając ją



zaufaniem.

Między siostrami pojawiła się emocjonalna więź. A kiedy Paige musiała iść na umówione spotkanie, Gwen zobaczyła jej „lęk” i w typowy dla siebie sposób postanowiła jej towarzyszyć. Widziała, jak Paige omal nie zemdląca. W wyniku czego Paige przedstawiła ją jako swoją „przyjaciółkę”. I sama zaczęła się jej zwierzać.

Poszukiwanie przez Gwen informacji na temat chorób nerek było z jej strony miłym, acz niekoniecznym posunięciem. Paige i jej wspólnik już zdecydowali się dostarczyć jej, przy cafe latte, najważniejszą informację: Paige potrzebuje dawcy, dzisiaj, tak samo jak wczoraj i osiem miesięcy temu.

Wspólnik Paige... Cole.

Pierwsze wrażenie, że on tak bardzo troszczy się o Paige, było trafne. Cole kocha Paige, a Paige kocha Cole'a. Gwen była też bliska prawdy, odgadując przyczynę omdlenia siostry. Paige nie jest w ciąży z Cole'em. Jeszcze. Ale będzie. Po transplantacji wiele kobiet z uszkodzeniem nerek rodzi zdrowe dzieci, zwłaszcza kiedy przeszczepiona nerka pochodzi od spokrewnionego dawcy. W takich przypadkach z czasem immunosupresja ulega znacznej redukcji albo w ogóle zanika.

Miło, że Gwen zaproponowała dzisiejsze spotkanie, choć i to nie było konieczne. Gdyby tego nie zrobiła, Paige ustaliłaby je na jutro. Choć i dzisiaj znalazła na nie czas. Podobnie jak Cole. On po prostu został w pracy trochę dłużej, choć po całym weekendzie spędzonym na dyżurze chętnie poszedłby do domu. Ale mężczyzna, który kocha Paige, z radością zdobył się na to poświęcenie.

A fakt, iż ją rozpoznał, że ją zapamiętał... Nie rozpoznałby jej, gdyby Paige nie dostarczyła mu pomocnych wskazówek. Gwen będzie siedziała przy oknie, Cole rozpozna ją po rudych włosach.

A więc Cole upewnił się, że Gwen wie to, co powinna wiedzieć. Sztuczka, jakiej dokonał chirurg, była wyjątkowo okrutna. Sprawił, że Gwen uwierzyła, iż to ona wyciąga od niego informacje, że go uwodzi. Jakby była w stanie uwieść kogokolwiek.

Tak to wygląda. Wielki spisek, mający na celu wyłudzenie nerki od nowej hojnej przyjaciółki Paige. Gwen proponuje, że podda się testom i *voilà*, okaże się, że jest doskonałym dawcą.

*Voilà*... Gwen zapomniała o April, Avril, imieniu bardzo podobnym do Angel, *n'est ce pas*. Jeszcze jeden zdumiewający zbieg okoliczności łączący dwie obce kobiety, które tak szybko się do siebie zbliżyły. Możliwe, że Paige wymyśliła historię April na poczekaniu.

Jej opowieść o tym, jak to chciała stworzyć samą siebie od nowa w Stanford, była

genialna. Wpadła na doskonały pomysł, który natychmiast zrealizowała. Skorzystała z jeszcze jednej okazji i sprawiła, że Gwen poczuła taką więź z Paige, taką bliskość, że z radością postanowiła oddać przyjaciółce nerkę.

Gwen będzie dawcą. Z radością.

Paige zostanie uratowana.

A Claire Forrester, ten delikatny kwiat, nie spojrzy w twarz swojej odepchniętej córce, już nigdy nie zobaczy tej oszpeconej twarzy.

A kiedy Paige Forrester dostanie już to, czego chce? To, co tylko siostra może jej dać? Zacznie się odsuwać od Gwen, tak powoli i delikatnie, że Gwen nawet się nie domyśli, iż ich zdumiewająca „przyjaźń” dobiega końca. Paige ma przecież pacjentów, którymi musi się zajmować, ma pracę, wymagającą czasu i poświęcenia. *Adieu, Angel. Au revoir.*

Logiczny plan, od początku do końca. Prawdziwy triumf kłamstwa i determinacji.

Paige Elisabeth Forrester dostanie swoją nerkę.

Tak, ta uprzywilejowana siostra o gładkiej twarzy ma szczęście, że to właśnie nerki potrzebuje. Natura wyposażyła przyjaciół i rodzeństwo w części zamienne.

Ma szczęście. Nie ma skrupułów. Dostanie to, czego chce, bez względu na to, do jakiej zdrady będzie musiała się posunąć.

Co by to jednak było, gdyby ta piękna siostra nie potrzebowała nerki, ale serca?

## Rozdział 16

- Gwen - powiedział Cole ciepło, choć był zaskoczony, kiedy otworzył drzwi swojego mieszkania siedem godzin po tym, jak widział ją po raz ostatni. Była teraz zupełnie inną Gwen niż kobieta, którą spotkał w szpitalnej kafejce. Jej włosy, te wspaniałe włosy we wszystkich kolorach jesieni, były potargane, pod błękitnymi oczami, smutnymi teraz, widniały głębokie cienie. Warstwa korektora, pod którą wtedy ukryte było jej znamię, teraz została starta. - Co się stało?

- Nic!

- W porządku - powiedział spokojnie. - Wejź.

- Wydajesz się zaskoczony, że mnie widzisz. Paige nie mówiła ci, że ja też tu mieszkam?

- Nie, nie widziałem się z Paige ani z nią nie rozmawiałem od soboty.

Oczywiście, że się z nią widziałeś! Cole Ransom był jeszcze lepszym aktorem niż bardzo utalentowana w tej dziedzinie Paige. Tak drobiazgowo przygotowany scenariusz zakładał zapewne, że jeśli sytuacja będzie tego wymagać, Cole powinien udawać, iż nie ma pojęcia, gdzie mieszka Gwen. Jego zdumienie, kiedy zobaczył Gwen, było tak przekonujące, że prawie w nie uwierzyła.

Ale wiedziała, że nie może mu wierzyć. Cole był świetnym aktorem. Umiał kłamać. A Gwen wiedziała też, dlaczego kłamię. Z miłości do Paige.

- Cóż - powiedziała - tu właśnie mieszkam. Dwa piętra niżej.

- To bardzo miły zbieg okoliczności, Gwen. Wejdz, proszę.

Był bosy, miał na sobie sprane dżinsy. Jego czarne włosy były wilgotne, jakby właśnie wyszedł spod prysznic.

- Jesteś sam?

Czy też może z Paige...

- Sam, piję bourbona. - Myślę o tobie. Cole nie wypowiedział tej najważniejszej prawdy na głos. Bał się, że gdyby ją usłyszała, uciekłaby, zanim zdążyłaby przekroczyć próg. - Przyłącz się do mnie, Gwen.

To zaproszenie zabrzmiało tak, jakby powiedział: zostań ze mną, Gwen. Bądź częścią mojego życia.

Oczywiście, że tak to zabrzmiało. Cole Ransom chciał zdobyć nerkę dla kobiety, którą kochał, więc w pewien sposób Gwen, a w każdym razie jej nerka, stanie się częścią jego życia.

Pamiętaj, po co tu przyszłaś, upomniała się w myślach.

Po co tu przyszła? To proste, a przynajmniej tak jej się przez chwilę wydawało. Chciała doprowadzić do konfrontacji z jednym, a może nawet z obojgiem zdrajców. Zrobiłaby to z godnością, oczywiście, tak jak powinna to zrobić w przypadku swoich szkolnych koleżanek z San Francisco.

Godna konfrontacja wydawała się jedynym rozwiązaniem. Ale im dłużej Gwen starała się wyobrazić sobie tę scenę, tym gorzej się z tym czuła. Poznała już gniew. Zdradę. Ich niszczycielską siłę.

Nie chciała już tych destrukcyjnych uczuć w swoim życiu. Zwłaszcza jeśli miała wybór.

A tym razem go miała.

Nie, nie przyszła tu po to, by skonfrontować się ze zdrajcą. By zarzucić mu zdradę. Przeciwnie. Postanowiła zachowywać się tak, jakby nie czytała listu od siostry Mary Catherine.

Postanowiła oddać nerkę, zakładając, że będzie odpowiednim dawcą.

Cole i Paige będą tkwili w przekonaniu, że udało im się ją oszukać.

Kochaj bliźniego swego jak siebie samego.

Powtarzając w myślach to zdanie, jedno z wielu, jakie kłębiły się w jej głowie przez cały wieczór, Gwen weszła do mieszkania Cole'a.

Rozkład pokoi był taki sam jak u niej, podobne meble także zostały identycznie rozmieszczone. Nie, zapewne makijażystka i chirurg nie mieli wcale takich samych upodobań, po prostu oboje zdecydowali się na wynajęcie umeblowanych mieszkań i żadne z nich nie zamierzało wprowadzać wielkich zmian.

Życie obojga toczyło się gdzie indziej. Życie Gwen - w stacji telewizyjnej, gdzie otaczali ją mili, szczerzy ludzie, Cole'a - w szpitalu, na sali operacyjnej.

Po pracy jednak tylko Gwen wracała do swojego bezosobowego mieszkania w Belvedere Court. Cole żył swoim życiem, zapewne w domu Paige. Albo w wielkim apartamencie w rodzinnej rezydencji Forresterów.

Gwen spojrzała na zegar w salonie. Wisiał na tej samej ścianie, co zegar w jej mieszkaniu.

Taka sama ściana, taki sam zegar... ale inna godzina.

- Niemożliwe, żeby było już piętnaście po dziesiątej!

- Ale tak jest. Plus minus dwie minuty.

- Nie wiedziałam, że jest już tak późno.

- Nie jest wcale późno - zapewnił ją Cole. Ale... gdzie ona była? Zaczął się zastanawiać. W swoim prywatnym piekle. Cole coś o tym wiedział. Wiedział, że w krainie wiecznego bólu czas przestaje istnieć. - Napijesz się czegoś? Bourbona z wodą i lodem?

Gwen zazwyczaj nie piła alkoholu. Ale to nie był zwyczajny wieczór. Jednak z drugiej strony czuła, że musi być przytomna, a i tak była już bardziej roztrzęsiona, niż sądziła. Straciła mnóstwo czasu, usiłując opanować emocjonalny chaos, jaki zagościł w jej życiu.

Musi być bardzo ostrożna i pamiętać o swoim postanowieniu. Musi się bardzo pilnować, by nie nadawać troszeczkę widocznej w szarych jak dym oczach zbyt dużego znaczenia.

Cole'owi na niej nie zależy. Ani trochę.

Ale bardzo zależy mu na jej nerce.

Uczyn z wrogów swych przyjaciół. Albo przynajmniej udawaj.

- Nie, dziękuję, Cole. Nie mam ochoty.

- W porządku. - Dobrze. Uwodzenie kobiet za pomocą alkoholu nie było w jego stylu.

Doskonale obywał się bez tego. A gdyby chciała się napić, podałby jej mocno rozcieńczonego

bourbona z dużą ilością lodu. Ale nawet odrobina bourbona to byłoby zbyt dużo.

- Gwen, usiądź, proszę.

Gwen usiadła i znowu go zaskoczyła.

- Jak czuje się pacjent z czwórki?

Gorączka była wynikiem drobnego stanu zapalnego, który nie miał nic wspólnego z przeprowadzoną przez Cole'a operacją.

- Wszystko będzie w porządku.

- To dobrze. Pewnie się zastanawiasz, dlaczego tu przyszłam?

- Jestem trochę zaciekawiony. Ale przede wszystkim - powiedział Cole miękko - cieszę się, że tu jesteś.

Kłamca! Ale właśnie tego mogła się spodziewać. Wiedziała, że będzie się tak zachowywał. Będzie udawał, że go oczarowała. Uwiodła. A zainteresowanie przystojnego chirurga szybko sprawi, że ktoś taki jak ona zrobi dla niego wszystko.

Gwen sądziła, że jest na to przygotowana. Nie była. Kłamstwa Cole'a bolały.

Powtórzyła w myślach to, czego nauczyła się w klasztorze. Kiedy przypomniła sobie o tym wcześniej tego wieczoru, omal się nie roześmiała.

Nadstaw drugi policzek.

Bardzo trafne.

Cole nie wiedział, co wywołało ten słaby uśmiech na jej twarzy i na krótką chwilę zapaliło iskierki w jej chmurnych błękitnych oczach. Ale był za to wdzięczny.

- Więc powiedz mi, dlaczego do mnie przysłaś.

- Dobrze. Cóż, chciałam dokończyć rozmowę, którą zaczęliśmy dziś po południu. O tym, że Paige powinna poddać się transplantacji, ale nie chce się wpisać na listę oczekujących na przeszczep. Nie miałam okazji z nią dzisiaj o tym porozmawiać, ale sądzę, że to już nie będzie konieczne. Czuję, że zmieniła zdanie.

- Czujesz?

- Właściwie wiem. Paige powiedziała mi, że jej nefrolog uznał, iż czas na zastosowanie nowego podejścia.

- Tak. Chce wydłużyć czas dializowania.

- Co?

- To jest to nowe podejście. Wydłużenie czasu dializowania z czterech do ośmiu godzin.

Czy ta informacja, zapewne nieprawdziwa, była częścią planu mającego na celu zdobycie jej nerki? Wydawało się to zbędną komplikacją. Chyba że mimo ich starań,

ociągałaby się z jej oddaniem. Historyjka o wydłużonym czasie dializowania miałaby jej unaocznić, jak bardzo Paige potrzebuje przeszczepu i jak kiepskie rezultaty daje w jej przypadku dializa. Choć z tego, co Gwen zdążyła do tej pory przeczytać, nie wynikało, że dłuższe okresy dializowania muszą być z tym związane.

Ale grała dalej.

- Czy to jej pomoże?

- Miejmy nadzieję.

- Ale byłoby lepiej, gdyby dostała nerkę?

- Znacznie lepiej.

- Z tego, co czytałam, wynika, że nerka żyjącego niespokrewnionego dawcy może być równie dobra jak nerka członka rodziny. Oczywiście, jeśli występuje zgodność HLA.

- Istotnie, może tak być - odparł Cole. - Ciągłe przybywa danych na ten temat. Tak czy inaczej przeszczep nerki od żyjącego dawcy o odpowiednim HLA może dać bardzo dobre długoterminowe rezultaty.

- Myślałam o tym, żeby dać się przebadać i sprawdzić, czy nie mogłabym być dawcą dla Paige...

Gwen urwała i obserwowała go uważnie. Cole patrzył na nią tak, jakby był z niej dumny, jakby zachwycił ją jej wspaniałomyślność. Nie dostrzegła jednak w jego oczach ani śladu triumfu, jaki niewątpliwie odczuwał. Udało nam się, Paige. Twoja siostra połknęła przynętę. Gwen nie wyczuła też żadnego zniecierpliwienia, niczego, co mogłoby wskazywać na to, iż nie może się doczekać, aż ona sobie pójdzie, a on będzie mógł zadzwonić do ukochanej. Był bardzo cierpliwym wędkarzem. Ryba połknęła haczyk, ale jeszcze nie dała się wciągnąć do łódki.

Cóż, wkrótce zostanie do niej wciągnięta. Sama wskoczy.

Sprawiało jej to coraz większy ból. Tak bardzo chciała mylić się co do Paige i Cole'a.

Nie są kochankami. Ani spiskowcami. Może w ogóle nie ma żadnego spisku, tylko zbieg okoliczności?

- Właściwie już to przemyślałam i chcę to zrobić.

- To bardzo szlachetne z twojej strony, Gwen.

- Paige jest moją przyjaciółką.

- Mimo wszystko, to bardzo...

- Chcę to zrobić. - Ty chcesz, żebym to zrobiła. Więc dlaczego zachowujesz się tak, jakbyś chciał, bym to jeszcze przemyślała? Bo to tylko gra. On udaje.

- W porządku - powiedział miękko, patrząc na nią z dumą i zachwytem.

- Ale nie chcę, żeby Paige się o tym dowiedziała. Chyba że okaże się, że jestem odpowiednim dawcą.

- To dobry pomysł.

- Problem w tym, że skoro Paige nie zaczęła jeszcze myśleć poważnie o transplantacji, nie ma wyników jej testów HLA, które można by porównać z moimi.

- Ależ są.

Oczywiście.

- Och?

- Nefrolog Paige rutynowo pobrał jej tkanki do badania.

- Więc to z nim powinnam porozmawiać, prawda? I zobowiązać go do dochowania tajemnicy.

- Takie sprawy i tak obejmuje tajemnica lekarska. Im mniej osób dopuszcza się do tajemnic, tym lepiej. Ja również mogę zrobić to wszystko, co jej nefrolog, od zlecenia badań HLA do porównania wyników.

- Możesz dostać wyniki jej badań?

- Jasne.

- I zrobiłbyś to?

- Oczywiście. Jutro operuję mniej więcej do pierwszej po południu. Możemy się spotkać w moim gabinecie koło drugiej? Jeśli nie, to...

- Druga jest w porządku - Gwen wstała. - Więc do zobaczenia jutro.

- Idziemy już?

- My?

- Odprowadzę cię do domu.

- Nie musisz tego robić.

- Nie twierdzę, że muszę. A ty nie musisz jeszcze iść.

- Myślałam, że chcesz... - zadzwonić do Paige, przekazać jej dobrą wiadomość - ... iść już spać.

- Nie spieszy mi się - powiedział. - Zostań jeszcze. Porozmawiajmy. Obiecałaś, że odpowiesz na moje pytania.

Gwen nie zapomniała jego pytań.

Ale miała nadzieję, że zapomniał o jej oszpeconym policzku. O policzku Angel. Wymyłam do czysta, zanim wzięła się do czytania listu od siostry Mary Catherine.

Stała przed nim obnażona. Po raz drugi.

Ale nic w jego uważnych szarych oczach jej o tym nie przypominało. Żaden grymas

odrazy czy wyraz współczucia.

Gwen wydawało się nawet, że widzi w tych oczach błysk pożądania. Pewnie to sobie wyobraziła. A jednak widziała go nawet teraz, kiedy odpowiadała na pierwsze pytanie.

- Z powodu tego - lekko drżącą ręką dotknęła policzka. – Większość ludzi zobaczyłaby i zapamiętała tylko to. Nic więcej.

- I?

- Był czas, kiedy wierzyłam, że takie rzeczy jak znamiona są tylko powierzchowne.

- Ale już tak nie uważasz?

- Nie. Już tak nie uważam.

- Przykro mi, że ktoś tak bardzo cię zranił.

- Nic mi nie jest!

- Wiem o tym.

Teraz z całą pewnością miała halucynacje, skoro widziała w jego oczach to wszystko, czego w nich tak naprawdę być nie mogło. Pożądanie i czułość. Tęsknotę i troskę. Pokręciła głową. Musi wziąć się w garść. Zadała mu pytanie, którego na pewno się nie spodziewał. Pytanie, na które z pewnością nie miał przygotowanej odpowiedzi.

- Co sobie pomyślałeś, kiedy zobaczyłeś moje znamię?

Wyglądało znacznie gorzej, niż się spodziewaliście, prawda? Ty i Paige?

- Pomyślałem, że nie zachodzi na oko. I że to bardzo dobrze.

Gwen też o tym wiedziała. Znamię zachodzące na oko lub czoło zwiększało ryzyko wystąpienia zespołu Sturge'a-Webera, a wraz z nim jaskry i padaczki.

- Mam szczęście - mruknęła.

- Co jeszcze?

- Co masz na myśli?

- Zastanawiam się, co jeszcze wydarzyło się w czasie tych siedmiu godzin, jakie minęły od czasu, kiedy widzieliśmy się w szpitalu, do chwili, kiedy zapukałaś do moich drzwi.

Nie mów mu. Masz nadstawić drugi policzek, pamiętasz? Nigdy nie pozwolisz im, tym kochankom, tym spiskowcom, dowiedzieć się, kim jesteś i co ci zrobili.

- O co ci chodzi? Czego chcesz? - spytała. Był to cichy głos niedowierzania.

Ciebie. Cole pragnął jej tak, jak nigdy nie pragnął żadnej kobiety. Pragnął jej całym sobą. Chciał z nią rozmawiać, dotykać jej, śmiać się z nią i jej słuchać, obserwować ją z daleka, tak jak patrzy się w zachwycie na zachód słońca, i tulić ją w ramionach.

Cole chciał tego wszystkiego. Dziko. Namiętnie.

I chciał jeszcze czegoś.



- Chcę, żebyś mi zaufała.

Gwen spuściła wzrok.

Zobaczyła znajomo wyglądający dywan i znajome ręce.

Ręce chirurga. Ręce kochanka.

I poczuła ich dotyk.

Cole delikatnie unióś jej podbródek. Potem, ponieważ jej twarz zasłaniały włosy, ostrożnie rozdzielił splecione rude pasma. Jego palce lekko muskały jej policzki. Oba. Jednakowo czule. Jakby nie było między nimi najmniejszej różnicy.

- W porządku - szepnął, kiedy już mógł spojrzeć w jej oczy... a ona w jego. - Nie mam ci za złe, że mi nie ufasz. Prawdę mówiąc, pewnie masz rację.

Mówił jej, że nie może mu ufać. Przyznawał się. Ale do czego? Do czegoś, co sprawiało, że jego oczy pociemniały, a ton głosu stał się surowy.

- Ufam ci, Cole. - Gwen usłyszała swój głos. Zdumiewające słowa, szczere, jakby płynęły z głębi serca. I uparte. Jak jej serce. I coraz głośniejsze, w miarę jak gniew w jego oczach zaczął ustępować zdumieniu. - Ufam ci, tylko że...

- To był bardzo długi dzień?

- Tak, chyba tak.

- Nie musisz mi nic mówić, Gwen. Nigdy.

- Ale chcę. Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby to wszystko przemyśleć.

Na przykład, czy to możliwe, że jednak nie została zdradzona ani przez Paige, ani przez Cole'a.

## Rozdział 17

- Tak, powiedziała sobie Gwen godzinę po tym, jak Cole odprowadził ją pod drzwi mieszkania, chyba może uwierzyć, że nie została zdradzona przez Paige.

Ani przez Cole'a.

A spisek, bo spisek istniał na pewno, był dziełem przeznaczenia.

Przeznaczenie skrzyżowało drogi Paige Elisabeth Forrester i Gweneth Angeliki St. James. A po pewnym namyśle nie było już tak trudno uwierzyć, że tak musiało się stać.

I stałoby się, prędzej czy później.

Wystarczyłoby, żeby którykolwiek ze współpracowników Gwen miał krewnego chorego na raka. Tak wiele osób teraz choruje. A ponieważ jego rodzina chciałaby dla niego wszystkiego, co najlepsze, zwróciliby się do Paige.

A gdyby ten chory bał się, że jego wnuki mogłyby się wystraszyć jego zmienionego przez chorobę wyglądu, Gwen, świetna makijażystka, sama zaoferowałaby pomoc.

Bliźniaczki spotkałyby się w szpitalu. Jeśli nie w tym roku, to w przyszłym, albo za dwa lata.

Ale miały tyle szczęścia, że to właśnie teraz Luise potrzebowała pomocy Gwen.

Bo to właśnie teraz także jej siostra potrzebuje pomocy. Przeznaczenie postanowiło zetknąć je ze sobą w najbardziej odpowiednim momencie.

Nietrudno było to zorganizować. Obie mieszkały w San Francisco -dzięki jedynej osobie, która wzięła udział w spisku. Samej Gwen. Tak naprawdę to ona była głównym spiskowcem. I spiskowała już od dłuższego czasu. Odkąd skończyła trzynaście lat. Wtedy zrozumiała, że nie wolno jej wyjechać z Kalifornii z zakonnkami. Tak jak w wieku piętnastu lat zrozumiała, że musi ukrywać swoje znamię przed światem. Stała się przyjaciółką i powierniczką wszystkich, których spotkała na swojej drodze. W tym także kobiety, której ciężko chora babcia zaprowadziła ją prosto do Paige.

Jednak nawet gdyby trzynastoletnia Angel zlekceważyła głos przeznaczenia, wskazujący jej północną Kalifornię i miasto nad zatoką nawet gdyby została siostrą Angeliką, a nie makijażystką Gwen, i tak nie zdołałaby pokrzyżować mu planów. Od początku istniał ktoś, kto by temu zapobiegł. Siostra Mary Catherine. Zakonnica, która pokochała naznaczone znamieniem dziecko i która jako jedyna знаła całą prawdę o tamtej deszczowej nocy.

Siostra Mary Catherine znalazłaby Gweneth, czy też Angel, gdziekolwiek by ona nie była. W Santa Fe albo w Timbuktu. I porzucona bliźniaczka przyjechałaby do San Francisco, by spotkać się z siostrą.

W takim wypadku to Gwen wszystko by zaplanowała. To ona wymyśliłaby pretekst, by spotkać się z Paige. Przybyłaby do niej jako pacjentka albo zakonnica. Albo tak, jak to miało miejsce w rzeczywistości -jako makijażystka. Gwen, specjalistka od kamuflażu, zaoferowałaby jej swoje usługi. Życie pacjentów Paige stałoby się troszkę lżejsze, gdyby można ukryć mięsaki czy inne nowotwory skóry.

Siostry spotkałyby się, a efekt tego spotkania byłby taki sam. Radość. Powrót do domu. I szybka, lecz słuszna decyzja Gwen, by ofiarować Paige nerkę.

Gwen dowiedziałaby się od siostry Mary Catherine, kim jest dla niej Paige. A czy powiedziała o tym swojej siostrze?

Tak! Tak! Tak!

Nie, odezwał się nagle w jej sercu spokojny głos rozsądku. Paige nie może się dowiedzieć. Ze względu na Claire.

Detektyw pomagający siostrze Mary Catherine nie odkrył niczego, co wskazywałoby na to, iż Claire Forrester cierpiała na amnezję. Młoda matka postanowiła po prostu pozbyć się oszpeconej bliźniaczki, a zatrzymać jej siostrę.

Przez trzydzieści jeden lat Claire ukrywała prawdę przed córką, którą kochała i która oczywiście kochała ją.

Co by się stało, gdyby Paige dowiedziała się nagle, że przez trzy dekady była okłamywana?

Ukochana córka poznałaby ból zdrady, który niechciana córka знаła tak dobrze.

To się nigdy nie stanie. Gwen nigdy nie zraniłaby swojej siostry w taki sposób.

Będzie przyjaciółką Paige. Da jej nerkę.

Ale nic więcej. Dla Gwen było to więcej niż dość.

A jeśli jej teoria przeznaczenia jest błędna? Jeśli jednak została oszukana, jeśli Paige zaprzyjaźniła się z nią tylko dla jej nerki?

Trudno, niech i tak będzie.

Dopóki jednak Gwen nie zostanie zmuszona, by przyjąć to do wiadomości, będzie wierzyła w Paige, będzie jej ufała.

I dopóki nie zostanie zmuszona, by przyjąć do wiadomości, że jest inaczej, Gwen będzie też wierzyła i ufała człowiekowi, który powiedział jej z takim przekonaniem, że dał się jej uwieść.

W jej śnie padał deszcz, było ciemno i zimno. A ona była zrozpaczona. Nagle zobaczyła jego cień. Wówczas krople deszczu stały się ciepłe, ogrzane radością, tak jak ona.

Odnajdziesz to, czego szukasz, obiecał. Razem to odnajdziemy.

Już wkrótce.

Na razie poszukiwanie może poczekać.

Ale on nie może.

Kiedy się pobrali, była dziewicą. Była nieśmiała. Ostrożna. Może bała się, że kiedy on odkryje już wszystko, co było w niej do odkrycia, nie będzie jej już pragnął.

Więc w czasie pierwszego roku małżeństwa kochali się... tradycyjnie. I cudownie. Miało być jeszcze lepiej, cudowniej, w ciągu lat, które miały nadejść.

Ale Alan umarł i umarli te lata. A teraz do niej wrócił i tak bardzo jej pragnął.

Biegła do niego w ciemności, padała w jego ramiona. Kiedy się kochali, była taka odważna, taka śmiała. I radosna. On też. To także było czymś nowym. Ale po tylu latach znali się tak dobrze, byli sobie tak bliscy.

On szeptał głosem pełnym pożądania: „Kocham cię, Claire. Kocham cię”.

I ja cię kocham, Stuarcie. Kocham...

Claire zbudziła się gwałtownie. Czowała ból. Pragnienie.

I tak dokładnie pamiętała ten sen.

Już wcześniej zdarzały jej się sny erotyczne. Często. To naturalne, minęło przecież tyle lat. Ale jej kochankiem był zawsze Alan. Alan, a nie jego i jej najlepszy przyjaciel.

Claire nigdy dotąd nie pamiętała tak wyraźnie żadnego snu. Teraz ciągle czowała ból pożądania.

Zegar koło łóżka pokazywał czwartą dwadzieścia dwie. Stuart na pewno śpi. Sam? Tego Claire nie wiedziała. I nie chciała wiedzieć. Przychodziły do niej przyjaciółki - i przyjaciółki przyjaciółek - które się z nim spotykały, które go kochały, a kiedy ich uczucia nie zostały odwzajemnione, szukały u jego „najdroższej przyjaciółki Claire” pocieszenia i rady.

Claire nie miała pojęcia, z kim spotyka się Stuart. Ale zadzwoni do niego. Opowie mu to jak świetny dowcip. To ja, Stuarcie. Nigdy nie zgadniesz, co mi się właśnie przyśniło.

A kiedy mu powie, oboje będą się z tego śmiali. Razem, jak to im się Często zdarzało, bo tak dobrze się poznali w ciągu tych lat.

Czy Stuart będzie się śmiał z jej snu?

A ona?

Nie. Claire nie mogła sobie pozwolić na to, by ulec niewinnemu pragnieniu zwinięcia się w kłębek w łóżku i powrotu do tego snu. Nie mogła też zdobyć się na to, by zadzwonić do niego i powiedzieć coś zupełnie innego.

„To ja, Stuarcie. Mógłbyś do mnie przyjechać? Teraz?”

Claire wstała i zgięła się z bólu. Od wielu miesięcy bolał ją żołądek, a teraz ból się nasilił. Coś ją dręczyło. Może jakiś demon, który męczył ją mglistymi wspomnieniami, teraz dołączył do nich udrukę wspomnień erotycznych snów.

Tej nocy demon dręczył ją tępyim bólem. Czasami ból był palący, czasami rwący.

Najgorzej było wtedy, kiedy do bólu dołączały mdłości. To przypominało jej o czasie, kiedy była w ciąży i czuła tak wielką radość, tak rozpierające szczęście.

I zachwyty, który dzieliła z Alanem, i nadzieję, i marzenia o ich małej dziewczynce.

Claire Forrester nigdzie przed świtem nie zadzwoniła. Ale kilka przecznic dalej jej córka sięgnęła po słuchawkę. W Buffalo nastał już ranek, a siostra Mary Catherine zawsze była rannym ptaszkiem.

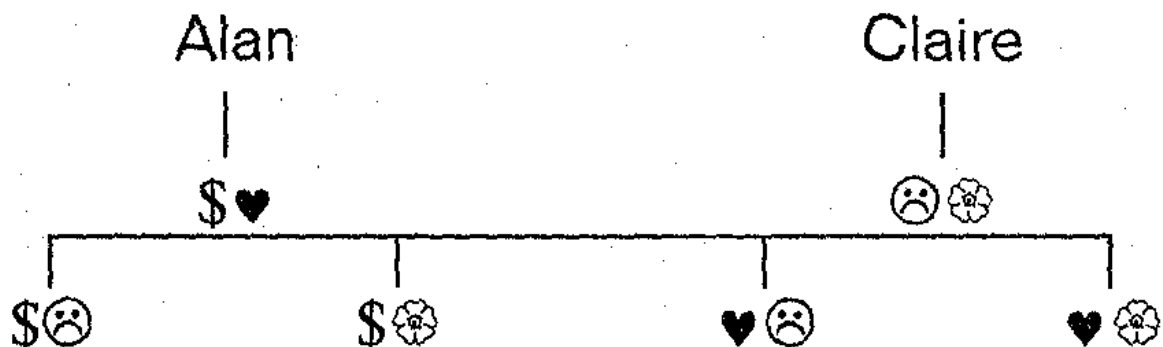
W obszernym postscriptum swojego listu zaznaczyła, że stała się bardzo nowoczesną zakonnica. Można było się z nią skontaktować o każdej porze dnia i nocy za pośrednictwem faksu, automatycznej sekretarki lub Internetu. Około siódmej rano czasu wschodniego, kiedy Gwen do niej zadzwoniła, nowoczesna zakonnica była już poza domem. Gwen zostawiła wiadomość, podziękowała za list i zapewniła, że siostra nie ma jej za co przepraszać. Siostra Mary Catherine nie mogła przecież wiedzieć, że Gwen ma siostrę bliźniaczkę może do tej pory nie nadszedł odpowiedni moment, by Gwen się o tym dowiedziała. Może nawet lepiej, że dowiedziała się dopiero teraz.

Bo właśnie nadszedł ten odpowiedni czas. Najlepiej, jak wielokrotnie zapewniła ją Gwen w swojej wiadomości. Wyjaśni to dokładniej, kiedy się spotkają. Czego ona, Gwen, nie może się już doczekać.

Po telefonie do Buffalo przez kilka godzin Gwen rozmyślała. I szkicowała. W wyniku tego powstał schemat jej rodowodu HLA, zawierający cztery możliwe wzory, jakie Claire i Alan Forrester mogli zostawić w spuściznie swoim córkom.

Gwen wiedziała już, że każde z rodziców miało dwa haplotypy antygenów leukocytów - HLA. Każde z rodziców przekazało po jednym z nich swoim dzieciom.

Tak więc:



Wybór symbolu dolara dla jednego z dwóch haplotypów Alana wydawał się oczywisty. Był potomkiem Forresterów. A drugi z haplotypów, serce? Gwen postanowiła wierzyć, że ojciec by ją kochał i chciał ją zatrzymać.

Po stronie matki, która z odrazą odwróciła się od swojej pierwotnej córki w ciągu

tych kluczowych pierwszych piętnastu sekund, Gwen narysowała wykrzywioną grymasem twarz. Ale dla drugiego haplotypu Claire wybrała kwiat. Claire była w końcu, przynajmniej zdaniem Paige, delikatnym kwiatem.

Istniała jedna szansa na cztery, dwadzieścia pięć procent, że Paige i Gwen mają ten sam układ haplotypów. Na przykład kwiat i serce.

Istniało też pięćdziesiąt procent szans, że mają tylko jeden zgodny haplotyp, i dwadzieścia pięć procent, że nie mają żadnego.

Gwen wiedziała, iż nawet siostry, których pokrewieństwo zostało potwierdzone testami DNA, mogą mieć zupełnie inne układy haplotypów. Miały takie same szanse na to, że nie ma między nimi żadnej zgodności, jak na to, że ich haplotypy są identyczne.

Dwadzieścia pięć procent.

Jedna szansa na cztery.

Nie, tak nie będzie, powiedziała sobie Gwen, wodząc długopisem po kwiatach i sercach.

Będzie dla Paige idealnym dawcą.

Takie jest ich przeznaczenie.

## Rozdział 18

*Centrum Medyczne Pacific Heights*

*Oddział Chirurgii Naczyniowej*

*Wtorek, 5 listopada*

- Gweneth Angelica St. James. - Cole przeczytał szpitalną kartę, którą dała mu Gwen. Tę samą, którą dostała w rejestracji kliniki poprzedniego popołudnia. - Piękne imię.

Piękne, pomyślała Gwen, ale nie moje. Widniejąca na karcie data jej urodzin, dwudziesty dziewiąty października, także nie była prawdziwa.

Chociaż w przypadku daty chodziło tylko o jeden dzień.

A w przypadku imienia o całe życie.

Była Dzieckiem Forrester.

Oszpeconym Dzieckiem Forrester.

Tą drugą bliźniaczką.

- Gwen?

- Tak? Och. To długa historia. - Spojrzała na niego. - Którą kiedyś chciałabym ci

opowiedzieć.

- Czy jutro będzie na to za wcześnie? Moglibyśmy spędzić razem cały dzień.

- Nie pracujesz?

- Nie. Ani jutro, ani w czwartek.

- Dlatego że pracowałeś przez cały weekend?

- Dlatego, Gwen, że bardzo chcę spędzić z tobą trochę czasu. Więc jutro?

- Dobrze. Jutro.

- Świetnie. Zadzwoń do ciebie wieczorem.

- Dobrze. - Gwen wiedziała, że teraz Cole ma tylko piętnaście minut. Przeprosił ją za to, kiedy tylko weszła. Ale Cole potrafił jednocześnie przygotowywać przyrządy potrzebne do pobrania krwi, wypełniać formularz, wyczuć jej cichy smutek i rozmawiać. Powiedziała więc:

- Zastanawiam się, dlaczego Paige nie chciała wpisać się na listę oczekujących na przeszczep.

- Nie wiem.

- Ale co myślisz?

- Może z tego samego powodu, dla którego nie chciała ograniczyć godzin pracy. Inni lekarze nalegają by brała mniej dyżurów i prowadziła mniej pacjentów. Ale ona się nie zgadza.

- Może chce pokazać innym dializowanym, że choroba nie musi oznaczać rezygnacji z życiowych zamierzeń?

- Tak sędzę. Wydaje mi się też, że chce wykorzystać wszystkie możliwości dializy, zanim zdecyduje się na transplantację.

Gwen skinęła głową. Ona także o tym pomyślała. Możliwe też, że Paige postanowiła zaczekać z decyzją o przeszczepie, choć sama nie wiedziała dlaczego, tak jak Gwen do tej pory nie wiedziała, dlaczego podejmowała decyzje, które w końcu zaprowadziły ją do Paige.

- Wiesz, jaką masz grupę krwi? - spytał Cole.

- Zero. Jestem uniwersalnym dawcą.

- Dobrze. A twój stan zdrowia?

- Bardzo dobry, o ile wiem.

- Mógłbym ci pobrać krew do badań, jakim muszą się poddać potencjalni dawcy.

Oczywiście, jeśli wyrazisz na to zgodę.

- Jeśli wyrażę zgodę?

- W skład tych badań wchodzi testy na obecność wirusa żółtaczki, HIV i syfilisu. Wszystkie te choroby mogą przenieść się na biorcę. Ale przeprowadzenie ich bez wyraźnej zgody jest czasami oceniane przez pacjentów, nie wspominając już o ich prawnikach, jako pogwałcenie prawa do prywatności.

- Ich prawników?

- W świetle prawa pobranie próbek krwi, nawet do całkowicie rutynowych badań, bez zgody pacjenta, jest naruszeniem nietykalności osobistej i czynną napaścią.

- Czy to nie lekka przesada?

- Zgodnie z prawną definicją naruszenie nietykalności osobistej to groźba ataku na drugą osobę. O ile sobie przypominam, strzykawka może być uważana za narzędzie takiego ataku, podobnie jak nasączony alkoholem wacik, który zostaje przytknięty w miejscu nakłucia. A pobranie krwi, które łączy się z przebicciem skóry, to czynna napaść.

- Cóż, masz moją zgodę, możesz robić wszystko, co tylko uznasz za stosowne. Wszystko, co jest konieczne dla Paige.

- W porządku. - Cole dołożył kilka dodatkowych tubek do kolorowego zestawu, który wcześniej przygotował, i sięgnął po strzykawkę.

Nie było żadnego naruszenia nietykalności osobistej. Ani czynnej napaści. Ani niechcianego dotyku.

Było tylko profesjonalne i delikatne badanie.

Gwen patrzyła, jak jej krew wpływa do strzykawki wtulonej miękko w jego dłoń.

- Kiedy będą wyniki?

- Za siedem do dziesięciu dni. - Cole nie podniósł wzroku. - Ty naprawdę myślisz, że będziesz dla niej dobrym dawcą?

- Och, mam taką nadzieję. Bardzo bym tego chciała.

Cole nie odrywał oczu od jej ramienia, igły i strzykawki. Ale ton jego głosu mówił bardzo wiele. Sięgał w głąb jej serca.

- Wiem - powiedział cicho.

W każdy wtorek po szkole Beth i Dina rozstawały się. Beth miała lekcje gry na fortepianie, Dina lekcje tańca. Trzeci przyjaciel, Larry, we wtorki pływał. Tak jak zresztą każdego innego dnia tygodnia.

Dziewczynki spotykały się znowu na kolacji. W każdy wtorek. Raz u Diny, następnym razem u Beth. Ta, która przyszła na kolację, zostawała u przyjaciółki na noc. Zawsze kładły się wcześniej. W środy Beth miała o szóstej trzydzieści rano próby z orkiestrą i Dina wiedziała, że jej przyjaciółka musi być wypoczęta.

Dzisiaj wypadła „wtorek u Diny”. Jednak Beth nie wybierała się przed kolacją u przyjaciółki na lekcję fortepianu, ale na spotkanie z Paige. Lekcję oczywiście odwołała. Zrobiła to



już poprzedniego dnia, zaraz po tym, jak ustaliła godzinę wizyty w gabinecie Paige.

Ani Dina, ani Lany nie zrezygnowali z zaplanowanych na popołudnie zajęć. Zgłaszali jednak taką gotowość przez cały dzień.

Ale Beth była stanowcza. Poradzi sobie. Nie ma problemu.

Czuła się z Paige... bezpiecznie.

Pani doktor i uczennica poradziły sobie bez problemu.

A ponieważ obie były grzeczne i delikatne, obie zastanawiały się przed spotkaniem, jak kurtuazyjnie nawiązać tę rozmowę, jaki poruszyć temat, zanim przejdą do rzeczy. I obie wpadły na ten sam pomysł: poniedziałkowe popołudnie, które Beth spędziła w domu Claire.

- Dobrze się bawiłaś? - spytała Paige.

- Bardzo dobrze. Było tak miło. - Beth dotknęła naszyjnika, który miała na szyi. Włożyła go specjalnie po to, by pokazać Paige. - Twoja mama mi to dała. To są korale miłości. Wiesz, z Haight-Ashbury. Bardzo mi się podobają.

Paige dotknęła symbolu tamtych szalonych czasów w San Francisco. Wiedziała bardzo mało o Helps Angels i dzieciach kwiatów, o miłości, która miała zwyciężyć wojny i przemoc. Jeszcze mniej wiedziała o życiu ulicznej artystki Claire, zanim poznała Alana. Korale miłości sprzed wielkiej miłości, sprzed wielkiej straty. Sprzed czasu Paige.

Sprzed czasu, kiedy Claire Forrester stała się taką wspaniałą matką dla tylu innych córek.

- Bardzo się cieszę, że ci się podobają, Beth. Jestem pewna, że moja mama też się z tego ucieszyła.

Koniec kurtuazyjnej pogawędki.

Beth myślała o swojej matce.

- Dina i ja sądziłyśmy, że to może ta dziewczyna, z którą spotykał się mój tata - zaczęła. - Ta, którą znałaś.

- Nie, Beth. Przykro mi. Ta dziewczyna to ktoś zupełnie inny. To nie twoja matka. To tylko ja.

- Och. - W zielonych oczach Beth, tak podobnych do oczu Jacka, odbiło się rozczarowanie. - Więc jej nie znasz?

- Może znam. Mogła mieszkać w tym samym akademiku, mogliśmy też chodzić na te same wykłady albo ćwiczenia. - Zakładając, że w ogóle studiowała w Stanford. Jack poznał ją na przyjęciu weselnym, tak powiedział, i od tego czasu jej nie widział. Paige doszła więc do wniosku, że musiała studiować gdzie indziej. Oczywiście Stanford to tak duża uczelnia, że przypadkowi kochankowie mogli już nigdy się nie spotkać, nawet jeśli oboje byli jej

studentami. Ale dla kogoś takiego jak Paige, kto tylko uczył się i łykał pigułki, uniwersytet w Stanford był tak mały, że nawet gdyby, matka Beth siedziała z nią w jednej ławce, Paige i tak by jej pewnie nie znała. Może jednak... - Możesz mi powiedzieć, jak twoja mama się nazywa?

Beth pokręciła głową.

- Nie wiem. Dina mówi, że jej nazwisko powinno być na moim akcie urodzenia, ale ja nie wiem, gdzie on jest.

Paige zrozumiała, że Beth nie szukała tego aktu. Nie grzebałaby w rzeczach jej ojca, mimo zachęty ze strony Diny.

- A co mówi o twojej mamie tata?

- Że odeszła, kiedy byłam bardzo mała, bo ich małżeństwo nie było udane.

- Kiedy ci to powiedział?

- Rozmawialiśmy raz o tym, jak byłam mała.

- Pewnie powiedział ci też, że ma szczęście, bo to z nim zostałam.

- Właśnie to powiedział!

- Twój tata bardzo cię kocha, Beth. Najbardziej na świecie. A ty - dodała Paige łagodnie - tak bardzo kochasz swojego tatę, że nie chcesz zranić jego uczuć, pytając o matkę. Nie chcesz, żeby pomyślał, że przez cały ten czas ci jej brakowało.

- Nie brakowało mi jej!

- Wiem. I twój tata też o tym wie. Ale jesteś coraz starsza. Nic dziwnego, że zaczynasz o niej myśleć.

- Tak?

- Oczywiście. To naturalne. Więc jestem pewna, że tata nie będzie ani trochę zaskoczony, jeśli zapytasz go o mamę.

- Nie jestem pewna, jakie pytania mu zadać.

- To nie ma znaczenia, Beth. Możesz zacząć od tego, że myślałaś o niej i już. - To nie było w stylu Beth ani w stylu Paige, kiedy była w jej wieku. Ani teraz. Obie zadawały zawsze starannie przemyślane pytania, głównie dlatego, by móc rozważyć potencjalne odpowiedzi, zanim w ogóle o coś zapytały. Ale w przypadku tak wielkiej niewiadomej, jaką jest nigdy niewidziana na oczy matka, potencjalne odpowiedzi można by mnożyć w nieskończoność. - Wiesz co? Żałuję czasem, że kiedy byłam w twoim wieku, nie mówiłam mojej matce o wszystkim, nad czym się zastanawiałam, i nie pytałam, czy może mi pomóc znaleźć odpowiedź.

- Ale z twoją mamą tak łatwo się rozmawia!

- Prawda? Tak jak z twoim tatą.

- A są jeszcze jakieś sprawy, nad którymi się zastanawiasz? Bo mogłabyś teraz ją zapytać!

Paige dobrze знаła te nigdy niezadane pytania. Nie wymaże ich z pamięci. Dlaczego nie możemy być sobie bliskie? Czego nam do tego brakuje? Znała też odpowiedź, będącą jednocześnie pytaniem. To przeze mnie, prawda? Przeze mnie.

- Rzeczywiście, mogłabym z nią porozmawiać. Może powinnam, Beth.

- A ja może powinnam porozmawiać z tatą.

- Nie może, ale na pewno. On bardzo tego chce i wiem, że wszystko zrozumie. Ty nie jesteś tego pewna?

Beth skinęła głową a jej zielone oczy błyszczały radośnie.

- Jestem pewna. I zrobię to. Ale... muszę to jeszcze przemyśleć. Muszę wiedzieć, o co go zapytać.

## Rozdział 19

Numer telefonu Jacka Logana, który Paige znalazła cztery miesiące wcześniej w jego ogłoszeniu w książce telefonicznej, był dokładnie tam, gdzie go zostawiła - w lewej górnej szufladzie biurka.

Myślała o tym, co zamierza zrobić, przez jakieś dwie sekundy, po czym wybrała numer.

Osiem sekund później Jack odebrał telefon.

- Logan, słucham. - Jego głos był wyraźny, tak jak odgłosy prac budowlanych w tle.

- Mówi Paige. Dzwonię nie w porę?

- Nic podobnego. Jak się masz?

- Dobrze. Dziękuję.

Kiedy odezwał się znowu, hałas w tle umilkł.

- Ale coś się stało.

- Nie. To znaczy, rzeczywiście, wydarzyło się coś dobrego. Tak sądzę. - Paige doszła do wniosku, że Jack odczuje ulgę, kiedy się dowie, że to nie narkotyki spowodowały zmianę w zachowaniu Beth. Ani obsesja na tle wagi. Ani młodzieńcza depresja, prowadząca czasem nawet do samobójstwa. Tak, Jack odczuje ulgę, mimo mieszanych uczuć, jakie budzi w nim była żona. - Upewnię się, że to istotnie dobra wiadomość, kiedy już powiem ci, o co chodzi.

- Brzmi interesująco. A kiedy moglibyśmy porozmawiać?

Było dość czasu, żeby go uprzedzić. Paige uważała, że Beth będzie przetrwała wszystko jeszcze przez kilka dni. Ale im prędzej Jack dowie się, o co chodzi, tym prędzej przestanie się niepokoić i tym prędzej będzie w stanie pomóc Beth zacząć tę rozmowę.

- Dzisiaj? Kiedy Beth pójdzie już spać?

- Nie musimy tak długo czekać, chyba że ty nie możesz wcześniej. Beth zostaje dzisiaj na noc u Diny.

- Och. W takim razie zadzwonię do ciebie po wpół do ósmej. Godzina jest bez znaczenia.

-A ja po ciebie przyjadę. Godzina jest bez znaczenia. Pójdziemy do restauracji, którą wybierzesz.

- Nie mogę, Jack.

- Możesz rozmawiać przez telefon o dowolnej porze, a nie możesz się ze mną spotkać?

- Dzisiaj mam dializę.

- Jesteś na...

- Tak.

- Nikt nas nie słucha, Paige. Jesteśmy tylko my. Czy to jest nieprzyjemne?

- Dializa? Nie. Trochę mnie to ogranicza, ale warto wytrzymać.

- Jak długo to trwa?

- Do tej pory miałam dializy trzy razy w tygodniu, po cztery godziny każda. Ale od dzisiaj mamy zamiar wydłużyć każdą dializę do ośmiu godzin. Właśnie dlatego powiedziałam, że mogę zadzwonić o dowolnej porze.

- Więc nie zamierzasz spać?

- Zamierzam spróbować zasnąć, ale nie jestem pewna, czy będę w stanie.

- Bo jesteś na sali z innymi ludźmi?

- Nie. Oddział dializ jest w głównym budynku szpitala, w zachodnim skrzydle, tam są jednoosobowe pokoje. Da się spać. Ale chociaż dializa to wspaniały wynalazek, jest coś denerwującego w fakcie, że tak duża ilość twojej krwi przechodzi przez tę maszynę, jak przez jakąś pralnię.

- Coś może pójść nie tak?

- Nie! A jeśli nawet, to nie trwałoby to dłużej niż sekundę czy dwie. Jesteśmy monitorowani, jest tam mnóstwo różnych systemów alarmowych, a dodatkowe generatory prądu też mają swoje własne zapasowe generatory. Ale znasz mnie, Jack. Zawsze się zamartwiam. Więc czuвам.

Znasz mnie, Jack. Tak, znał ją. Krucha, delikatna Paige, która sama jeszcze siebie nie

zna.

- Coś przyszło mi właśnie do głowy, Paige.

- Co?

- Że skoro wszystkie pokoje są jednoosobowe, to pewnie wolno przyjmować odwiedzających.

- Wiem - powiedział Cole. Było to spokojne i szczerze zapewnienie.

Wiele godzin później Gwen ciągle czuła rozpacz, kiedy je sobie przypominała.

Poprzedniego wieczoru zapytała Cole'a, czego od niej chce. Cole odparł, że chce, by mu zaufała. Z pewnością mówił szczerze. Im bardziej Gwen będzie mu ufała, tym łatwiej dostanie on to, na czym mu najbardziej zależy: nową nerkę dla Paige.

Przecucie nie myliło Gwen. Cole'owi zależy na Paige. Bardzo.

Ale Paige i Cole nie są kochankami ani współnikami w żadnym zdradzieckim spisku. Żadne z nich nie wie, że Gwen jest siostrą Paige, a Paige nie ma pojęcia o tym, że Cole ją kocha.

Pochodnia miłości Cole'a płonie w ukryciu, płonie pragnieniem, by uratować Paige życie.

Cole postanowił włączyć Gwen w swój plan pod wpływem impulsu. Kiedy przypadkiem spotkali się w sobotę, zauważył, że Gwen także leży na sercu dobro Paige, więc może uczynić z niej swojego sojusznika. Zrozumiał, że Gwen może pomóc mu nakłonić Paige do poddania się transplantacji.

W imię przyjaźni.

Zapewne liczył tylko na to, że Gwen zechce z nią porozmawiać i przekona ją.

A kiedy przyjaciółka Paige zaoferowała, że odda jej nerkę, Cole był wdzięczny. Zaczęło mu na niej zależeć. W końcu była kobietą, która mogła uratować Paige życie.

Cole jej nie zdradził.

To Gwen zdradziła samą siebie, oddając się fantazjom na jego temat. Fantazjom, które nigdy się nie urzeczywistnią.

Jack wszedł na oddział dializowania o godzinie wyznaczonej przez Paige, czyli o siódmej czterdzieści pięć. Powiedziała mu, że do tego czasu będzie już zainstalowana w swoim pokoju i podłączona do maszyny.

Miała na sobie obszerną białą koszulę, luźne dżinsy i ciepłe wełniane skarpety. Siedziała na posłanym łóżku, wsparta wysoko na poduszkach. Dwie grube igły wbite w przetokę ukryte były w miękkim kokonie gazy. Jedna rurka odprowadzała jej krew do filtra, druga wprowadzała oczyszczoną z toksyn krew z powrotem do krwiobiegu. Gdyby którakolwiek z nich została przypadkowo odłączona, gaza natychmiast nasiąkłaby krwią.

Rozległby się dźwięk alarmu.

Ale w pokoju słychać było tylko cichy szum maszyny, której budowa zainteresowała inżyniera ze Stanfordu. Był pod wrażeniem.

- Niezwykłe - mruknął.

- Tak - przyznała Paige. - To prawda. Niezwykłe jest to, jak działa, co robi i że jest dostępna dla każdego, kto tego potrzebuje. Nie zawsze tak było. Jeszcze trzydzieści lat temu specjalnie powołane do tego celu komisje rozpatrywały wnioski potrzebujących i decydowały, który wniosek przyjąć, a który odrzucić.

- Więc decydowano o tym, kto będzie żył, a kto umrze?

- Tak. Nie wiem, jak oni to robili. Jak byli w stanie to robić.

- To były komisje lekarskie?

- Nie, chociaż sądzę, że w ich skład wchodził także lekarze. Ale z tego, co wiem, członkami komisji byli przede wszystkim reprezentanci danej społeczności. Coś w rodzaju ławy przysięgłych. Podejmowali decyzję, ogłaszali werdykt, który dla jednych oznaczał życie, a dla innych śmierć. Od ich wyroków nie było odwołania. Brzmi strasznie, prawda?

- Rzeczywiście - powiedział Jack ze zmarszczonymi brwiami, przyglądając się maszynie i wypełnionym krwią plastikowym rurkom.

- Wszystko odbywa się właściwie poza ciałem. Możesz wrócić do domu, a ja do ciebie zadzwonię.

- Nigdzie się nie wybieram, Paige. Nie mam najmniejszej ochoty stąd iść. Myślałem o tym, dlaczego nie chcesz, żeby twoja matka wiedziała o twojej chorobie. Bez względu na to, czy ma agorafobię, czy nie, byłoby jej ciężko, jak każdemu rodzicowi, być tu. Patrzeć na to. Chciałaby coś dla ciebie zrobić. Na przykład zamienić się z tobą miejscami. Ale ona mogłaby zrobić dla ciebie coś więcej, prawda?

- Tak, mogłaby.

- I zrobiłaby to bez wahania. Oddałaby ci obie nerki, gdybyś ich potrzebowała. Wiesz o tym. Zapewne byłaby dobrym dawcą, prawda?

- Tak.

- Więc?

- Więc... Kiedyś zastanawiałam się, czy istotnie jestem jej córką. To była obsesja.

- Myślisz, że nie jesteś?

- Już nie. Z całą pewnością jestem córką Alana Forreстера, a więc także i jej.

- Więc?

- Nie mogę pozbyć się wrażenia, że mój organizm odrzuciłby jej nerkę, nawet gdyby teoretycznie była idealnym dawcą. To irracjonalne, wiem. Ale my tak bardzo różnimy się od siebie, pod każdym względem.

- A gdyby twój organizm odrzucił jej nerkę?

- To byłoby tak, jakbym ja odrzuciła ją. A tego nie chcę.

- Jestem pewny, że ona nie uznałaby tego za powód, by nie oddać ci nerki. Zwłaszcza że jest dużo bardziej prawdopodobne, iż twój układ odpornościowy nie odrzuciłby jej nerki. Prawda?

- Z medycznego, statystycznego punktu widzenia, tak. Ale nie, jeśli weźmiesz pod uwagę moje obawy. Jeśli pacjent boi się zabiegu chirurgicznego i jest pewny, że się nie uda, lekarze na ogół bardzo niechętnie przystępują do operacji. Nawet jeśli obawy pacjenta są zupełnie irracjonalne.

- Samospełniająca się przepowiednia?

- To się zdarza. - Paige odetchnęła głęboko. - Ale myślę o tym, żeby z nią porozmawiać. - A wtedy może uda nam się też porozmawiać na temat naszych wzajemnych stosunków, które nigdy nie były takie jak należy. Na razie jednak Paige postanowiła zająć się relacją między pewnym ojcem a jego córką. - Dzisiaj była u mnie Beth.

- Naprawdę? A po co?

- Myśli o swojej matce i zaczęła się zastanawiać, czy to ta dziewczyna, którą znałam w Stanford. Ta, z którą się spotykałeś.

Och, moja mała Bethie. Dręczyła się tym od tyłu miesiący, a on nie wyciągnął z niej, o co chodzi. Powinien był to zrobić. Naprawdę powinien.

- Helen nie studiowała w Stanford - powiedział Jack. - Była wtedy na ostatnim roku Uniwersytetu Stanowego Ohio. Co jej powiedziałaś?

- Że dziewczyna, z którą się spotykałeś, nie jest jej matką, ale jeśli mi powie, jak nazywa się jej mama, może okaże się, że ją znałam.

- I powiedziała ci?

- Nie. - Paige nie wspomniała o akcie urodzenia. Po chwili, w czasie której słychać było tylko szum maszyny, Jack także otworzył swoje serce...

## Rozdział 20

- Powiedziałem ci, jak się poznaliśmy, na przyjęciu weselnym tamtego lata. Ja byłem świadkiem, a ona druhną panny młodej. Podczas ceremonii zaślubin grała też na harfie.

- Na harfie? To takie...

- Niebiańskie? To bardzo odpowiednie słowo, by opisać jej grę i to, jak wyglądała, kiedy grała.

- Złudzenie optyczne?

- Niezupełnie. Było w niej coś eterycznego. Nawet to, jak się nazywała. Helen Grace. Na krótko przed tym, jak się poznaliśmy, wysłała swoją kasetę z kilkoma nagraniami do Konserwatorium Carillon w Great Falls w Montanie. To niewielka prywatna szkoła, która cieszy się światową sławą ze względu na sukcesy, jakie później odnoszą jej absolwenci. Helen nie bardzo wierzyła, że ma szansę się tam dostać. Sama nauczyła się grać na kilku instrumentach, a na harfie grała dopiero od trzech lat.

- Ale miała talent.

Jack skinął głową.

- Jak Beth. Spędziliśmy razem noc, a rano odwiozłem ją na lotnisko, życzyłem powodzenia i wyraziłem przekonanie, że na pewno dostanie się do Carillon. Nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek się do mnie odezwie, aż do tego poniedziałku w listopadzie.

- Chciała, żebyś się z nią ożenił? Dlatego zadzwoniła?

- Nie wiem, dlaczego zadzwoniła ani co chciała ode mnie usłyszeć. Rankiem tego dnia odkryła, że jest w ciąży, i chciała komuś o tym powiedzieć. Nie sądzę, żeby już wtedy myślała o przyszłości. Kiedy zaproponowałem jej małżeństwo, była zaskoczona, ale zgodziła się. Myślę, że jej ulżyło.

- Bo to oznaczało, że będzie mogła kontynuować karierę muzyczną?

- To też, ale myślę, że chodziło o coś jeszcze. Może wiedziała, że nie będzie potrafiła być dla Beth dobrą matką, i była wdzięczna, że ja przy niej będę. Dostała się do Carillon. Przyjęli ją jednogłośnie i chcieli, żeby zaczęła w styczniu. Zachęcałem ją do przeprowadzki. Nie było powodu, dla którego nie mielibyśmy zamieszkać w Great Falls. Pojechałem tam za nią. Na krótko. Chciałem znaleźć dom, pracę, a w czasie tych kilku miesięcy, jakie pozostały do narodzin dziecka, dowiedzieć się czegoś więcej o kobiecie, którą poślubiłem. Na razie poznałem tylko kilka dość niepokojących faktów z jej życia.

- Niepokojących?



- Pochodziła z wielodzietnej rodziny. Była najstarsza z pięciorga rodzeństwa, z których żadne nie przybyło na nasz ślub. Jej rodzice także nie przyjechali. Ani nie napisali. Ani nie zadzwonili. Nigdy.

- Powiedziała ci, dlaczego nie utrzymywała kontaktów z rodziną?

- Nie. Potwierdziła tylko to, co było oczywiste, że ich nie utrzymuje. Niewiele udało mi się dowiedzieć o Helen przed narodzinami Beth. Miała swój pokój w konserwatorium i tam wolą mieszkać. Sale, w których odbywały się próby, były otwarte przez całą dobę, a ona lubiła ćwiczyć nocami. Więc wróciłem do San Francisco, zamieszkałem z rodzicami i pracowałem na zlecenia w różnych firmach. Do czasu narodzin Beth zdołałem zgromadzić dość pieniędzy, żeby przez cały pierwszy rok jej życia móc być z nią w domu. Poleciałem do Great Falls dwa dni przed planowaną datą porodu.

- Musieliście często rozmawiać w tym czasie przez telefon.

- Dzwoniliśmy do siebie, ale niezbyt często. Kiedy ja dzwoniłem do niej, żeby zapytać, jak się czuje, słuchałem na ogół o jej pasji do muzyki, o tym, jak cudownie jest w Carillon, a nawet jak bardzo jest mi wdzięczna za to, że zachęcałem ją, by tam zamieszkała. Jeśli nie zapytałem wprost o jej ciążę, w ogóle o niej nie wspominała, a gdy pytałem ją wprost, wydawała się zawsze trochę zaskoczona, jakby o tym nie pamiętała... albo jakby chciała postawić jakiś mur, żeby odgradzić dziecko od reszty jej świata. Jestem pewny, że nigdy nie rozmawiała z Beth, nie mówiła do niej, kiedy była w ciąży.

- Ale Beth słyszała muzykę. Słyszała harfę Helen.

- Tak, a także, jak sądzę, instrumenty, na których grali inni studenci. Helen urodziła dwa dni po wyznaczonym terminie. To był długi trudny poród. Lekarze chcieli, żeby została w szpitalu przez kilka dni, ale ona uparła się, żeby wyjść następnego dnia. Chciała wrócić do grania. Odwiozłem ją do konserwatorium, a sam wróciłem do szpitala, żeby być przy Beth. Dwa dni później zabrałem córkę do domu.

- A Helen?

- Mieszkała w konserwatorium, tak jak przedtem. Była tam, gdzie chciała być, podobnie jak ja.

- Było mi żal Helen, że omijają ją wszystkie te cudowne wydarzenia z życia Beth, ale w tych rzadkich chwilach, kiedy była z nami, wydawała się przy niej bardzo spięta, więc kiedy wyjeżdżała, odczuwałem ulgę.

- Wiesz, dlaczego była spięta przy dziecku?

- Nie. Przyznawała, że istotnie tak jest, ale nie chciała o tym rozmawiać. Powiedziała tylko, że nigdy nie radziła sobie z dziećmi.

- Ale ty nie czułeś się źle przy Beth?

- Ani przez sekundę. Bałem się tylko syndromu nagłej śmierci niemowlęcej, z powodu Jasona. Bałem się tego wszystkiego innego, co mogło jej grozić - mówił cicho Jack. - Ale opieka nad Beth była łatwym zadaniem. I dawała mi tyle radości. Na początku spała bardzo niespokojnie, często budziła się z płaczem. Nie przeszkadzało mi to. Zazwyczaj udawało mi się ją uspokoić. Brałem ją na ręce, śpiewałem różne piosenki. Jej reakcja na śpiew pomogła mi odgadnąć przyczynę jej płaczu.

- Brakowało jej muzyki?

- Tak. Była przyzwyczajona, może nawet uzależniona od dźwięków harfy. Cierpiała, gdy została tego pozbawiona. Poprosiłem Helen, żeby nagrała kilka utworów na kasetę, i od tego czasu Beth zaczęła spokojnie przespiać całe noce. Pod koniec lata Helen przeprowadziła się na pewien czas do nas. Nie miała wyboru, bo w akademiku, w którym wynajmowała pokój, zaczął się remont. W tym czasie Beth od dawna nie stwarzała już żadnych problemów. Powiedziałem to Helen, a Beth jej to pokazała. Kiedy podałem ją Helen, uśmiechała się i gaworzyła radośnie. Ale to było bez znaczenia. Helen natychmiast zeszytniała i zaraz chciała mi ją oddać. W ciągu kilku kolejnych dni ani razu się do niej nie zbliżyła. Mniej więcej w połowie dwutygodniowego pobytu Helen Beth dostała kataru. Pierwszy raz naprawdę się przeziębila. Nie mieliśmy nawilzacza powietrza, a ja pomyślałem, że trzeba coś takiego kupić. Normalnie wziąłbym Beth ze sobą ale w domu była Helen. Posiedziałem trochę z Beth w zaparowanej łazience, a potem położyłem ją spać. Obiecałem Helen, że wrócę najdalej za godzinę. Myślałem, żeby po drodze zrobić jeszcze zakupy, ale w końcu z tego zrezygnowałem. Helen sprawiała wrażenie bardzo spiętej, kiedy wychodziłem. Zaproponowała nawet, że pojedzie zamiast mnie. Pomyślałem jednak, że dobrze jej zrobi, jeśli pobędzie trochę z córką sam na sam. Oczywiście nie spodziewałem się, że Beth się obudzi, kiedy mnie nie będzie.

- Ale się obudziła.

- Tak. - Głos Jacka był cichy. Groźny. - Obudziła się. Usłyszałem krzyk, jeszcze zanim otworzyłem drzwi. To krzyczała Helen. Na Beth, która płakała tak, jak nigdy dotąd. Pobiegnę do pokoju Beth, bojąc się tego, co tam zastanę. Myślałem, że Helen stoi przy łóżeczku Beth i ją bije.

- Ale tak nie było?

- Nie. Helen siedziała skulona w najdalszym kącie pokoju, przyciśnięta do ściany. Miała dzikie spojrzenie, a jej krzyki były rozpaczliwym błaganiem. Prosiła Beth, żeby przestała płakać. Powiedziałem jej, żeby wyszła z pokoju, i zostałem z Beth tak długo, aż się uspokoiła i zasnęła. Potem poszedłem do Helen. Wyglądała tak, jakby panicznie się bała. I tak było. Bała się

mnie. Trzymałem się z daleka od niej. Nasza rozmowa była krótka. Nie zapytałem, dlaczego zrobiła to, co zrobiła. Nie obchodziło mnie to. Podjąłem decyzję i nic nie byłoby już w stanie mnie od niej odwieść. Nie chciałem Helen w pobliżu mojej córki. Już nigdy. Nie było to zbyt wyrozumiałe z mojej strony.

- Ale zupełnie zrozumiałe.

- I Helen nie miała nic przeciwko temu.

- Zrzekła się praw do Beth?

- Zrobiła to bardzo chętnie.

- Miałeś od niej jakieś wieści od tego czasu?

- Ani od niej, ani o niej. Nie szukałem płyt z nagraniami Helen Grace ani jej koncertów.

Nie wiem zresztą, czy ona istotnie nagrywa i koncertuje. Spójrzmy prawdzie w oczy, nic o niej nie wiem, ale też mnie to nie interesuje. Nie interesowało. - Jack westchnął ciężko. - Ale teraz... Chyba powinienem był przewidzieć, że Beth w końcu zacznie o nią pytać. Rozmawialiśmy kiedyś o tym, kiedy Beth miała sześć lat. Przeczytałem wtedy kilka książek, a nawet omówiłem sytuację z psychologiem dziecięcym. Zamierzałem powiedzieć Beth, że jej matka była dobrym człowiekiem i utalentowanym muzykiem. A gdyby zapytała, dlaczego nasze małżeństwo nie było udane, powiedziałbym, że to nie miało nic wspólnego z nią. Z Beth. Ale nie zapytała. Kiedy miała sześć lat, to wszystko ją tak naprawdę niewiele obchodziło.

- Ale ona pamięta, co jej wtedy powiedziałeś, Jack. Że wasze małżeństwo nie było udane i że to ty miałeś więcej szczęścia, bo to ty z nią jesteś.

- Naprawdę to zapamiętała?

- Bardzo dokładnie. I dała mi jasno do zrozumienia, że nie brakowało jej Helen przez te wszystkie lata. Teraz też za nią nie tęskni. Jest tylko ciekawa. Porozmawia z tobą kiedy tylko zastanowi się nad tym, o co chce cię zapytać.

- Lepiej żebym już zaczął myśleć, co jej odpowiedzieć. Teraz będzie dużo trudniej niż wtedy, kiedy miała sześć lat. Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś, Paige. To dobra wiadomość.

- Jack uśmiechnął się lekko. - Naprawdę.

- Ona cię kocha, Jack.

- Wiem. Jak się czujesz?

- Wyglądam na zmęczoną prawda? Chyba mogłabym też użyć określenia „wypompowana”? - Paige spojrzała z ukosa na wypełnione jej krwią rurki. - To typowe w trakcie dializy. Tracę siły, a potem, kiedy dializa jest zakończona i trochę się prześpię, odzyskuję energię.

- Więc się prześpij. Mogę pilnować maszyny.

- Kiedy ja będę spała?

- Dlaczego nie?

- Nie wiem, czy zdołam zasnąć w twojej obecności.

- Zobaczymy. Albo, jeśli obiecasz mi, że spróbujesz zasnąć, mogę cię zostawić pod opieką tych licznych monitorów i alarmów.

- Tak właśnie powinieneś zrobić.

- Dobrze. Ale już wkrótce, pani doktor, mam zamiar panią nakarmić. I pocałować.

I patrzeć, jak śpisz.

Paige szeroko otworzyła senne niebieskie oczy.

- Pocałować?

- Nie wspomniałem, że miałem zamiar to zrobić już dwanaście lat temu?

- Nie.

- Cóż, tak właśnie było. I nadal jest.

- Och...

W tej chwili Paige Forrester nie mogła uciec, była więźniem maszyny. Ale nigdy dotąd, w całym swoim życiu, nie czuła się tak wolna. A słowa, które także ją dotychczas więziły, takie jak „zdenerwowanie”, „przymus”, „stres”, nagle gdzieś odleciały.

- Och? - powtórzył Jack.

Kiedy ją pocałował, a ona oddała pocałunek, oboje wyszeptali z zachwytem:

- Och.

## Rozdział 21

Gwen weszła do sieci na MapQuest.com. Kiedy o dziewiętej czterdzieści osiem wieczorem zadzwonił telefon, ciągle jeszcze siedziała przed komputerem.

Wiedziała, kto to jest. Powiedział, że zadzwoni. Żałowała, że nie zrobił tego wcześniej, dokładniej trzy godziny wcześniej, tuż po tym, jak życzyła siostrze Mary Catherine dobrej nocy.

Wieczór mijał powoli, a ona powtarzała sobie, że nie może zmusić Cole do tego, by ją pokochał. Nie możesz. To nie jego wina. Daj sobie spokój.

- Halo - powiedziała wesoło do słuchawki. Cole odpowiedział cicho, ale równie pogodnie:

- Wyniki badań są w normie.

- Więc nadaję się na dawcę, zakładając, że przekonamy Paige, a wynik testu krzyżowego będzie negatywny.

- Zastanawiałem się, czy wiesz o testach krzyżowych. - Było to ostatnie badanie, przeprowadzane na krótko przed samą transplantacją. Organizm biorcy, zwłaszcza jeśli jest to kobieta, która była już w ciąży, albo ktoś, komu wcześniej przeszczepiano jakiś narząd, albo przetaczano krew, może wytworzyć przeciwciała przeciw antygenom nerki dawcy. W takim przypadku transplantację należy opóźnić albo w ogóle z niej zrezygnować. - Powinienem być się domyślić, że wiesz.

- Czy Paige miała wiele transfuzji?

- Nie. Zamiast tego przyjmowała odpowiednie hormony.

- To dobrze.

- Myślałaś już o tym, co chciałabyś robić jutro?

O tak. Fantazjowałam.

- Nic.

- To znaczy?

- Nie musisz tego robić, Cole.

- Czego?

- Nie musisz być dla mnie taki miły. Udawać, że ci na mnie zależy.

- O czym ty mówisz?

- Ty też zrobiłeś sobie testy, prawda? To dlatego miałeś wyniki badań Paige. Sam chciałeś oddać jej swoją nerkę.

- Tak jak ty. Czy to takie dziwne?

- Nie. Oczywiście, że nie. To właśnie robią ludzie, którzy kochają.

- Ja nie kocham Paige. I o ile ty nie wiesz czegoś, o czym ja nie wiem, w co szczerze wątpię, Paige nie kocha mnie.

- Ale zależy ci na niej. Bardzo.

- Masz rację. Zależy mi na niej. Paige przypomina mi kogoś, kogo kiedyś znałem.

- I kochałeś.

- Kochałem Eileen. Tak, jak kochałbym siostrę, gdybym ją miał. Jak siostrę, Gwen, nie jak kochankę.

Różnica była bardzo wyraźna.

Paige była siostrą.

Gwen mogła być kochanką jego kochanką gdyby się odważyła.

- Możemy pojechać do Carmel?
- Jasne - odparł Cole z zadowoleniem. - Możemy pojechać, dokądkolwiek zechcesz.
- Są dwa miejsca w Carmel i Monterey, które chciałabym zobaczyć.

Dwa szpitale i hotel, w którym kiedyś mieścił się klasztor. I jednomiejsce na drodze, gdzie wydarzył się wypadek. Jutro może być tam tak samo niebezpiecznie jak wtedy. Deszcz, który właśnie zaczął padać w San Francisco, był zapowiedzią, jak głosiła prognoza pogody, pierwszej zimowej burzy. Może być tak samo niebezpiecznie. Ale nie będzie. Ona ostrzeże Cole'a przed niebezpieczeństwem. Powie mu... wszystko.

- Dobrze, odwiedzimy te miejsca.

I spędzimy w jednym z nich noc?

Gwen usłyszała pytanie, którego nie zadał. A może to było jej pytanie?

- Cole?
- Gwen?
- Nic.
- To wszystko? -Tak.
- Będzie wspaniale, Gwen. Będziemy razem i to będzie wspaniałe.

- Tu Stuart Dawson - odezwał się nagrany na taśmę głos. – Proszę zostawić wiadomość po sygnale.

Claire zastosowała się do tej prośby.

- Mówi Claire. Pewnie jesteś jeszcze na kolacji u Mariel, gdzie poznałeś jej najnowszą miłość. Ona jest niesamowita, prawda? Taka silna. I odważna. Mam nadzieję, że spodobał ci się jej nowy mężczyzna. Prawdę mówiąc, czułam, że jeszcze nie będzie cię w domu, ale jest coś, co chcę, nie, co muszę ci powiedzieć. Teraz. Natychmiast. Nie wiem, dla czego wydaje mi się to takie pilne, ale tak właśnie jest. No więc tak...

Myślałam o nas. O tobie i o mnie. O tym, ile dla mnie znaczysz i jak bardzo jestem ci wdzięczna. Zawsze przy mnie byłeś. Zawsze. Od śmierci Alana... i przedtem. Pamiętasz te czasy, kiedy Alan musiał czasem całą noc spędzić w szpitalu, a ja dzwoniłam do ciebie? Żeby porozmawiać?

I to właśnie do ciebie zadzwoniłam, kiedy pierwszy raz poczułam, jak Paige się we mnie poruszyła. Alan był w pracy, a ja byłam taka podekscytowana. Zaraz przyjechałeś i też poczułeś jej ruchy. I tak bym do ciebie zadzwoniła. Zadzwonilibyśmy razem, ja i Alan. Ale wtedy byliśmy tylko my dwoje. Troje. Ty, Paige i ja. Jeszcze przed śmiercią Alana równie

często słyszała twój głos jak jego. Może nawet częściej. A kiedy odszedł, ty byłeś dla niej ojcem, którego tak bardzo potrzebowała. Nie miała matki, o jakiej warto mówić... Och, urwałam, prawda? Jak zawsze, czekałam, aż zaprzeczysz. A wtedy ja musiałabym zaprzeczyć tobie. Automatyczna sekretarka ma swoje zalety. Tak. O czym to ja mówiłam? Ach tak, Paige potrzebowała ojca. A ty nim dla niej byłeś. Byłeś cudowny. Paige tak bardzo cię kocha.

Claire ścisnęła słuchawkę tak mocno, jakby to była ostatnia deska ratunku w szalejącym sztormie.

- To taki dziwny czas... Wczoraj znalazłam pudełko z moimi rzeczami, moim życiem, z tego okresu, zanim poznałam Alana i ciebie na Ghirardelli Square. Były tam moje rzeczy z czasu, kiedy malowałam na ulicy, i jedyna pamiątka z Sarah's Orchard - zdjęcie mojej rodziny, wszystkich dziewięciu osób, zrobione w dniu Bożego Narodzenia, na miesiąc przed tym, jak opuściłam dom.

- Byłam córką, Stuarcie, i siostrą, która wyprowadziła się z domu w wieku siedemnastu lat i nigdy więcej nie dała znaku życia nikomu z rodziny. Kochałam moich rodziców, moich braci, mojego brata bliźniaka. Ale po prostu do nich nie pasowałam. Alan chciał, żebym zaprosiła ich na nasz ślub, ale ja nie mogłam tego zrobić. Próbowałam wtedy dopasować się do rodziny Forresterów, co było wystarczająco absorbujące.

Ale kiedy zaszłam w ciążę i zbliżyłam się do Rosalind, postanowiłam wraz z Alanem, że urządzimy prawdziwie rodzinne Boże Narodzenie. Rodzina MacKenziech, rodzina Forresterów, ty, oczywiście, i Mariel. Mieliśmy zamiar omówić to z wami w Carmel i może nawet zadzwonić stamtąd do mojej rodziny. Ale wiesz, co się stało.

Jednak oni powinni wiedzieć, co działo się z córką, która zniknęła z ich życia. Powinni byli dowiedzieć się tego już dawno. Zasługują na to. Jestem niezagojoną raną w ich sercu, tak jak oni w moim.

Mam zamiar wyciągnąć rękę do mojej rodziny, Stuarcie. Już wkrótce. Ale najpierw chcę wyciągnąć rękę do Paige, mojej córki, która także w pewnym sensie zniknęła. Muszę to zrobić. Może jeśli zacznę od początku i podzielę się z nią radością, jakiej doznałam, kiedy poczułam ją wewnątrz mojego ciała, uda nam się dotrzeć do tego miejsca, w którym zablądziłyśmy, i odnaleźć drogę. Zastanawiałam się, czy to nie tego szukałam w moim mglistym wspomnieniu. Miejsca, w którym straciłam Paige.

Opowiem ci też ci inny sen, który mi się przyśnił... o mnie i o tobie. Ja nie jestem taka odważna jak Mariel. W ogóle nie jestem odważna. Ale... mam zamiar opowiedzieć ci, to znaczy twojej automatycznej sekretarce, o moim śnie. Zawsze będziesz mógł udawać, że sekretarka się zepsuła i nigdy nie odsłuchałaś tej wiadomości. Udawaj, jeśli chcesz, albo

przestań słuchać... - Urwała i zgięła się wzdłuż, zmiażdżona potwornym palącym bólem żołądka.- Doszłam jednak do wniosku - podjęła po chwili resztką sił, starając się nadać głosowi pogodne brzmienie - że powinnam już wracać do łóżka. Sen to tylko sen, nic więcej. Ale powód, dla którego do ciebie zadzwoniłam, jest ważny i prawdziwy. Zadzwoniłam, bo chcę ci podziękować z całego serca za wszystko.

- A więc, Stuarcie, co o nim sądzisz? - spytała Mariel tuż przed północą, kiedy ostatni z jej gości wyszedł z rezydencji w Nob Hill.

- Sądzę, Mariel, że on jest przede wszystkim żonaty.

- I co jeszcze?

- Że jest piętnaście lat młodszy od ciebie.

- Sposzregawczy jak zawsze! Jako prawdziwy orzeł wśród palestry natychmiast dostrzegłeś dwie z jego czterech podstawowych zalet. Pozostałe dwie to fakt, że jest niesamowicie seksowny i zakochany we mnie. Och, Stuarcie, nie patrz tak na mnie! Czy tak trudno uwierzyć, że ktoś się mną zainteresował?

- Przeciwnie, bardzo łatwo. Trudno mi raczej uwierzyć, że ty zainteresowałaś się nim.

- Jest młody, seksowny, kocha mnie, a co najlepsze, jest żonaty.

- Nie musisz uganiać się za mężem innej kobiety.

- Żeby wszystko było jasne, to on się za mną ugania. A ja wcale nie chcę, żeby odszedł od żony. Nie mam zamiaru wychodzić za męża, ani za niego, ani za nikogo innego. Już nigdy.

- Zaslugujesz na coś więcej, Mariel. Stać się na więcej. To poniżej twojego poziomu.

- Słyszysz, co mówisz, Stuarcie? To poniżające dla mnie, że mam romans z mężem innej kobiety, ale nie ma nic złego w tym, że ty kochasz się w żonie innego mężczyzny! Bo Claire jest żoną Alana. Teraz i na zawsze.

## Rozdział 22

Stojąc w swojej kuchni w Pacific Heights, Jack wyczuł nagle za plecami czyjąś obecność. Odwrócił się i zobaczył ojca - malarza pokojowego, oficjalnie na emeryturze, który, zanim nadszedł czas na malowanie, wykonywał teraz także inne prace remontowe. Był



stolarzem i hydraulikiem. Robił to, na co pozwolił mu syn, czyli krótko mówiąc, wszystko, co nie wymagało wspinania się na drabiny i chodzenia po dachu.

- Cześć, tato.

- Jack. Tak myślałem, że cię tu spotkam w środku nocy.

- Zbudziłem cię?

- Łażeniem po domu? - uśmiechnął się Pete Logan. - Nie spałem i tak się złożyło, że usłyszałem, jak idziesz do kuchni. Co się dzieje?

- Beth zaczęła się interesować Helen.

- Co jej powiedziałaś?

- Jeszcze nic. Ona nie wie, że ja wiem. Powiedziała Paige Forrester, bo sądziła, że Paige i Helen mogły się poznać w Stanford. A Paige powiedziała mnie. Beth ma zamiar ze mną porozmawiać. W końcu. A ja się zastanawiam, jak długo jeszcze wytrzymam to czekanie.

- Domyślam się, że do kwadrans po szóstej, kiedy to pojedziesz po Beth do Diny.

- Też mi się tak wydaje. Pete pokiwał głową.

- Paige Forrester - dodał po chwili.

- Co z nią?

- To jest właśnie pytanie.

I odpowiedź. I jeszcze jeden powód, dla którego Jack krąży nocą po domu. Pocałunek był krótki, niewinny, ale odmienił ich życie...

Jack czuł się tak, jakby tęsknił za nią od dwunastu lat. A teraz ją odnalazł. A jej życie, mimo całej tej nauki i zaawansowanej technologii, było poważnie zagrożone.

- Ona jest wspaniała, tato.

Pete Logan spojrział na syna z uśmiechem.

- Tego też się domyślam.

W rzeczywistości było już prawie siedemnaście po szóstej, kiedy Jack w końcu zaczął mówić o tym, co tak nurtowało Beth. Najpierw przyszedł po nią do Diny, w ulewnym deszczu dobiegł z nią do samochodu, po czym sprawdził, czy dobrze zapięła pas.

- Wczoraj wieczorem widziałem się z Paige.

- Powiedziała ci?

- Tak, skarbie, powiedziała. Wiedziała, że się o ciebie niepokoję, bo coś cię martwi. Powiedziała mi też, że sama masz zamiar o tym ze mną porozmawiać.

- Pomyślałam, że mogłaby ci powiedzieć. Miałam nadzieję, że to zrobi. Ale... Jesteś na

mnie zły, tato?

- Za to, że interesuje cię twoja matka? Nie, kochanie, ani trochę. Ale jestem trochę zły na siebie, że nie domyśliłem się, o co chodzi.

- Dina mówi, że to są babskie sprawy.

- I dlatego Paige to rozumie?

- Tak. I Gwen.

- Gwen?

- Przyjaciółka Paige. Babcia też pewnie by zrozumiała.

Eve Logan mogłaby to zrozumieć. Ale biorąc pod uwagę uczucia, jakie żywiła do byłej synowej, zapewne zniechęcałaby Beth do rozmów o matce.

- Pewnie tak - zgodził się Jack. - Ale wiesz co? Nawet ja to rozumiem. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy zrobić sobie wolne i pojechać gdzieś na cały dzień, żeby pogadać. Tylko ty i ja. Albo - urwał na chwilę - możemy porozmawiać o tym później. Obojętne kiedy. Kiedy zechcesz. Wiem, że teraz jesteście zajęci próbami do przedstawienia z okazji Święta Dziękczynienia.

- No tak, nawet bardzo.

- Więc może jednak powinnaś iść do szkoły?

- Ja... tak. Jeśli tak będzie dobrze.

- Bardziej niż dobrze, Beth. Poza tym ja też mam ochotę iść do pracy.

Beth roześmiała się i przez chwilę jechali w ciszy. Jeszcze dwie przecznice i znaleźli się przed szkołą.

- Możesz mi powiedzieć, jak ona ma na imię?

- Helen. Ma na imię Helen.

- Helen - powtórzyła Beth, jakby smakując to słowo.

Jack sądził, że to „rozumie”. Ale nie rozumiał. Nie do końca. To, co usłyszał teraz w głosie swojej córki, sprawiło, że zadrżał. Ogarnął go lęk. Ale było już za późno. Teraz nie mógł się wycofać. I dla córki, którą kochał, Jack ruszył do przodu.

- Poznaliśmy się na ślubie. Ona jest muzykiem, kotku. Jak ty. Gra na harfie.

- Na harfie?

Jack nie widział, jak szeroko Beth otworzyła oczy. Patrzył tam, gdzie powinien. Na drogę. Bezpieczeństwo przede wszystkim.

- Na harfie.

- Wiesz, gdzie ona jest?

- Nie. Ale się dowiem. - Jack stanął przed szkołą. - A potem powiem ci, czego się

dowiedziałem i zadecydujemy, co dalej. Dobrze?

- Dobrze. Tato? Kocham cię.

- Och, skarbie, ja też cię kocham.

Jack patrzył, jak Beth biegnie krótką zadaszoną alejką w stronę budynku z czerwonej cegły. Przed drzwiami stał Charlie, szkolny ochroniarz. Pomachał do Jacka, kiedy Beth do niego dotarła. Beth także się odwróciła i pomachała, a kiedy on uniósł w odpowiedzi dłoń, weszła do środka.

Jack zadzwonił do domu.

Pete odebrał telefon po pierwszym sygnale. Koło niego stała Eve.

- W porządku - powiedział Jack. - Ulżyło jej. Jest trochę przejęta. Chce iść do szkoły. Chyba chce porozmawiać z Diną. Powiedziałem jej, jak jej matka ma na imię, kiedy się poznaliśmy i że gra na harfie.

- Ale nie masz zamiaru jej powiedzieć, że Helen na nią krzyczała? - zapytała Eve.

- Nie, mam. Zresztą jej nie interesuje przeszłość, tylko teraźniejszość. I może przyszłość.

- Czy to znaczy, że ona chce się spotkać z Helen? - spytała matka ostro.

- Bo jeśli tak, to twoja mama i ja nie chcemy, żeby Helen zbliżała się do naszej dziewczynki - dodał ojciec.

- Wiem, tato. Ja też tego nie chcę. Ale będziemy o tym myśleli, kiedy do tego dojdzie. Jeśli dojdzie. - A dojdzie na pewno. Wtedy matka, która wolała iść na zakupy, niż spędzić pod jednym dachem godzinę ze swoim śpiącym dzieckiem, będzie mogła naprawdę skrzywdzić tę małą dziewczynkę. Nie chcę jej widzieć, Jack. Po co miałabym to robić? Uzgodniliśmy, wiele lat temu, że ona należy tylko do ciebie. Jack oczywiście nie pozwoli Helen jej skrzywdzić. Nie dopuści do tego. - Na razie, zajmujemy się jednym problemem na raz.

Kiedy Jack podjeżdżał pod rezydencję Forresterów, dom był jasno oświetlony. Claire musiała już wstać. Pewnie parzyła kawę i piekła bułeczki dla swojej ekipy. Jack nie przypuszczał, żeby tak wczesnym rankiem spodziewała się innych gości.

Z samochodu zadzwonił do biura konserwatorium Great Falls. Dwanaście lat temu zaczynano tam pracę przed siódmą. Więc o siódmej czterdzieści powinno już być otwarte.

I było.

- Konserwatorium Carillon, mówi Dolores. W czym mogę pomóc?

Głos był dźwięczny jak dzwony, od których konserwatorium wzięło swą nazwę. Piękny głos,

zupełnie nieznamy.

- Jestem starym przyjacielem jednej z waszych absolwentek. Chcę się z nią skontaktować i pomyślałem sobie, że może u was uzyskam jakieś informacje na jej temat.

- Bardzo możliwe - powiedziała dźwięcznie Dolores. - Siedzimy kariery naszych absolwentów. Wszystko zależy oczywiście od tego, czy ta osoba upoważniła nas do udzielania takich informacji. O kogo chodzi?

- Na pierwszym roku nazywała się Helen Logan. Ale mogła później wrócić do panińskiego nazwiska. Helen Grace?

- O, tak. Używa teraz tego nazwiska. Helen Grace.

Teraz. Czas teraźniejszy. Do tej chwili Jack nie wiedział nawet, czy Helen żyje. Żyła. A więc może skrzywdzić Beth. Może próbować to zrobić.

- Wie pani, gdzie ona jest?

- Oczywiście, że wiem. Wiem, gdzie jest, i wiem, gdzie jej nie ma. - Jack usłyszał nutę goryczy w głosie Dolores. - Helen powinna występować na największych scenach muzycznych świata.

- A nie występuje, tak?

- Nie. Już nie. A zapowiadała się tak obiecująco.

- Co się stało? Jeśli może mi pani powiedzieć...

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Ale chyba mogę podać panu kilka faktów. Nie będzie to pogwałceniem jej prawa do prywatności, w końcu wszystko to było w gazetach. Cały muzyczny świat o tym mówił. No i rzecz jasna ci, którzy słono płacili, by usłyszeć jej grę, tylko że ona nie raczyła się pojawić. Nie została jednak usunięta ani zmuszona do odejścia, mimo swojego karygodnego zachowania i problemów, jakie stwarzała. Ze względu na swój talent, ciągle dostawała kolejną szansę. I jeszcze jedną. I jeszcze jedną. Geniusz ma swoje prawa. Trzeba przymknąć oko na wybuchowy temperament. Taki talent to rzadki klejnot.

- Helen była wybuchowa?

- Helen? Dobry Boże, nie. Myślałam, że pan ją zna.

- Zastanawiałem się po prostu, czy się zmieniła.

- Nie. Jest cicha i spokojna, jak zawsze. Mogłaby wrócić do koncertowania w każdej chwili, gdyby tylko zechciała.

- A co ona teraz robi?

- Udziela lekcji gry na fortepianie. Początkującym. Dzieciom. I to niezbyt uzdolnionym, jak sądzę. Przyjmuje każde dziecko, którego rodzice do niej zadzwonią.

- Lekcje fortepianu? Nie harfy?

- Zgadza się. Kiedy przerwała tournée, rzuciła też grę na harfie. To wielka szkoda. Może jako stary przyjaciel przypomni jej pan o tym wielkim darze, jaki otrzymała od losu, i skłoni, żeby znowu zaczęła grać. Albo przynajmniej przekonają, że jeśli już musi uczyć, powinna robić to tutaj. Proponowano jej tu posadę. Nie raz. Moim zdaniem jest to winna szkole. Zainwestowali w nią, a ona ich zawiodła. Mogła być naszą najsłynniejszą absolwentką.

- Może mi pani powiedzieć, gdzie ona teraz jest?

- W San Francisco.

Jack miał wrażenie, że krew w jego żyłach zamieniła się w lód.

- Od kiedy?

- Och, myślę, że od mniej więcej osiemnastu miesięcy. Może nawet od dwóch lat.

- Zna pani jej adres?

- Zaraz zobaczę. Chwileczkę. Komputer jakoś powoli dzisiaj działa. Jeszcze się nie obudził. Tak. Wszystko jest. Jeszcze tylko sprawdzę, czy Helen nie zastrzegła tych informacji... Nie. Tak myślałam. Podać panu i adres, i numer telefonu?

- Tak, proszę.

- W porządku. Numer telefonu: (415) 346... - Prefiks, jaki miały wszystkie numery w Pacific Heights.

Adres zawierał także numer mieszkania. Helen mieszkała kilka przecznic od Akademii Marine View.

Jack nie pamiętał nawet, czy podziękował Dolores.

Wszystkie fragmenty układanki zaczęły tworzyć w jego skołatany umyśle jedną logiczną całość.

Helen jest w San Francisco.

Mieszka przy ulicy, którą Beth chodzi i wraca ze szkoły.

Uczy gry na instrumencie, który jest pasją Beth.

Dlaczego Helen mieszka tam, gdzie mieszka? Dlaczego uczy tego, czego uczy? Ze względu na Beth, to jasne. Bo w skrzywionym umyśle Helen to Beth jest odpowiedzialna za jej złamaną karierę. I zapłaci za to.

To najgorszy z możliwych scenariuszy. Zakłada, że Beth jest w niebezpieczeństwie. Jako ojciec, Jack musi brać taką ewentualność pod uwagę. Wkrótce przekona się, czy ma rację, kiedy spotka się z Helen twarzą w twarz.

Najpierw jednak musi się upewnić, że Beth jest bezpieczna. Tak, dopóki jest w szkole, nic jej nie grozi, chyba że Helen też tam jest. Była żona nie należała do grona nauczycieli, z którymi Beth miała zajęcia. Jack znał ich wszystkich. Ale może uczyć w innych klasach,

może też być nienauczającym członkiem kadry.

Jack wykręcił numer Akademii Marine View. Odebrała asystentka dyrektorki. Obiecała, że poinformuje przełożoną o zaistniałej sytuacji, o ósmej, kiedy tylko dyrektorka przyjdzie do szkoły. Asystentka uspokoiła go trochę. Helen nie pracowała w szkole, ani w charakterze nauczycielki, ani w żadnym innym. Żadna z zatrudnionych w szkole osób nie pasowała do opisu przedstawionego przez Jacka. Ochrona nie zauważyła nikogo obcego kręcącego się w pobliżu budynku, a gdyby ktoś taki był, z pewnością zostałby dostrzeżony. Nikt obcy nie wypytywał o Beth, Dinę czy Larry'ego ani osobiście, ani przez telefon. Nikt obcy nie próbował też odebrać Beth ze szkoły, do czego, poza Jackiem, upoważnieni byli tylko jego rodzice i matka Diny.

Beth była w szkole bezpieczna. Jack umówił się na spotkanie z dyrektorką o drugiej. Do tego czasu spotka się z Helen i postanowi, co robić.

Rozmowa z asystentką była krótka, ale go uspokoiła. Pomyślał, że poczuje się jeszcze spokojniejszy, kiedy przywita się z Claire. Ona z pewnością zauważyła jego samochód i teraz martwi się, dlaczego Jack nie wchodzi.

Kiedy Jack podchodził do drzwi, pod dom zajechał inny samochód, Jack rozpoznał kierowcę i zaczekał na niego.

- Witaj, Stuarcie.

- Cześć, Jack. Wymienili uścisk dłoni, otworzyli drzwi i weszli do domu, w którym pachniało świeżo zaparzoną kawą i bułeczkami... które się paliły. Albo już się przypaliły.

- Claire? - Stuart, wyraźnie zdenerwowany, pobiegł do kuchni.

Z piekarnika snuł się gęsty gryzący dym. Najbardziej jednak niepokojący był fakt, że w kuchni nie było Claire.

Jack otworzył piekarnik i wyjął z niego tłące się czarne bułeczki. Postawił je na kuchence i odwrócił się, ale Stuart już wybiegł z kuchni.

Wołał Claire, zmierzając w stronę jej pokoju.

Jack ruszył za nim.

Ale to Stuart pierwszy dotarł do sypialni, to on pierwszy zobaczył kobietę, którą kochał, leżącą w kałuży krwi.

## Rozdział 23

Pracownicy izby przyjęć nie sprawdzali zazwyczaj, czy Cole Ransom jest na dyżurze. Prawie zawsze był.

Nikt też nigdy nie pytał recepcjonisty, czy Cole nie wziął urlopu, bo prawie nigdy tego nie robił.

Ktoś zadzwoniłby do niego do domu, nawet gdyby wszyscy wiedzieli, że Cole nie ma dyżuru, bo wziął kilka dni urlopu. Bez słowa „przepraszam”. Nie było czasu na uprzejmości. Nie było czasu na nic, poza słowami, które usłyszał, kiedy podniósł słuchawkę.

- Potrzebujemy cię natychmiast.

- Mówcie, co jest - rozkazał Cole cztery minuty później, wchodząc do sali numer 3.

Lekarze i pielęgniarki rozstąpili się na dźwięk jego głosu.

Cole podszedł do pacjentki. Zobaczył kobietę niemal przezroczystą z powodu utraty krwi i jej rozdęty brzuch. Miała wrzód, a może nowotwór, w wyniku którego doszło nie tylko do rozległego krwotoku, ale także do perforacji. Dlatego brzuch był tak rozdęty. Perforacja ścianki żołądka spowodowała przedostanie się powietrza, krwi, kwasu i bakterii do otrzewnej.

Proces przywracania pacjentki do stabilnego stanu, prowadzony przez świetnie wyszkolony zespół, był szybki i odbywał się niemal w milczeniu. Nikt nie potrzebował przypomnienia, że należy zbadać opad czy wysłać krew do analizy.

W tych chwilach, zawieszonych między życiem a śmiercią, pacjent nie miał prawa do prywatności. Od tego, czy lekarze zdołają go zbadać, i co zobaczą, zależał jego los.

Cole badał Claire, słuchając relacji jednego z kolegów.

- Została znaleziona nieprzytomna, w kałuży krwi. Nie leżała tak długo. Na krótko przedtem była w kuchni.

- Cierpiała na bóle żołądka?

- Nie, według tego, co mówi przyjaciel, który ją przywiózł. Jest teraz w poczekalni.

- Inne choroby?

- Agorafobia. Alergie nieznane.

Cole nie zapytał o poziom hematokrytu - błąd jej twarzy i ogólny stan wskazywały na to, że jest bardzo niski. Podnosił się jednak powoli. Pierwsza jednostka krwi została już podana, druga czekała, gotowa do transfuzji.

Cole zapytał jednak o coś innego, czego nie da się tak łatwo ocenić w bezpośrednim badaniu. Opierając się jednak na tym, co widział, mógł przypuszczać, że będzie to wysoka wartość.

- Amylaza?

- Bardzo wysoka.

Oznaczało to, że wrzód przeniknął do trzustki, powodując stan zapalny i uszkodzenie, co będzie miało dalsze konsekwencje. Enzymy trawienne trzustki przedostaną się do jamy brzusznej i rozpoczną tam proces trawienia, czyli krótko mówiąc, organizm zacznie trawić sam siebie.

Cole spojrział na dłonie kobiety. Nie było na nich żadnych pierścionków, ale u nasady serdecznego palca zobaczył wyraźne wgłębienie, wywnioskował więc, że zazwyczaj znajdowała się tam obrączka, zdjęta zapewne ze względów bezpieczeństwa przez kogoś ze szpitala.

- Jest jakiś mąż?

Zgromadzone na sali osoby umilkły i spojrzały na niego, zdumione.

- Paige to jej jedyna rodzina - odparł w końcu lekarz pogotowia.

- Paige?

- To jest Claire Forrester. Nikt ci tego nie powiedział?

Ten, kto do niego zadzwonił, podał mu nazwisko pacjentki. Ale Cole odkładał już wtedy słuchawkę. Jeśli był potrzebny, nie pytał, komu. Nazwisko pacjenta ani nawet diagnoza, nie miały dla niego znaczenia.

Nigdy. Aż do tej chwili, kiedy pacjentką była umierająca matka kobiety, która tak bardzo przypominała mu Eileen.

Cole Ransom znał historię Claire i Alana Forresterów. Znali ją wszyscy w centrum medycznym. Gabinet Cole'a znajdował się nawet w pawilonie imienia Alana Forreстера, który ufundowała Claire.

- Gdzie jest Paige?

- Nie wiemy. Dzwoniliśmy do domu, na jej komórkę, na pager, do Alice...

- A na oddział dializowania?

- Była tam - odparła jedna z pielęgniarek. - Skończyła dializę o ósmej trzydzieści, po ośmiu godzinach, i poszła do domu. Pewnie bierze prysznic. Zapomniała pagera, a telefonu nie słyszy. Ten drugi mężczyzna, który przywiózł tu panią Forrester, jest już w drodze do jej mieszkania.

- Szef administracji już przyszedł - dodał lekarz pogotowia. - Jeśli uważasz, że powinieneś zacząć operować, nie czekając, aż Paige wyrazi zgodę...

Cole nie dbał ani trochę o zgodę na operację, podobnie jak lekarze, którzy zajmowali się nią do tej pory. Nie pytając nikogo o zgodę, przewieźli Claire na salę operacyjną i robili wszystko, by utrzymać ją przy życiu. Kiedy stawką było ludzkie życie, obowiązywała jedna podstawowa zasada - najpierw trzeba zadbać o dobro pacjenta, a potem poradzić sobie z



prawnikami.

Cole jednak chciał, by Paige dowiedziała się, że jej matka umiera, zanim się to stanie.

- Zadzwoń pod ten numer. - Cole podyktował numer, który sam wykręcił tylko raz, ale znał go na pamięć. - Powiedz Gwen, co się stało i że nie możemy skontaktować się z Paige.

- Już się robi.

- Operacja za dziesięć minut- powiedział Cole. - Zbierz wszystkich z chirurgii, chcę się z nimi spotkać.

Gwen dotarła do poczekalni przed izbą przyjęć w chwili, kiedy Cole podchodził do mężczyzny, którego widziała na zdjęciu z „Town and Country” przysłanym przez siostrę Mary Catherine.

Na zdjęciu Stuart Dawson był ubrany w smoking, teraz miał na sobie garnitur. Cały we krwi.

Krwi jej matki.

Była wszędzie: na jego ubraniu, na rękach, na przystojnej twarzy, wykrzywionej teraz przez strach.

On ją kocha, zrozumiała nagle Gwen. Wie, że ona umiera, i to go zabija.

Nie, Cole nie pozwoli jej umrzeć.

Ale jedno spojrzenie na Cole'a odebrało jej tę pewność.

Owszem, chirurg był opanowany i spokojny, ale Gwen dostrzegła wyraz jego oczu. Były zgaszone i smutne, jakby wątpił, czy cokolwiek jest w stanie zrobić. Jeśli okaże się, że istotnie nie może, ten smutek jeszcze się pogłębi, Gwen była tego pewna.

Cole zauważył ją i jego twarz odrobinę się rozpozodziła.

- Nie wiem, gdzie jest Paige - powiedziała Gwen.

- Nie martw się, znajdziemy ją.

- Ona na pewno by chciała, żebyś operował. - Ja też tego chcę. Ufam ci. Wierzę w ciebie. - Wiem o tym.

- Muszę operować, Gwen. Naprawdę nie mam wyboru. - Cole spojrzał na przyjaciela i prawnika rodziny Forresterów. - Jest kilka rzeczy, które chciałbym wiedzieć. Jeśli pan jest w stanie udzielić mi takich informacji. Rozumiem, że pani Forrester cierpi na agorafobię. Przyjmuje jakieś leki?

- Na agorafobię? - zdziwił się Stuart. - Claire w ogóle nie bierze żadnych lekarstw.

- Więc na ogół cieszyła się dobrym zdrowiem?

- Znakomitym. Nigdy nie chorowała. - Stuart z trudem nad sobą panował. -Nie, chwileczkę. To nieprawda. Kiedy rodziła Paige, nastąpiło przerwanie łożyska. Claire bardzo źle zniosła narkozę.

- To znaczy?

- Przez kilka dni była oszołomiona, senna i zdezorientowana. Lekarze uznali, że przyczyną jej stanu był bardzo długi czas, jakiego potrzebował jej organizm na oczyszczenie się ze środka, jaki jej podano.

- Wie pan, co to był za środek?

- Przykro mi, ale nie. Mogę spróbować się tego dowiedzieć.

- Nie, nie trzeba - powiedział Cole uspokajająco. Zdobył się nawet na krzepiący uśmiech. Czuł, że powinien dodać temu człowiekowi otuchy. Stuart trzymał prawie martwe ciało Claire i tulił je, podczas gdy Jack prowadził samochód.

Nie było teraz czasu, by sprawdzić, jaki środek podano Claire w innym szpitalu trzydzieści jeden lat temu. Nie było już czasu na nic.

Krótką drogą do kondominium, w którym mieszkała Paige, była jasno oświetlona, nawet w środku nocy. Była to droga, jaką lekarz onkolog i pacjentka oddziału dializowania przemierzyła już setki, a może nawet tysiące razy.

Teraz szedł nią Jack Logan. Znał adres Paige. Odwiózł ją do domu po spotkaniu na basenie i odprowadził pod zawsze zamknięte na klucz drzwi budynku.

Zawsze zamknięte na klucz drzwi teraz były otwarte. Jeden z sąsiadów Paige wychodził właśnie do pracy.

W innej sytuacji Jack nie byłby zachwycony faktem, że z taką łatwością udało mu się wślizgnąć do budynku. Teraz po prostu się z tego cieszył.

Spodziewał się, że zastanie Paige w jej mieszkaniu na dwunastym piętrze. Przypuszczał, że wyszła już spod prysznic i właśnie się ubiera. Nacisnął dzwonek i czekał na jakiś ruch w otworze wizjera, a następnie szcęk otwieranych drzwi.

Ale płynęły minuty, a za drzwiami panowała cisza. Na gałce, w foliowej torebce, wisiała zwinięta w rulon poranna gazeta, a pod nią, także w plastikowym woreczku, leżało sprawozdanie z ostatniego spotkania wspólnoty mieszkaniowej, dostarczone zapewne tego ranka. A może poprzedniego wieczoru?

## Rozdział 24

Przygotowując się do operacji, Cole nie myślał o śmierci, której był świadkiem w Teksasie dwadzieścia dwa lata temu.

Myślał tylko o Claire.

Ale tamten dzień w zachodnim Teksasie i tamto brutalne morderstwo na zawsze wryły się w jego pamięć. Była to głęboka rana, tak głęboka, jak zadane Eileen ciosy tępym nożem. I mimo upływu czasu ból nie zelżał ani trochę, blizna nie znikwała.

Blizny tej nie sposób, było dostrzec gołym okiem. Cole wiedział jednak, że tam gdzie w jego sercu powinna płynąć krew, była tylko martwa pustka. Tam gdzie powinna mieszkać miłość, nie było nic.

Ale kiedy miał szesnaście lat, jego serce знаło miłość. Do tego czasu jego życie było jedną wielką przygodą, radosną odyseją. Jeździł po kraju z rodzicami, kowbojem i jego dziewczyną którzy sami byli jeszcze nastolatkami, kiedy na świat przyszedł ich syn. Zakochane dzieciaki kochały swojego synka i wraz z nim wędrowały od miasta do miasta, od rodeo do rodeo. Cole dreptał przy nich dzielnie, jak wesoly szczeniak. Później jechał obok nich na koniu. Szybko sam stawał się kowbojem. Chciał być w tym tak dobry, jak ojciec. Był dość twardy i dość zdolny, by móc w ten sposób zarabiać na życie.

Cole Ransom. Kowboj i pilny uczeń. Bo Cole uwielbiał się uczyć. Uwielbiał szkołę. Jego rodzice byli wprawdzie rozbawieni faktem, że syn woli iść do szkoły niż grać w piłkę, nie mogli jednak mieć o to do niego pretensji. Niczego nigdy mu nie narzucali. Od początku Cole był dla nich bardziej kumplem, najlepszym przyjacielem niż dzieckiem.

Edukacja Cole'a była dość niesystematyczna i często przerywana przez kolejne przeprowadzki. Cole przysiągł sobie, że to zmieni, kiedy tylko trafi na szkołę, do której naprawdę będzie chciał uczęszczać, w mieście, w którym naprawdę będzie chciał mieszkać. Wtedy zostanie tam, a jego rodzice ruszą w dalszą drogę.

Miasto nazywało się West Fork, w stanie Teksas.

Szkoła nazywała się West Fork High.

A prawdziwa przyczyna nazywała się Eileen Lake.

Dla uczniów, w tym przez krótki czas także dla Cole'a, była panną Lake. Miała trzydzieści sześć lat i uczyła biologii. Cole miał lat szesnaście. Czy był w niej zakochany?

Nie. Choć zdolny, przystojny szesnastolatek uprawiał już seks z dorosłymi kobietami, które nie miały pojęcia, ile naprawdę ma lat. Cole miał tyle kochanek, ile chciał. Wtedy,

kiedy chciał.

Ale jego stosunek do Eileen Lake był całkiem niewinny. Była jego przyjaciółką, jego starszą siostrą.

Inspirowała go.

To ona pomogła mu odpowiedzieć na pytanie, kim chciałby zostać w przyszłości. Cole już wtedy wiedział, że jego miejsce jest na sali operacyjnej.

Eileen była tego samego zdania. Zachęcała go. Sama kiedyś myślała o medycynie, ale doszła do wniosku, że jej prawdziwym powołaniem jest nauczanie przyszłych lekarzy. Chciała być nauczycielką.

I matką. To było jej prawdziwe powołanie.

Eileen chciała mieć rodzinę. Człowiek, z którym żyła, Brad Tilton, obiecywał jej, że kiedyś będzie ją miał. Pobiorą się, mówił Brad, jak tylko on dostanie awans, który już od dawna mu się należy. Wtedy kupią też dom z prawdziwego zdarzenia, nie taką „żałosną namiastkę domu”, tak określał niewielki domek Eileen, do którego wprowadził się dwa lata wcześniej.

A potem pomyślą o dzieciach.

Eileen zaszła w ciążę pół roku po tym, jak Cole zaczął uczęszczać do West Fork High. To z Cole'em, ze swoim przyjacielem, podzieliła się najpierw tą wiadomością.

I to Cole'a okłamała następnego dnia. Kiedy zauważył sińce na jej twarzy, powiedziała, że upadła. Zakręciło jej się w głowie, co często zdarza się w ciąży, i spadła ze schodów. Głupia jest, prawda?

Cole uwierzył w to kłamstwo, a także w wiele kolejnych.

Szesnastoletni kowboj, dla którego życie zawsze było dobre i łatwe, nie wiedział nic o kłamstwach.

Ani o przemocy.

Ani o mężczyznach, którzy biją kobiety.

Szesnastoletni Cole nie wiedział także o tym, że często kobiety chronią swoich prześladowców.

Kiedy Cole wreszcie zrozumiał, że Eileen kłamie, agresja Brada doszła do punktu, od którego nie było już odwrotu. Musiało nastąpić tragiczne w skutkach wyładowanie.

Gdyby wcześniej domyślił się, że Eileen kłamie, ona i jej dziecko mogłyby nadal żyć. Cole Ransom wierzył w to święcie. Zawsze będzie w to wierzył. Właśnie dlatego od tego czasu był tak wyczulony na kłamstwa. Dlatego bał się kłamstw, bał się, że ich nie dostrzeże, że będzie za późno. Tak jak za późno było dla Eileen.

Eileen chciała odejść od Brada. Jego wściekłość rosła, oskarżenia stawały się coraz bardziej absurdalne. Krzyczał, że Eileen zaplanowała ciążę, bo chciała zniszczyć jego karierę. A dziecko, wrzeszczał, nie jest jego.

Ale Eileen nie była w stanie uwolnić się od tego człowieka. Cole twierdził, że tego nie rozumie. Z arogancją, jaką wykazują młodzi ludzie, którym brak doświadczenia, Cole przekonał Eileen, że jej przesadny lęk jest skutkiem burzy hormonów będącej wynikiem ciąży. Bo tak naprawdę nie ma się czego bać. Z arogancją, jaką wykazują młodzi ludzie, których życie traktowało łaskawie, uznał Brada za brutalą, a więc za tchórza. A tchórz nie może przecież stanowić realnego zagrożenia.

Zaufaj mi, mówił Cole z przekonaniem.

W wieku szesnastu lat nie wiedział jeszcze nic o brutalach mordujących kobiety, które ponoć kochają. Nie wiedział, że największe niebezpieczeństwo grozi tym kobietom, kiedy chcą odejść.

Eileen także o tym nie wiedziała. Ale czuła to. Bała się tego. Jednak powiedziała Bradowi, żeby się wyprowadził. Musiała to zrobić. Dla dziecka. Dla samej siebie.

Brad wzruszył ramionami i zrobił to, o co go prosiła.

- Widzisz, wszystko jest w porządku - powiedział Cole, a ona uśmiechnęła się niepewnie. Brad zniknął z jej życia. Gdyby jednak ten tchórzliwy brutal kiedyś wrócił, Cole ją obroni. Będzie spał na kanapie w saloniku. I spał tam przez dziesięć nocy po tym, jak Brad się wyprowadził.

Eileen twierdziła, że to wystarczy. Że zdaniem dyrektora szkoły to aż za długo.

Cztery noce później Brad Tilton włamał się do „żałosnej namiastki domu” Eileen i zabił ją. Zabijał ją powoli. Tępym nożem.

Ale nie zrobił tego w tajemnicy. Eileen zdołała wykręcić numer policji. Rozpoczęły się rozmowy z policją, negocjacje, w wyniku których Brad zaproponował, że wypuści Eileen w zamian za tego szesnastoletniego śmiecia, który zrobił jej dziecko.

Negocjator odradził takie rozwiązanie. Posłuchano go. Został sprowadzony z Dallas i był profesjonalistą. Twierdził, że gdyby Cole wszedł do domu, byłyby dwie ofiary zamiast jednej.

Cole nie dbał o to. Zrobiłby wszystko, by chronić Eileen. By uratować Eileen, która mu zaufała.

Która zaufała właśnie jemu.

Podbiegł do drzwi, ale zatrzymali go policjanci. Zakuli go w kajdanki i wsadzili do policyjnego samochodu. Po pięćdziesięciu dwóch godzinach w domu rozległ się huk

pojedynczego wystrzału. Snajperzy i policjanci, także ci z Dallas, potwierdzili, że Brad Tilton się zabił. Wtedy policjant, który pilnował Cole'a, a w szkole średniej grał w piłkę z Bradem, rozkuł szesnastolatka. Szczerze wierzył, że Cole uwiódł Eileen i był odpowiedzialny za to, co wydarzyło się w jej domu. Uważał, że Cole powinien zobaczyć skutki tej tragedii na własne oczy.

Więc Cole zobaczył krew Eileen i krew jej dziecka, na ścianach, na podłodze, na suficie. Na białej satynowej narzucie na łóżku. Nie mógł zatamować krwi, która zdawała się wylewać zewsząd. Z tym krwotokiem sobie nie poradził.

## Rozdział 25

Gweneth Angelica St. James, porzucona córka Forresterów, i Stuart Dawson, prawnik rodziny Forresterów, stali razem w poczekalni pod izbą przyjęć. Poza nimi było tam zupełnie pusto.

Między siódmą a ósmą rano we wszystkich izbach przyjęć panuje spokój. Ci, których stan był zbyt poważny, by mogli czekać do rana, zostali przywiezieni do szpitala dużo wcześniej. Ci, którzy woleli zaczekać i pójść do swoich lekarzy, byli teraz w drodze do ich gabinetów.

Gwen i Stuart stali obok siebie w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach, zastanawiając się nad tym, co by było, gdyby...

Co by było, gdyby pojechał do Claire ostatniej nocy? Zaraz po tym, jak odsłuchał jej wiadomość nagraną na automatyczną sekretarkę? Tak bardzo chciał się z nią zobaczyć, ale Claire powiedziała, że jest zmęczona. Że idzie spać.

Więc Stuart zwalczył pokusę. Tak wiele dla mnie znaczysz, moja Claire. Twój głos brzmiał tak ciepło, kiedy mówiłaś o nas. Opowiedz mi, co ci się śniło, Claire, a ja opowiem ci mój sen.

Zwalczył też ogarniający go strach. Przekonanie, że Claire żegna się teraz z życiem.

Gwen dręczyły inne pytania.

A jeśli to pod wpływem narkozy, po której była taka senna i zdezorientowana, Claire postanowiła pozbyć się oszpeconej znamieniem córki, a potem nie była w stanie przypomnieć sobie, gdzie ją zostawiła? A jeśli to ból, jaki z tego powodu odczuwa, był przyczyną powstania

wrzodu i wyniszczającego krwotoku?

Tak, Gwen przeczytała trochę na temat wrzodów. Całkiem niedawno natknęła się na obszerny artykuł w „The Time”, a może w „Newsweeku”. W większości przypadków przyczyną ich powstania jest bakteria, *Helicobacter pylori*. Czasem pewną rolę odgrywa przyjmowanie niesterydowych leków przeciwzapalnych, takich jak aspiryna, naproxen, ibuprofen. Nie bez znaczenia są skłonności dziedziczne, a także palenie tytoniu i picie napojów zawierających kofeinę.

Autorzy artykułu nie odrzucili też stresu jako czynnika sprzyjającego powstawaniu i rozwojowi choroby wrzodowej. Ich zdaniem istnieją „silne, choć oparte na anegdotach przesłanki”, by uznać, że stres i choroba wrzodowa są ze sobą powiązane.

A jeśli jej matka piła kawę, martwiła się o porzuconą córkę i brała od czasu do czasu leki przeciwzapalne i przeciwbólowe, i dlatego wrzód pękł i zaczął krwawić?

Gdyby tylko Gwen wpadła na chwilę do Claire, do czego zachęcała ją Paige, albo gdyby poszła wraz z Beth i Diną, by spędzić poniedziałkowe popołudnie z „o rany, taką niesamowitą” panią Forrester...

Claire rozpoznałaby może w jakiś sposób swoją pierwotną córkę, mimo braku podobieństwa i maski na twarzy Gwen. W jakiś sposób... Bo Claire była matką, a Gwen była jej zaginionym dzieckiem.

Claire rozpoznałaby ją i wrzód zaczęłyby się goić. Matka i jej córki bliźniaczki, nareszcie razem, piłyby teraz kawę bezkofeinową w szpitalnej kafejce i rozmawiały o przeszczepie nerki, który zostałby dokonany, skoro tylko okazałoby się, że Gwen może być dawcą.

- Pan Dawson? Panna St. James?

Pielęgniarka czekała, aż choć jedno z nich zwróci na nią uwagę. W końcu oboje spojrzeli w jej stronę, ale to prawnik odezwał się pierwszy:

- Tak?

- Doktor Ransom prosił, żeby to panu dostarczyć. – Pielęgniarka wskazała ubranie, które przyniosła: garnitur, koszulę i gładki błękitny krawat. Wszystko to, spowite w folię, wisiało na wieszakach opatrzonych logo pralni chemicznej. Do jednego z nich ciągle przytwierdzony był rachunek. - To rzeczy doktora Ransoma. Doszedł do wniosku, że będą pasowały. On zawsze ma świeżo wyprane ubrania w swoim gabinecie.

Sekretarka Cole'a, która przyniosła ubranie na izbę przyjęć, wyjaśniła pielęgniarce, dlaczego. Chirurg, który był także biegłym sądowym, mógł prosto ze szpitala iść do sądu, nie tracąc czasu na powrót do domu.

- Może się pan przebrać w pokoju lekarzy. Jest tam też prysznic.

Stuart potrzebował kilku bolesnych chwil, by zrozumieć, dlaczego powinien przebrać się w rzeczy Cole'a. I kilku kolejnych, by zwalczyć opór, jaki odczuł na myśl o tym, że miałby zdjąć ubranie splamione krwią Claire.

Wiedział jednak, że to konieczne. Ze względu na Paige.

- Dziękuję. - Stuart wziął wieszaki z rąk pielęgniarki. - A czy ma pani dla nas jakieś wieści?

- Pani Forrester jest na sali operacyjnej. Operacja już się zaczęła.

- A Paige?

- Dzwonił pan Logan i powiedział, że nie ma jej w domu. Kiedy się dowiedział, że nam także nie udało się jej odszukać, powiedział, że chyba wie, gdzie ona może być. Teraz tam idzie. Kiedy ją znajdzie, nie przyjdą tu na dół, tylko pójdą do jej gabinetu. Cole uznał, że wszyscy mogą tam poczekać. To w Ósmym Północnym, niedaleko oddziału intensywnej terapii, na którym będzie leżała pani Forrester po operacji.

Jeśli ją przeżyje.

- Chętnie zaprowadzę państwa do gabinetu Paige. Jest tam Alice, jej sekretarka, więc gabinet jest otwarty i można będzie napić się kawy...

- Wiem, gdzie to jest - powiedział Stuart. - Ale dziękuję.

- Ja też wiem - dodała Gwen. - Dziękuję. Zaraz tam pójdziemy.

Jack miał nadzieję, że wie, gdzie jest Paige. Modlił się, żeby tam była. Wiedział na pewno, że nie ma jej w domu. Mieszkająca naprzeciw Paige kobieta powiedziała mu, że sprawozdanie z zebrania wspólnoty dostarczono poprzedniego wieczoru między ósmą a dziesiątą.

Jack miał nadzieję, że mimo tego, co powiedział mu pracownik oddziału dializowania, Paige jednak nie opuściła szpitala, nie jechała w środku nocy jasno oświetlonymi ulicami, nie napotkała na swojej drodze żadnego zagrożenia tam, gdzie zawsze czuła się bezpieczna- ani pod domem, ani w mieszkaniu.

Miał też nadzieję, że Paige śpi, po prostu śpi. Dłużej niż zazwyczaj, nic więcej.

To możliwe, powtarzał sobie Jack, biegnąc po schodach na górę. Jej pokój znajdował się na końcu korytarza, daleko od dyżurki pielęgniarek. A ponieważ wszyscy sądzili, że Paige poszła do domu, o trzeciej nad ranem nikt tam nie wejdzie, aż do chwili, kiedy przyjdzie sprzątaczką.



Paige będzie spała, po prostu spała. Nie poszła do domu, nie schodziła schodami, którymi teraz biegł Jack, nie zrobiło jej się słabo po pierwszej tak długiej dializie, nie potknęła się, nie upadła, nie rozbiła sobie głowy.

Dializa przebiegła bez zakłóceń, a po jej zakończeniu nie doszło do wycieku z przetoki. A wyciek, do którego nie doszło, nie zakończył się krwotokiem.

Córka nie zostanie znaleziona w kałuży krwi zaledwie godzinę po tym, jak znaleziono jej matkę.

Paige nie było na schodach. Ani na pierwszym piętrze, ani na drugim, ani na trzecim.

Bez tchu dopadł do drzwi pokoju, w którym pocałował ją na dobranoc.

Otworzył je szybko.

Cicho podszedł do łóżka.

Paige spała. Po prostu spała.

Jasne włosy Claire były lepkie od krwi, ciemna głowa Paige spoczywała na czystej poduszce. W przeciwieństwie do oddechu matki, jej oddech był spokojny i głęboki. I nie była blada, lecz zaróżowiona, jakby ogrzana ciepłem swoich snów.

Twarz Claire Forrester wykrzywił grymas bólu, jakby wtedy, kiedy jeszcze była przytomna, zrozumiała, co się dzieje, i szeptała, błagała „Nie, proszę, nie!”

Na twarzy jej córki gościł lekki uśmiech.

Jack wyciągnął rękę, chcąc zbudzić Paige, ale zatrzymał się, zanim zdążył jej dotknąć. Po co przerywać szczęśliwy sen i rzucać ją w sam środek koszmaru?

Teraz jej zgoda na operację nie była potrzebna. Operacja już trwała. Paige, czy o niej wiedziała, czy nie, nie mogła mieć żadnego wpływu na jej wynik. A Jack obawiał się, iż koniec operacji będzie początkiem nowego koszmaru.

Jack widział, ile krwi Claire straciła.

Chciał dotknąć Paige, ale cofnął dłoń i po cichu wyszedł z pokoju.

Kiedy Jack biegł na oddział dializowania, Gwen spieszyła do gabinetu Paige. Chciała być tam, gdzie jej miejsce, przy siostrze, kiedy ta wreszcie się odnajdzie.

Tam gdzie jej miejsce. Tylko ona wiedziała, że ma prawo tak sądzić.

Z punktu widzenia Paige Gwen St. James była charakteryzatorką, z którą podzieliła się kilkoma sekretami w sobotę, odbyła krótką rozmowę w poniedziałek i od której dostała liścik w sprawie Beth.

I tyle.

Zapytana, Paige powiedziałyby na pewno, że jej rozmowy z Gwen były miłe. Może nawet zauważyłyby ze zdumieniem, że od razu poczuła się przy niej swobodnie. I że chciałyby

się z nią jeszcze spotkać. Może wyznałaby nawet, że choć w sobotę nazwała Gwen przyjaciółką tylko po to, by przekonać Cole'a, że jest w dobrych rękach, teraz naprawdę wierzy, że może się z Gwen zaprzyjaźnić.

Ale w innej sytuacji Paige przedstawiłaby Gwen po prostu jako charakteryzatorkę, która zrobiła makijaż Luise Johansson i umożliwiła jej przed śmiercią powrót do domu.

Więc Paige na pewno będzie zdziwiona, widząc Gwen w swoim biurze tak wcześnie rano, zwłaszcza tego dnia. Pewnie będzie się zastanawiała, co w ogóle Gwen robi w szpitalu. Ale o to nie zapyta. Jest zbyt delikatna. Poza tym będzie przecież przejęta stanem matki.

Podświadomie jednak będzie się zastanawiała. Niepokoila. Czy Gwen St. James, choć wydaje się tak miła, nie jest po prostu sępem? Czy nie czeka, czując nadciągającą śmierć, aż będzie mogła zrobić użytek ze swoich talentów? Swojej sztuki?

Może Gwen usłyszała, że już wkrótce Claire Forrester będzie potrzebowała makijażu, który ożywi jej spopielała twarz, by Alan rozpoznał w niej swą ukochaną i połączył się z nią na wieki.

W najlepszym wypadku obecność Gwen będzie dla Paige zaskoczeniem. W najgorszym - udręką.

Poza tym przecież Paige jej nie potrzebuje. Będzie z nią Jack. I to jej na pewno wystarczy.

No i będzie jeszcze Stuart. I Alice. I pełne troski pielęgniarki, lekarze, pracownicy socjalni, technicy. Gwen zobaczyła ich wszystkich, kiedy weszła na korytarz, na którym był gabinet Paige.

Gwen była intruzem i tak by tu na nią patrzono. Byłaby gapiem, który zatrzymał się przy urwisku, by patrzeć na spadający samochód i konających w nim ludzi - dziadka, babkę, ojca. I na matkę, krwawiącą z rozdartego łóżyska, która rozdarła też jedność, jaką były jej bliźniacze córki.

Tylko Gwen wiedziała, że ona i Paige obejmowały, się w łonie matki. Dotykały się i uśmiechały do siebie.

Gwen zatrzymała się, odwróciła i uciekła.

## Rozdział 26

Jack powiedział jej ostatniej nocy, że chętnie będzie czuwał podczas jej snu. A kiedy się

zawahała, przysięgł sobie, że pewnego dnia Paige zaufa mu na tyle, by pozwolić mu patrzeć, jak śpi.

Jack wykonał kilka telefonów, wrócił do jej pokoju i patrzył na nią przez chwilę. Wyglądała teraz znacznie lepiej niż wtedy, kiedy żegnał się z nią wieczorem.

I leżała w dużo wygodniejszej pozycji.

Przedtem trzymała ręce dłońmi do góry i cały czas uważała, żeby żadna rurka nie wysunęła się z jej otwartych żył. Teraz leżała na boku, zwinięta w kłębek, bezpiecznie otulona miękkim kocem.

Gdyby Jack mógł wybrać rodzaj snu, na jaki chciałby patrzeć, wybrałby właśnie ten. Niebiańsko spokojny.

Paige spała, nieświadoma smutku, jaki powita ją po przebudzeniu. Jack bał się tego, co usłyszy, kiedy jego telefon komórkowy zacznie wibrować. Widział Claire i obawiał się najgorszego.

A sądząc z wyrazu twarzy Claire, kiedy on i Stuart ją znaleźli, ona obawiała się tego samego.

Za jakiś czas zadzwoni Cole Ransom i poinformuje Jacka, że jeśli Paige chciałaby po raz ostatni zobaczyć matkę, teraz jest odpowiednia chwila. Po transfuzji Claire wygląda lepiej, nie jest już tak blada i leży spokojnie pogrążona we śnie. Wiecznym.

Ale to będzie tylko złudzenie, pomyślał Jack. Claire nie była przygotowana na śmierć. Walczyła z nią, błagała, żeby jej jeszcze nie zabierała nawet wtedy, kiedy zaczęła wymiotować krwią i nie mogła przestać.

Błagała. Walczyła. Jakby miała jeszcze w życiu coś do zrobienia.

Albo do powiedzenia.

Tak czy inaczej Jack nie miał prawa ukrywać przed Paige prawdy, nie miał prawa ukrywać przed nią niczego ani chwili dłużej. Dotknął jej policzka, wyszeptał jej imię.

- Jack - mruknęła Paige sennie. Jego obecność ani trochę jej nie zaniepokoiła. To oczywiste, że tu jest. Przez cały czas przecież towarzyszył jej w snach. - Cześć...

- Cześć.

- Która godzina?

- Kwadrans po ósmej.

Paige zmarszczyła brwi i uniosła się na łokciu.

- Rano?

- Rano.

Paige rozejrzała się po pokoju, usiłując zebrać myśli.

- Zasnęłam po twoim wyjściu i zbudziłam się dopiero, kiedy dializa dobiegła końca. Wtedy chciałam wrócić do domu, wstałam, ale usłyszałam wiatr i deszcz i postanowiłam zostać tutaj. - W tym łóżku, w którym ją pocałował z takim zachwytem. Teraz Paige nie widziała już zachwyty.

- Jack? Dlaczego ty... och, chodzi o Beth, prawda? Rozmawiałeś z nią, a ona jest zła, że ci powiedziałam. Tak mi przykro!

- Nie chodzi o Beth. Rozmawiałem z nią, ale ona jest bardzo zadowolona, że powiedziałaś mi, co ją gryzie. Jestem tu z powodu twojej matki, Paige. Jest operowana.

- Co? - Paige usiadła na łóżku. Za szybko. Jej krew, jeszcze nie rozbudzona, ciągle krążyła w żyłach zbyt leniwie. Paige zdołała jednak opanować nagłą słabość. - Co się stało?

- To prawdopodobnie wrzód żołądka.

- Wrzód, który nie bolał? - Paige z powątpiewaniem pokręciła głową. Doktor Forrester знаła etapy śmierci i umierania, a zaprzeczenie jest normalną reakcją każdej istoty ludzkiej, która usłyszała katastroficzne wieści. Pierwszą reakcją. To nie może być wrzód. Nigdy nic jej nie bolało. Zawsze była okazem zdrowia. Zaprzeczenie. I przesadny niepokój. Jack nie powiedział przecież niczego o śmierci, umieraniu, nieszczęściu.

- Dlaczego uważają, że to wrzód?

- Miała krwotok.

- Ale... teraz już nikt nie operuje krwawiących wrzodów. Nie ma takiej potrzeby. Robi się tylko endoskopię. Kto zdecydował, że konieczna jest operacja?

- Cole Ransom.

- Och - wyszeptała Paige. Śmierć. Umieranie. Nieszczęście. - Doszło do perforacji...

- Tak uważają.

- Kiedy to się stało?

- Stuart i ja znaleźliśmy ją jakieś półtorej godziny temu. Zaraz po tym, jak to się stało. Zdażyła jeszcze włożyć bułeczki do pieca.

A krew na dywanie była jeszcze ciepła.

Zdaniem pracowników izby przyjęć, a także, jak wieść niosła, zdaniem wszystkich pracujących w szpitalu, to właśnie Cole Ransom powinien operować Claire. I to nie tylko z tej prostej przyczyny, że był najlepszy. Claire krwawiła, a on był chirurgiem naczyniowym, a do tego także i urazowym.

Doszło do perforacji wrzodu i do bezpośredniego zagrożenia życia.

W przypadku Claire Forrester perforacja dokonała takich zniszczeń, jak strzał w żołądek. Jak strzał, którym sam śmiertelnie zranił się Brad Tilton.

Brutał, który zabił Eileen Lakę, nie miał zamiaru odbierać sobie życia. Był na to zbyt wielkim tchórzem. Nie miał żadnych skrupułów, nie odczuwał wstydu ani wyrzutów sumienia. Nie wycelował rewolweru w głowę ani w serce, lecz w nadbrzusze. Ale był to śmiertelny strzał. Kula przebiła żołądek i trzustkę. Szesnastoletni Cole Ransom nie widział wewnętrznych obrażeń Brada Tiltona. Widział je tylko koroner. Cole nie wiedział też, że obrażenia, jakich doznała Claire Forrester, były jeszcze gorsze.

Cole wiedział tylko, kim jest. A raczej kim nie jest.

Nie był ani Bogiem, ani czarodziejem.

Był tylko człowiekiem, wyszkolonym tak dobrze, jak to możliwe. I dawał każdemu ze swych pacjentów wszystko, co był w stanie dać.

Czasami było to zbyt mało.

- Tracimy ją, Cole - powiedział anestezjolog rzeczowo i spokojnie. - Ciśnienie znowu spadło.

Ciśnienie krwi Claire nie powinno było spaść. Krwotok został powstrzymany. Cole go powstrzymał. Transfuzja przywróciła właściwą ilość krwi w naczyniach krwionośnych.

A więc przyczyną spadku ciśnienia był jakiś wstrząs. Septyczny. Anafilaktyczny. Kardiogeniczny. Neurogeniczny. Tylko że nic na to nie wskazywało.

Więc może po prostu Claire Forrester zaniechała walki, poddała się, złamana miesiącami bólu, z którym walczyła i który próbowała ukryć. Ale ta walka zbyt wiele ją kosztowała.

Nic jej już nie zostało.

- Nie rób tego - rozkazał Cole stanowczo. Wszyscy obecni na sali spojrzeli na niego pytająco. Cole jednak zdawał się mówić do Claire: -Nie odchodź.

## Rozdział 27

Gwen wybiegła na deszcz jeszcze bardziej ulewny niż ten, w którym biegła z Belvedere Court do szpitala.

Taki deszcz musiał padać, kiedy jej matka biegła nocą, oszołomiona, zdezorientowana,

do Carmel po swoją pierwородną córkę. Po to tylko, żeby zaraz ją porzucić?

Nie. Po to, aby rodzina Forresterów była razem, pod jednym dachem, w szpitalu w Monterey. Taki był jej plan. Chciała zjednoczyć rodzinę.

Claire prawdopodobnie nie wiedziała nawet o znamieniu. Właściwie nie widziała swojej pierwszej córki. Wkrótce po jej narodzinach straciła przytomność. Claire wiedziała tylko, że jedno z jej dzieci urodziło się na miejscu wypadku i zostało umieszczone w Carmel.

Musiała wziąć taksówkę. Była zbyt chora, by prowadzić. Szła drogą kiedy turystka z Iowy zaproponowała że podwiezie ją do klasztoru St. James.

Claire na pewno usłyszała o klasztorze od taksówkarza, który zabrał ją z Monterey. Może powiedział jej, jak dobre są zakonnice, jak świetną opinią cieszy się ich szkoła? Może też widząc, jak bardzo jest zdenerwowana, wspomniał, że w klasztornej kaplicy, gdzie zawsze jest cicho i spokojnie, można się pomodlić?

Claire przypomniała sobie o klasztorze, kiedy odzyskała już swoją naznaczoną znamieniem córkę, i znowu poczuła się zdezorientowana. Nie wiedziała, co robić, i oszołomiona, oddała dziecko.

Ale Claire chciała zjednoczyć swoją rodzinę.

Taki był jej cel. Pierwородna córka Claire była tego pewna.

Gdyby nie oszołomienie Claire, obie dziewczynki mieszkałyby z matką w rodzinnym domu Forresterów, w którym teraz była Gwen. Dom. Biegła przez całą drogę, by tu dotrzeć, idąc za głosem serca. To jej serce wiedziało, jak tu trafić.

Gwen zapomniała o remoncie. Na podjeździe stało kilka furgonetek i innych samochodów, wśród których dostrzegła ciemnozielonego lexusa i jasnoniebieskiego jaguara.

W holu Gwen natknęła się na elegancką właścicielkę jaguara, Mariel Lancaster. Czwartą spośród osób przedstawionych na zdjęciu w „Town and Country”. Współorganizatorkę imprezy na rzecz oddziału noworodków i najbliższą przyjaciółkę Claire.

Stukając wysokimi obcasami o marmurową posadzkę, Mariel strzepnęła płaszcz i zamknęła parasol. Czują się tu jak u siebie. Nie zauważyła Gwen.

- Claire? - zawołała wesoło. - Gdzie jesteś?

- Nie ma jej. - Głos należał do jednego z pracowników Jacka, stojącego w drugim końcu holu.

- Oczywiście, że jest! Miałyśmy omówić bożonarodzeniową zbiórkę na rzecz oddziału pediatrycznego. Och, no tak, już rozumiem... To Stuart cię podpuścił, prawda? Kimkolwiek jesteś. Bo ciągle jest na mnie zły.

- Jestem Kyle. Pracuję dla pana Logana.

- To fantastyczne. I bardzo sprytne. Ponieważ jednak pod domem stoi samochód Stuarta.

- Zdarzył się... wypadek - odezwała się Gwen od drzwi. - Pani Forrester jest teraz w szpitalu.

- Co się stało? Och, nie... Paige?

- Nie - odparła Gwen - nie Paige.

- Pani Forrester - powiedział Kyle - jest operowana.

- Dlaczego?

- Pękł wrzód żołądka?

- Wrzód? Claire? To niemożliwe.

- Przykro mi, proszę pani. To wszystko, co wiem. Jack tylko tyle mi powiedział, kiedy zadzwonił.

Mariel odwróciła się do Gwen.

- To prawda?

- Tak.

- A pani to...?

- Przyjaciółka Paige. Gwen.

- A gdzie jest Stuart?

- W szpitalu. W gabinecie Paige. Czeka.

- Wujku... - Paige powitała Stuarta ciepłym uściskiem. Od kiedy to pozwalala sobie na takie gesty?

Stuart, trochę zaskoczony, także ją uściśnił. I powiedział to, co mówił przez trzydzieści lat, kiedy się z nią witał:

- Cześć, mała. - Po czym dodał szybko: - Claire jest ciągle na Sali operacyjnej.

Paige skinęła głową. Alice, której biurko minęła, wchodząc wraz z Jackiem do gabinetu, już jej to powiedziała.

- Byłeś w domu za piętnaście siódma? Razem z Jackiem?

- Tak - odparł Stuart. - Byliśmy tam obaj.

- Zadzwoiła do ciebie? - spytała Paige, która martwiła się, że Claire szukała u niej pomocy, lecz jej nie zastała.

- Nie, nie dzwoniła. Nie rano. Ale późnym wieczorem nagrała na sekretarkę wiadomość, która sprawiła, że rano postanowiłem do niej wstąpić. To nie miało nic wspólnego z

jej zdrowiem. A rano, zanim przyjechaliśmy, parzyła kawę i piekła bułeczki. Ten krwotok musiał się zacząć nagle, bez ostrzeżenia. Nie sądzę, żeby zdążyła gdzieś zadzwonić.

- Bez ostrzeżenia - powtórzyła Paige. - Ale przecież musiała odczuwać ból. Nigdy nie mówiła ci, że coś ją boli?

- Nie - powiedział Stuart. - Nigdy. Ale czasami nagle przestawała mówić. Zastanawiam się teraz, czy dlatego że nagle chwycił ją ból. Ale zawsze mówiła, że zgubiła watek. I że wszystko w porządku.

Jak jej córka.

- Miałaś zamiar w ogóle mnie o tym poinformować? - spytała Mariel, wchodząc do gabinetu Paige. Pytanie to, czy też raczej oskarżenie, było skierowane do Stuarta. Nie zapytała o Claire, bo niemal wszystkiego zdążyła się dowiedzieć między głównym wejściem do szpitala a ósmym piętrem. Były to smutne wieści. Ale i takie, które dawały nadzieję. Cały szpital wiedział - i trzymał kciuki - za kobietę, która organizowała przyjęcia właśnie dla nich, dla personelu szpitala. Przyjęcia, nie wielkie gale. Żeby podziękować, a nie żeby zebrać fundusze.- Stuarcie?

- Tak, Mariel, oczywiście.

- Och, Stuarcie! Tak mi przykro. Nie powinnam była mówić tego, co ci powiedziałam wczoraj wieczorem.

- To bez znaczenia. - Poza tym to, co powiedziała, było prawdą. Claire była przeszłością Stuarta, jego chwilą obecną i jego przyszłością. W każdym razie Stuart wierzył w to, powtarzał sobie, że musi w to wierzyć, aż do chwili, kiedy po powrocie od Mariel usłyszał tę wiadomość. A wtedy... - Gdybym tylko od razu do niej pojechał. Pójdę na dół, do atrium. Chcę się trochę przejść.

- Idę z tobą- powiedziała Mariel. - Też chcę się przejść. Nie odezwę się ani słowem.

- Powiesz mi, jak ci poszło z Beth? - spytała Paige Jacka, kiedy Mariel i Stuart wyszli

- Proszę. To pomoże.

- Dobrze. Poszło całkiem nieźle. Naprawdę była zadowolona, że mi powiedziałaś.

- Zadała ci już swoje pytania?

- Chciała wiedzieć, jak jej matka ma na imię. A ja sam opowiedziałem jej, jak się poznaliśmy i że Helen gra na harfie.



- Żałujesz?

- Nie. Odkryłem coś, czego może bym się nie dowiedział, gdybym nie pobudził ciekawości Beth tak bardzo, że zapytała mnie, gdzie Helen teraz mieszka.

- Och, Jack. Chcesz powiedzieć, że Helen mieszka w San Francisco?

- Owszem, a z okien jej mieszkania widać drogę, którą Beth i Dina chodzą do szkoły.

- Co masz zamiar zrobić?

- Porozmawiać z nią. - I z policją?

- Nie boję się Helen, ale Beth...

- Ona nie rozmawia z obcymi.

- Helen nie będzie dla niej obca. Jeśli będzie grała na harfie albo na fortepianie. Nie, nie jest nauczycielką Beth. W każdym razie nie tą, której płacę. Ale domyślam się, że ona i Beth ciągle się widują.

- Wiedziałbyś o tym.

- Nie wiedziałem, że Beth rozmyśla o Helen.

- Wiedziałeś, że coś ją trapi.

- Nie wiedziałem też, że odwołała lekcję fortepianu we wtorek i umówiła się na spotkanie z tobą. Zastanawiam się, czego jeszcze nie wiem.

Paige nie miała zamiaru utwierdzać tego wspaniałego ojca w przekonaniu, że nie jest wystarczająco czujny i troskliwy.

- To odpowiedzialna dziewczynka, Jack. Jak jej ojciec. Dlatego powiadomiła nauczycielkę, że nie przyjdzie na lekcję. A jeśli chodzi o spotkanie ze mną, to nie było to umawianie się z całkiem obcą osobą.

- Nie - odparł miękko - to było jak umawianie się z kobietą, która mogłaby być jej matką. Powinna była nią być, może jeszcze zechce nią zostać?

- Jack...

- Zakochałem się w tobie, Paige. Dwanaście lat temu. I nadal jestem zakochany. Nadal cię kocham.

- Ja też się w tobie zakochałam. Nigdy nie przestałam cię kochać. Nie chcę przestać.

- Więc nie przestawaj.

- Ale... -Zbyt wiele było tych ale. A jednak, kiedy na niego patrzyła i widziała w jego oczach miłość i nadzieję, wszystkie te ale nagle zniknęły. Będą się kochali, będą o siebie dbali i może wspólnie uda im się uciec przed wszystkim co złe. Uśmiechnęła się do niego ufnie, promiennie. -Więc nie przestanę. Kocham cię, Jack. Ciebie... i Beth.

- A my kochamy ciebie.

Objęli się i stali tak, kołysząc się lekko, jakby tańczyli przy muzyce, którą tylko oni mogli słyszeć.

- Jack?

- Paige? - odparł, z ustami w jej włosach. Uciekną przed złymi rzeczami, przed którymi można uciec. A co z tymi, przed którymi uciec nie sposób? Razem sobie z nimi poradzą. - Musisz porozmawiać z Helen, Jack. Dzisiaj. Zaraz.

- Muszę być przy tobie, Paige. Beth jest bezpieczna. Zadzwoń do szkoły. Później zadzwonię jeszcze do rodziców i powiem im, czego się dowiedziałem. Pójdą na spotkanie z dyrektorką o drugiej i przywiozą Beth i Dinę ze szkoły. Może zresztą nawet to jest przesadą. Helen jest w San Francisco od osiemnastu miesięcy...

To nie była przesada i Paige o tym wiedziała. Czowała, że Jack też o tym wie. Gdyby nie jego troska o nią, byłby teraz w mieszkaniu Helen.

- Gdybyś dzisiaj odkrył, że Beth bierze narkotyki, nie czekałbyś, żeby z nią o tym porozmawiać przy innej okazji, nawet gdybyś wiedział, że bierze od osiemnastu miesięcy, prawda?

- Wiesz, że nie. Ale mogę poczekać, aż skończy się operacja twojej matki i dopiero potem porozmawiać z Helen.

- Nie, Jack. Proszę, idź tam teraz. Wszystko będzie dobrze. Ja tylko muszę wiedzieć, że nasza mała dziewczynka też jest bezpieczna.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie.

- Wrócę jak najszybciej.

- Jedź ostrożnie. Jack uśmiechnął się.

- Dobrze, Paige, obiecuję.

Paige wierzyła mu i wierzyła, że wróci bezpiecznie. A czy jej matka bezpiecznie wróci z krawędzi, na której się znalazła?

Czy też umrze, nie wiedząc o niczym, co Paige chciała jej powiedzieć?

Kocham cię, mamó. Podziwiam i żałuję, że nigdy nie byliśmy sobie bliskie... i że nigdy ci nie powiedziałam, co czuję...

Paige była taka dumna z Claire. Kiedy miała dwadzieścia jeden lat, wyobrażała sobie matkę w wieku dwudziestu jeden lat, jej wielką miłość, jej niepowetowaną stratę i odwagę, którą musiała się wykazać, by to przetrwać. Ale Claire przetrwała, uśmiechając się, choć czuła ból, kochając, mimo swej straty, próbując dać córce tyle szczęścia, ile tylko zdoła.

A jeśli chodzi o agorafobię, którą przezwyciężała dla Paige... Paige marzyła o tym, że

sama kiedyś znajdzie miejsce, w którym będzie się czuła tak bezpiecznie, że nigdy nie zechce go opuścić.

Właśnie znalazłam takie miejsce. Przy Jacku. Paige chciała, by jej matka się o tym dowiedziała. Nie umieraj, mamó. Proszę, nie umieraj.

## Rozdział 28

Idąc wzdłuż śladów krwi na podłodze, Gwen przeszła z wyłożonego marmurem holu do pastelowych wnętrz domu, w którym mieszkałyby wraz z siostrą i rodzicami, gdyby życie ich wszystkich potoczyło się inaczej. Czerwone plamy zaprowadziły ją aż do jasnej sypialni, w której kochali się jej rodzice i w której tego ranka Claire zaczęła krwawić.

Straciła tyle krwi, że zemdlała i upadła prosto w tę krew.

Gwen zobaczyła odcisk twarzy swojej matki na zakrwawionym dywanie. Tego ranka matka i córka wyglądały niemal jak bliźniaczki, ich policzki nosiły niemal identyczne znamiona.

Gwen usiadła na dywanie i dotknęła krwawego śladu tak, jakby dotykała twarzy matki. Krew była już zimna, ale wilgotna.

Siedząc tak, Gwen wyobrażała sobie swoje życie w tym domu. Widziała siebie, jak wbiega rano do pokoju matki. Dzień dobry, mamó! Claire odrzuca pastelową kołdrę i wyciąga do niej rękę na powitanie. Dzień dobry, kochanie! Chodź do mnie!

Gwen wyobrażała też sobie, że wchodzi do tego pokoju w nocy. Miałam taki zły sen, mamó. Mogę spać z tobą? Pastelowa kołdra podnosi się i głos matki uspokaja w ciemnościach przerażone dziecko. Oczywiście, że możesz. Gwen jednak nie wchodzi do łóżka. Jeszcze nie. Lepiej pójdę po Paige. Nie chcę, żeby była sama, kiedy się obudzi.

Gwen wyobrażała sobie, jak bardzo byłyby szczęśliwe. Czuła to. To był jej dom. Przynależała tu. Tu mieszkałyby z matką i siostrą, gdyby nie ten tragiczny wypadek samochodowy i rozpacz, i narkoza, po której Claire straciła nad sobą kontrolę.

Rozmyślenia Gwen przerwał dzwonek telefonu. Po czwartym sygnale odezwała się automatyczna sekretarka i córka Claire usłyszała głos matki.

- Witam! Jestem gdzieś tutaj, oczywiście, ale pewnie rozmawiam z innego telefonu. Ja i te połączenia oczekujące! Ale proszę zostawić wiadomość, na pewno wkrótce oddzwonię.

Był to piękny głos, pogodny i ciepły. Było w nim tyle nadziei, pomyślała Gwen. Jakby każdy, kto do niej dzwonił, mógł być jej dawno zaginioną córką, która wreszcie się odnalazła.

„Ja i te połączenia oczekujące”. A więc przyjaciele Claire Forrester wiedzieli to, co

wiedzieli przyjaciele Gwen St. James: że nie korzysta z funkcji połączeń oczekujących. Gwen, podobnie jak Claire, nie wyobrażała sobie, by mogła skrócić rozmowę z jedną przyjaciółką po to, by zacząć rozmowę z inną.

Przyjaciółka, która zadzwoniła do Claire, miała na imię Joannę. Zaczęła mówić zaraz po sygnale:

- Wnuki przyjeżdżają w przyszłym tygodniu i dziewczynki już się dopytują, czy zobaczą ciocię Claire. Wiem, że masz teraz remont na głowie, ale... zadzwoń do mnie. Jeśli to za duży kłopot, po prostu mi to powiedz. Szczerze! Czekam na twój telefon.

Kiedy Joannę odłożyła słuchawkę, Gwen wstała z zakrwawionego dywanu i podeszła do toaletki, na której stała automatyczna sekretarka wraz z ukrytym w jej wnętrzu skarbem: głosem Claire.

Mrugające zielone światelko sygnalizowało, że na odsłuchanie czeka więcej wiadomości, więcej skarbów. Bo wiadomości pozostawione Claire mogły tak wiele powiedzieć o jej życiu.

Pozostałe trzy wiadomości zostawiły osoby, które nie miały pojęcia, dlaczego Claire nie odbiera telefonu.

Pierwsza wiadomość została nagrana o godzinie siódmej piętnaście, kiedy doktor Cole Ransom już operował Claire.

- Dzieńdoberek, pani F. Mówi Ron, sklepikarz. Właśnie mam na ekranie komputera pani zamówienie, wysłane wczoraj osiem po dziewiątej wieczorem. Chciałbym na wszelki wypadek sprawdzić, czy nie pomyliła się pani co do ilości tego wszystkiego... Albo mój komputer zaczął myśleć życzeniowe, albo pani zaczęła piec ciastka dla całej armii. Proszę do mnie zadzwonić, a ja zaraz wyślę, co trzeba.

O siódmej trzydzieści, kiedy pielęgniarka wręczała Stuartowi czyste ubranie, do telefonu przemówił melodyjny głos, mówiący z brytyjskim akcentem:

- Claire? Tu Juliana Whitaker. Chcę ci podziękować za to, że zaoferowałaś się użyczyć nam swojego pięknego domu na pokaz mody Pearl Moon. Chętnie skorzystam! Garret i ja będziemy w San Francisco w przyszłym tygodniu. Skontaktuję się z tobą. Jeszcze raz ci dziękuję. Bardzo.

O siódmej czterdzieści, kiedy Gwen biegła ze szpitala do domu Forresterów, na sekretarce pozostawiono wiadomość, która zaczynała się od rozpaczliwego łkania.

- Mówi Neli. Twoja beznadziejna przyjaciółka. Miałaś rację, Claire. On ciągle się z nią spotyka. Próbowalaś mi to powiedzieć. Przygotować mnie. I udało ci się to. Naprawdę! Czuję się lepiej, niż może ci się zdawać, kiedy mnie słuchasz. Ale jak będziesz miała chwilę, zadzwoń do

mnie, proszę.

Gwen wysłuchała wiadomości, a potem przewinęła taśmę i wysłuchała nagrania Claire jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Echo pełnego nadziei, łagodnego głosu Claire towarzyszyło jej jeszcze długo po tym, jak odeszła od toaletki i zaczęła chodzić po sypialni.

Powoli, z czią, oglądała wszystko to, co było w pokoju. Między innymi ślubną obrączkę. Złoty krążek, prosty, tradycyjny, leżał na nocnym stoliku obok telefonu. Zdobiły go tylko wygrawerowane prostymi, tradycyjnymi literami inicjały jej rodziców i data ślubu.

Jej rodzice. Alan i Claire.

Gwen nie była podobna do żadnego z nich. Choć tak bardzo chciała, by było inaczej. Tu, gdzie czuła się jak w domu, gdzie czuła się jak córka, chciała znaleźć jakiś dowód na to, że istotnie nią jest, że ma prawo czuć to, co czuje.

Niechęć do korzystania z funkcji połączeń oczekujących, jaką dzieliła z Claire, nie wydała jej się wystarczającym dowodem. A choć tyle razy wysłuchała ciepłego głosu nagranego na automatyczną sekretarkę, nie usłyszała w nim niczego, co przypominałoby jej własny głos.

Gwen dostrzegła komputer stojący we wnęce i podeszła do niego, być może w nadziei, że zobaczy na monitorze wygaszacz ekranu taki sam jak ten, który miała w swoim komputerze. Nie, nigdy nie widziała tego wygaszacza. Ale bardzo jej się spodobał. Sama by go wybrała. Po zielonej ukwieconej łące, pod płynącymi po niebie obłokami, skakała biała owieczka. Kiedy jej wesoła podróż dobiegła końca, na ekranie pojawiły się inne wiosenne obrazki. Wiosenne i wielkanocne, bo na zieloną łąkę wtoczyły się najpierw kolorowe jajka, a po nich rozbrykane króliki. Po czym na scenę tanecznym krokiem znowu wbiegła owieczka.

Jesteś moją matką. Musisz nią być.

Ale radosny wygaszacz ekranu także nie był żadnym dowodem. Ani piętrząca się na biurku sterta artykułów, choć tak jak w przypadku równo poskładanych wydruków na biurku Gwen, wszystkie dotyczyły medycyny.

Wiele z nich zostało ściągniętych ze stron, na które ostatnio wchodziła także Gwen. WebMD. PubMed. Ale Claire nie wybrała tego, co interesowało Gwen. Nie czytała o chorobach nerek, dializie, przeszczepach. Claire z pewnością poszerzałaby swoją wiedzę w tym zakresie, gdyby wiedziała o chorobie Paige.

Ale nie wiedziała. Szukała tylko informacji o tym, co dręczyło ją samą i co w końcu doprowadziło do wyniszczającego krwotoku: o szoku poporodowym, stłumionych wspomnieniach, agorafobii, atakach lęku i chorobie wrzodowej.

Claire szukała odpowiedzi. To było jasne.

Być może szukała swojego zaginionego dziecka.

Jednak wśród artykułów na jej biurku nie było ani jednego na temat znamion. Ani na temat chirurgii laserowej.

A przecież matka pamiętałaby znamię na twarzy swojego pierwszego dziecka. Nawet gdyby zapomniała, gdzie to dziecko zostawiła. Może jednak tak bardzo martwiłaby się o los tego dziecka, że wszelkie informacje przechowywałaby w komputerze, a nie w formie sterty papierów na biurku.

Tak, powiedziała sobie Gwen. Na pewno.

W komputerze na pewno są linki do stron poświęconych chirurgii laserowej, a może także do stron, które odwiedzają ludzie szukający zaginionych krewnych. Do stron, na których matka może zamieścić wszystko, co pamięta z tamtej strasznej nocy, kiedy oddała swoje dziecko, w nadziei, że ktoś pomoże jej je odnaleźć. Może nawet jej córka sama trafi na ten ślad?

Czy będą takie linki? Tak, będą, obiecywało mocno bijące serce Gwen, kiedy drżącymi palcami sięgnęła do myszki. Zdobędzie dowód.

Dotknęła myszki. Tańcząca owieczka zatrzymała się w pół kroku, po czym zniknęła.

A sekundę później Gwen St. James zobaczyła ekran komputera swojej matki i tapetę, którą Claire wybrała, by go ozdobić.

## Rozdział 29

Jack nacisnął guzik interkomu przy tabliczce z napisem HELEN GRACE, MIESZKANIE NUMER 522. Później, na wypadek, gdyby Helen chciała przyjrzeć się swojemu gościowi na ekranie interkomu, spojrzął prosto w kamerę umieszczoną nad wejściem do budynku.

Helen może się ukrywać. Jack nie miał takiego zamiaru. Chciał, by wiedziała, że ją odnalazł i że nie ruszy się spod jej domu, dopóki z nią nie porozmawia.

Wyraz jego twarzy musiał wyraźnie jej to powiedzieć, bo chwilę później rozległ się dźwięk brzęczyka i Jack wszedł do budynku.

Mieszkanie Helen znajdowało się tuż obok windy. Jego drzwi były szeroko otwarte.

A w drzwiach stała Helen. Helen Grace. Obca kobieta, z którą Jack stworzył nowe życie. Dziecko. Z powodu tej kobiety, z powodu Beth, z powodu swoich zasad moralnych Jack powiedział „żegnaj” poznanej w bibliotece dziewczynie, która skradła mu serce.

We wspomnieniach Jacka obca kobieta, którą poślubił, kobieta, która krzyczała na swoje

małe dziecko, była potworem. Jego pamięć zmieniła ją w potwora.

Ale kobieta, która stała przed nim teraz, była tą Helen, którą poznał na ślubie przyjaciela. Delikatną. Eteryczną. I wyglądała na więcej niż na swoje trzydzieści cztery lata. Jej oczy wydawały się starsze. Zmęczone.

Ale nie czujne. A Jack uświadomił sobie w tej chwili, że kiedyś takie były. Że kiedyś czaił się w nich strach.

Teraz nie.

Tą nową Helen, ciągle obca, była trochę wyzywająca. I bardzo zdecydowana.

- Witaj, Jack.

- Helen.

- Wejdz.

Wszedł do mieszkania. Było to niewielkie studio. Jeden pokój musiał pomieścić cały ziemski dobytek artystki nie z tej ziemi. Nie było tego wiele, ale pomieszczenie wydawało się zagracone. Mnóstwo miejsca zabierała porzucona harfa w lnianym pokrowcu.

W mieszkaniu nauczycielki fortepianu nie było pianina. Jack przypuszczał, że Helen udziela lekcji w domach uczniów.

- A więc - zaczęła Helen - jednak mnie zauważyłeś.

- Zauważyłem cię? Gdzie?

- Na basenie, w sobotę. Mimo że mam teraz ciemniejsze i krótsze włosy, a wtedy miałam też ciemne okulary i czapkę, i siedziałam wśród innych rodziców.

- Byłaś na basenie? - Słowa Jacka były spokojne i wyważone, ale jego głos brzmiał ostro. - Dlaczego?

- A jak sądzisz?

- Nie chcesz wiedzieć, co myślę.

- Nie śledzę jej, Jack! - rzuciła Helen. - Ani ciebie - dodała spokojniej.

- Po prostu tak się złożyło?

- Tak się złożyło, że postanowiłam tam być.

- I tak się złożyło, że postanowiłaś zamieszkać w San Francisco kilka przecznic od naszego domu i szkoły Beth?

- Chcę tu mieszkać.

- Ze względu na Beth?

- Tak, ze względu na Beth. Oczywiście! Jestem tu, bo tu mogę ją widywać. To żadna tajemnica. To, że tu jestem, także nie jest tajemnicą. Jestem pewna, że kiedy już postanowiłeś mnie odnaleźć, nie miałeś z tym żadnego problemu.

- Nie sądziłem, że kiedykolwiek będę musiał cię szukać.

- Namierzyć mnie, to chciałeś powiedzieć. Uważasz, że najpierw powinnam była skonsultować się z tobą?

- To byłoby miłe.

- Ze względu na ciebie, Jack.

- I ze względu na Beth.

- Nigdy nie zrobiłabym niczego, co mogłoby ją skrzywdzić. Nie wierzysz w to, prawda? Nie potrafisz w to uwierzyć, biorąc pod uwagę to, co zrobiłam.

- Trudno mi uwierzyć, że w ogóle chcesz ją widywać.

- Mogę ci coś powiedzieć, Jack? Wysłuchasz mnie? Spróbujesz?

- Spróbuję.

- Usiądź, proszę.

W pokoju była tylko kanapa, na której sypiała Helen, i dwa krzesła.

Jack usiadł na jednym z nich.

Helen wolała stać. Chciała wydawać się wyższa, niż naprawdę była, tak wysoka, jak to tylko możliwe, kiedy będzie wyjaśniała ojcu swojej córki, dlaczego zawsze czuła się taka mała.

- Może przypominasz sobie, jak ci powiedziałam, że byłam najstarsza z pięciorga dzieci. Mieliśmy bardzo mało pieniędzy. Moi rodzice pracowali nocami. W ten sposób zarabiali więcej. Ale i tak pieniędzy nie starczało. To, czego moi rodzice nie wydali na narkotyki, wydawali wtedy, kiedy byli pod wpływem narkotyków. To ja musiałam zajmować się młodszym rodzeństwem, kiedy oni byli na haju, i to ja musiałam pilnować, żeby w domu było cicho w dzień, kiedy spali. Ale... byłam do niczego. Nie radziłam sobie z dziećmi. Nie umiałam dać im poczucia bezpieczeństwa, nie umiałam ich niczym na dłużej zająć, a kiedy zaczynały płakać, nie potrafiłam ich uspokoić. W rezultacie rodzice nas karali, wszystkich. Nawet te najmłodsze.

- Karali was - powtórzył Jack spokojnie, ale w środku wszystko się w nim gotowało. - Bili?

- Bili. Ciągle. Krzyczeli, klęli, głodzili. To była moja wina. Ja ponosiłam za to odpowiedzialność. Gdyby tylko mnie karali... Ale tak nie było, a dzieci były wtedy takie małe. Nie rozumiały, o co chodzi, płakały coraz głośniej, a ja nie potrafiłam ich uspokoić.

- Bez względu na to, jak bardzo prosiłaś.

- Tak. Skąd wiesz?

- Tamtego dnia prosiłaś Beth, żeby przestała płakać, błagałaś ją.



- Tamtego dnia. - Helen wzięła głęboki oddech, jakby powietrze mogło dodać jej odwagi. Ale żadna ilość powietrza nie mogła rozjaśnić ponurych wspomnień. Delikatne ciało Helen zdawało się uginać pod ich brzemieniem. - Beth zaczęła płakać jakieś dwadzieścia minut po twoim wyjściu. Poszłam do niej natychmiast, dotknęłam jej i zaczęłam do niej przemawiać tak uspokajająco, jak ty to robiłeś. Ale byłam spięta, sztywna, a ona wyczuła mój strach. Myślę, że w moim głosie słyszała strach, i nic więcej. Przez to ona także zaczęła się bać. Zdenerwowałam ją. Zaczęła zanosić się od płaczu, krzyczała coraz głośniejsze, tak samo, jak kiedyś moi bracia i siostry. Tak przy okazji, oni mnie nienawidzą. Za to, że nie potrafiłam ich obronić. I wszyscy powtarzają wzorce z naszego domu w swoich rodzinach. Stosują przemoc wobec własnych dzieci.

- Ale ty tego nie zrobiłaś.

- Nie? Krzyczałam na nią, Jack. Nie umiem sobie tego wybaczyć i nie spodziewam się, że ty mi to wybaczysz. Ani ona. Opowiadałam ci o moim dzieciństwie, żebyś zrozumiał, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam. Ale to, co przeżyłam jako dziecko, nie usprawiedliwia, nigdy nie usprawiedliwi tego, co wyrządziłam własnej córce.

To, co zrobiłam. Helen mówiła o tym, co zrobiła, jak o najgorszej zbrodni. Ale co właściwie zrobiła młoda matka, jaką wtedy była Helen, zastanawiał się Jack. Próbowала uspokoić płaczące dziecko. Kiedy jej dotyk wywołał efekt przeciwny do zamierzonego, Uciekła w najdalszy *kąt* pokoju, skuliła się tam i krzyczała na swoje własne demony, nie na swoją małą córeczkę.

- Powinienem był dać ci jeszcze jedną szansę.

- Nie chciałam jeszcze jednej szansy, Jack. A nawet gdybym chciała, ty nie powinienesz mi jej dać. I myślę, że byś mi jej nie dał. Twoim obowiązkiem było chronić nasze dziecko. Wtedy nie mogłam cię zapewnić, że nigdy nie skrzywdzę Beth tak, jak mnie skrzywdzili moi rodzice. Tego najbardziej się bałam. Że zareaguję tak jak oni. Nie chciałam tego. Obiecałam sobie, że nigdy niczego takiego nie zrobię. Ale płacz Beth, płacz dziecka, tak mnie przeraził, wywołał w moim umyśle taki chaos, że straciłam nad sobą panowanie. Nie skrzywdziłabym jej jednak. Teraz mogę to stwierdzić z całkowitą pewnością.

- Więc co byś zrobiła?

- Skrzywdziłabym siebie samą. Jack spojrział na porzuconą harfę i zdał sobie sprawę, że tak długo, jak Helen nie dotknie jej strun, w pokoju będzie panowała cisza. Helen nie miała radia ani telewizora. Ani zestawu stereo czy DVD. Cisza. I okryta płótnem harfa. I książka na nocnym stoliku. Romans.

- I tak się skrzywdziłaś.

- Nie, Jack, ja się ocalałam.

- Rezygnując z koncertów?

- Tak. I przenosząc się do San Francisco. I ucząc gry na fortepianie. I... widując Beth.

- Z okien mieszkania?

- Od września, tak. Przedtem mieszkałam jakieś cztery kilometry stąd.

- I widywałeś ją...

- Na koncertach. Ona ma takie wyczucie muzyki. Chodziłam też na otwarte dla publiczności popisy do szkoły. I na konkursy tańca, w których brała udział Dina. I na zawody pływackie Larry'ego.

- Skąd wiesz o Dinie i Larrym?

- Zamówiłam kopie szkolnych roczników. Na długo przed tym, jak zamieszkałam w tym mieście. Chciałam tylko zobaczyć zdjęcia Beth. Później, kiedy tu przyjechałam, zobaczyłam też jej przyjaciół.

- I mnie.

- I ciebie. Samą, bez ciebie, widywałam ją tylko z okna tego mieszkania.

- Ale mogłaś ją widywać samą.

- Ale jej nie widywałam. Doszłam do wniosku, że nie powinnam.

- Chciałem przez to powiedzieć, Helen, że to było możliwe. Mogłaś się z nią spotkać, rozmawiać z nią, skrzywdzić ją.

- Ale...

- Nie zrobiłaś tego - dokończył Jack. Tak, czuł, że tego nie zrobi. Prędzej skrzywdzi samą siebie. - A chciałabyś się z nią spotkać? Poznać ją? Myślałaś o tym?

- Cały czas o tym myślę. I zawsze dochodzę do tego samego wniosku. To nie powinno się zdarzyć. Byłoby to bardzo egoistyczne z mojej strony i nie w porządku wobec niej.

- A gdyby ona chciała się z tobą spotkać?

Smutne zmęczone oczy rozbłysły nadzieją. Ale zaraz potem pociemniały i wydały się jeszcze smutniejsze i bardziej zmęczone.

- Spotkać się z matką, która na nią krzyczała, porzuciła ją i nawet nie obejrzała się za siebie?

- Ona nie wie, że na nią krzyczałaś, Helen. A gdybym powiedział jej, że ją porzuciłaś, nie oglądając się za siebie, skłamałbym.

- Więc co jej powiedziałaś?

- Jak masz na imię. Jak się poznaliśmy. Że jesteś muzykiem, tak jak ona, i że grasz na harfie. I że kiedy nasze małżeństwo się rozpadło, to ja miałem więcej szczęścia, bo ona została

przy mnie.

- Więc ona nie czuje do mnie nienawiści?

- Nie.

- Dziękuję - wyszeptała Helen.

- Zrobiłem to dla niej, nie dla ciebie.

- Wiem. Mimo to dziękuję.

- Uczysz grać na fortepianie dzieci?

- Uczę każdego, kto tego chce. Głównie dzieci. Nawet czterolatki. I jestem w tym dobra, Jack. Wiem, że na nic nie zareaguję gwałtownie. Pracowałam nad sobą. Jestem spokojna. Zadowolona. Czuję się tu bardzo dobrze. - Helen wzięła głęboki oddech. - Ale ty czujesz się z tym źle, prawda?

- Czuję się z tym lepiej teraz, niż kiedy tu szedłem. Ale jeszcze nie całkiem dobrze.

- Wyjadę, Jack, jeśli tego zechcesz. Nie chcę, żebyś się martwił, że zrobię kiedyś to, o czym ci powiedziałam, że nie zrobię. Że się z nią spotkam. Że będę z nią rozmawiała. Nawet że będę tam, gdzie ciebie przy niej nie będzie. Wiem, że mogę sobie ufać. Ale nie ma powodu, żebyś ty ufał mnie. Zanim jednak podejmiesz decyzję, zrób coś dla mnie, proszę.

- Co takiego?

- Porozmawiaj o tym z kobietą, z którą byłeś na basenie.

- Wiesz, kto to jest?

- Nie. I nie mam zamiaru się dowiadywać.

- Dlaczego chcesz, żebym z nią o tym rozmawiał?

- Bo to oczywiste, ile ona dla ciebie znaczy i ile ty znaczysz dla niej. Jeśli ona uzna, że powinnam wyjechać, wyjadę.

## Rozdział 30

- Pani Forrester jest ciągle na sali operacyjnej - powiedziała Alice, kiedy zadzwonił Jack. - Co, jak sędzę, wszyscy uważają za dobry znak. Połączyć pana z Paige?

- Tak, proszę.

Paige znalazła się na linii w ciągu kilku sekund.

- Cześć. Jak poszło?

- Zdumiewająco dobrze - odparł Jack. - Bardzo mądrze ze strony pani doktor, że mnie

tam pani wysłała.

- Rozumiem więc, że nie będziesz rozmawiał ze Stuartem na temat prawnych rozwiązań tej sytuacji?

- Nie, nie będę. Mam też zamiar odwołać spotkanie z dyrektorką szkoły. Słyszałem - dodał miękko - że operacja trwa.

- Tak, a Cole już skontaktował się z odpowiednimi specjalistami, którzy będą się nią zajmowali na oddziale intensywnej terapii.

- To brzmi obiecująco.

- Owszem, Jack.

Usłyszał w jej głosie napięcie, troskę, lęk. Ciche błaganie.

- A jak ty się czujesz?

- Cudownie... i płaczliwie.

Jack słyszał te łzy. A potem także zdecydowane pociągnięcie nosem, po którym nastąpiła cisza. Jakby Paige nie potrafiła jednak opanować płaczu.

- Wiesz, czasem trzeba sobie popłakać. Paige roześmiała się przez łzy.

- Ja raczej nie mam innego wyjścia.

- Naprawdę, Paige.

- Ale... - Znowu pociągnęła nosem i zaśmiała się. - Muszę to powiedzieć. Jestem wam taka wdzięczna. Tobie i Stuartowi. Za to, że ją znaleźliście, i za to, że tak szybko udało wam się ją przewieźć do szpitala. Uratowałeś jej życie, Jack. Uratowałeś życie mojej matce.

I mnie.

- Paige, ja... - Urwał. Jego też coś ścisnęło w gardle. - Myślę, że to głównie zasługa Cole'a.

- Ale to wy daliście mu szansę. - Teraz w jej głosie był już tylko uśmiech. Powstrzymała łzy.

Jack także opanował emocje.

- Cole nie będzie się nią zajmował po operacji?

- Będzie, ale tylko pod względem chirurgicznym. Nie mam też wątpliwości, że będzie informowany o jej stanie przez swoich konsultantów. Ale pacjent po operacji wymaga całodobowej opieki. Cole nie może jednocześnie zajmować się pacjentami i operować.

- Więc to dobrze, że sprowadził konsultantów?

- Och, tak. Tak właśnie powinno być. To najlepsze dla wszystkich. Gdzie jesteś?

- Zaparkowałem w bocznej uliczce koło domu Helen. To najważniejsza zasada bezpiecznej jazdy samochodem, o której ci mówiłem. Rozmawiam przez telefon tylko wtedy,

kiedy stoję. Zadzwoń jeszcze do paru osób i przyjadę do ciebie.

- Dobrze.

Teraz Jack usłyszał w jej głosie ulgę. Paige chciała, żeby już z nią był, czuł to, choć tak bardzo starała się to ukryć.

- Paige?

- Tak?

- To dobrze, że za mną tęsknisz. Paige roześmiała się.

- Naprawdę?

- Oczywiście.

- W takim razie tęsknię za tobą.

- A ja za tobą. I kocham cię, Paige.

- A ja ciebie...

Jack bardzo chciał być już z Paige, nie ruszył się jednak z miejsca dopóki nie odbył rozmowy ze swoim brygadzystą, Kyle'em. Rozmawiał, z nim już wcześniej, kiedy Paige spała jeszcze na oddziale dializowania, i wydał mu wtedy bardzo szczególne polecenia.

Kyle miał usunąć zaplamiony krwią fragment wykładziny w sypialni Claire i przykryć powstałą w ten sposób dziurę jednym z dywaników, których wiele było w domu. Miał to zrobić jak najszybciej. Jack sądził wówczas, że Claire nie przeżyje operacji i Paige wraz z innymi przyjdzie do domu opłakiwać zmarłą.

Teraz zadanie to nie było już takie pilne. Jack był jednak pewny, że już dawno zostało wykonane. Niczego innego nie spodziewał się po Kyle'u i jego załodze.

Kyle poinformował go jednak, że plama krwi na dywanie nie została usunięta.

- Dlaczego?

- Nie możemy, Gwen nie pozwala.

- Gwen?

- Przyjaciółka Paige.

- Przyjaciółka Paige nie pozwala wam usunąć krwi?

- Tak. I nie pozwala nam nawet zbliżyć się do tej plamy. Zachowuje się tak, jakby strzegła sypialni. Powiedziała, że niczego nie wolno tam ruszać do czasu, aż pani Forrester nie wróci ze szpitala. Tak przy okazji, ta Gwen to piękna dziewczyna - dodał Kyle. - Szkoda, że taka dziwna.

Jack wszedł do gabinetu Paige w chwili, kiedy Cole mówił właśnie Paige, Stuartowi i

Mariel, że Claire została już przewieziona z sali operacyjnej na blok pooperacyjny.

- Dziękuję - powiedziała Paige. Cole pokręcił głową.
- Podziękuj swojej matce, Paige. Umie walczyć jak lew.
- O tak, umie. I będzie jeszcze musiała walczyć, prawda?
- Tak, obawiam się, że tak. Jeszcze przez jakiś czas.
- Co tam znalazłeś?
- Wrzód - odparł Cole. - Wyglądał na łagodny, ale i tak wzięliśmy próbkę do badania.

To jest tylko wrzód. To znaczy, był.

- Duży?
- Dość duży, Paige. Musiała go mieć od jakiegoś czasu. Krwawił. Zrobiliśmy płukanie otrzewnej. Zostawiłem kilka drenów, no i oczywiście twoja matka dostaje też odpowiedni zestaw antybiotyków. Niewykluczone jednak, że pozostałości zatrucia gastrycznego trzeba będzie usuwać chirurgicznie. To oczywiście tylko drobne zabiegi w porównaniu z operacją, jaką przeprowadziliśmy dzisiaj. Musiałem też wyciąć trochę tkanki, były tam obszary nekrotyczne, których wolałem nie zostawiać. Na razie trzustka pracuje bez zarzutu. Poziom glukozy w normie. Poprosiłem jednak endokrynologa, żeby przez parę dni miał na nią oko.

- A płuca? - spytała Paige. - Pielęgniarka z Ósmego Północnego słyszała, że wzywałeś pulmonologa.

- Miała w płucach trochę krwi. - Cole nie tłumaczył, jak i kiedy krew mogła dostać się do płuc Claire. Nie było to coś, co chciałby tłumaczyć, chyba że Jack, Mariel czy Stuart by go o to poprosili. Paige nie musiał tego tłumaczyć. Krew z pewnością dostała się do płuc, kiedy Claire wymiotowała. Kiedy straciła przytomność, jej drogi oddechowe stanęły otworem dla szukającej ujścia krwi. - Teraz wszystko jest w porządku, jej stan jest stabilny, ale powinna zostać zaintubowana przez całą noc.

- Możemy ją zobaczyć? - spytał Stuart.

- Oczywiście. Teraz trzeba ją zainstalować na bloku pooperacyjnym, co zajmie jeszcze trochę czasu. Ale później... tak, oczywiście.

- I porozmawiać z nią? - zapytała Mariel.

Cole zawahał się.

- Później. Wiem, że wszyscy chcecie zaoferować jej wsparcie, wolałbym jednak, żebyście zaczekali, aż sama zacznie się budzić. Teraz śpi naprawdę głęboko, narkoza nie przestała jeszcze działać, i jest bardzo spokojna. Im mniej straci teraz energii, tym więcej będzie jej miała później.

Cole urwał, jakby czekał na dalsze pytania. Sam nie chciał omawiać kwestii

specjalistów, ani tych, z którymi się konsultował, ani tych, z którymi się nie konsultował. Przede wszystkim nie było potrzeby wzywania nefrologa. Tego samego, który leczył Paige. Nerki Claire, w przeciwieństwie do nerek jej córki, były całkiem zdrowe. Były marzeniem każdego transplantologa.

Dalszych pytań nie było, więc Cole zwrócił się do Paige:

- Gdzie jest Gwen?

- Gwen? - powtórzyła. - Nie mam pojęcia. Nie ma powodu, żeby była tutaj.

- Ale była - powiedział Stuart. - Byliśmy razem na dole w poczekalni. Kiedy pielęgniarka zaproponowała, żebyśmy przenieśli się do twojego gabinetu, Gwen powiedziała, że pójdzie przodem, a ja się przebiorę i spotkamy się na górze. Kiedy jej tu nie zastałem, pomyślałem po prostu, że wolą czekać gdzie indziej.

- Ale dlaczego - spytała Paige - Gwen w ogóle była w szpitalu?

- To ja poprosiłem pielęgniarkę, żeby do niej zadzwoniła - odparł Cole. - Nie mogliśmy cię znaleźć, a ja pomyślałem, że może Gwen wie, gdzie jesteś.

- Nie rozumiem, dlaczego.

- Odniosłem wrażenie, że jesteście sobie bardzo bliskie.

- Och. No cóż... W sobotę rzeczywiście mogłeś odnieść takie wrażenie. Prawda jednak jest taka, że poznałyśmy się niedawno. Gwen zna wnuczkę Luise i była tak miła, że zgodziła się zrobić jej makijaż.

- Ale nie jesteście przyjaciółkami?

- Lubię Gwen. Bardzo. I nie mam nic przeciw temu, że przyszła do szpitala. To miło z twojej strony, Cole, że pomyślałeś, żeby do niej zadzwonić. Tylko że my się tak dobrze nie znamy.

- Może ktoś powinien powiedzieć to tej Gwen - odezwała się Mariel. - Weszła do domu Claire jak do siebie.

- Powiedziałam jej, żeby wpadła, kiedy tylko będzie miała ochotę. Tak jak to robi wiele innych osób.

- Ale dziś rano, Paige? Kiedy Claire była już na stole operacyjnym? O czym Gwen dobrze wiedziała. To ona mnie o tym poinformowała.

- Nie wiem, po co tam dzisiaj poszła - powiedziała Paige. - Ale...

- A ja wiem - przerwała jej Mariel. - Znam wiele powodów. Bizuteria Rosalind. Sejf pełen gotówki. Dwa płótna Chagalle'a, trzy Degasa...

- Gwen nie jest złodziejką!

- Skąd wiesz, Paige? Sama powiedziałaś, że prawie jej nie znasz.

- Tak, ale... ona nie jest złodziejką. To wiem na pewno. I na pewno jest jakieś logiczne wytłumaczenie tego, że tam poszła.

- Na przykład jakie?

Na to pytanie odpowiedział Stuart.

- Gwen słyszała, jak Cole pytał mnie o agorafobię Claire.

- Więc wszystko jasne - stwierdziła Paige. - To w stylu Gwen. Wiedząc, że mama będzie się czuła nieswojo, kiedy się obudzi, postanowiła przynieść jej kilka osobistych drobiazgów z domu. To ja powinnam była o tym pomyśleć. Gwen jest teraz pewnie u mamy. Pójdę i sprawdzę. - Uśmiechnęła się do Jacka. -? Może wszyscy powinniśmy pójść. Chyba już czas. Na pewno już została tam zainstalowana.

- Może pójdziesz z Mariel przodem?

- Jack?

Jack uśmiechnął się łagodnie do zaniepokojonej nagle Paige. Będzie za nią tęsknił, rozpaczliwie, ale...

- Muszę omówić coś ze Stuartem. I jeśli to możliwe, także z Gole'em. To nie wielkiego. Potrzebuję tylko męskiej porady.

Kiedy Paige i Mariel wyszły, Jack cicho zamknął drzwi gabinetu.

- Gwen, kimkolwiek jest, była w domu Claire jeszcze dwadzieścia minut temu. Rozmawiałem z jednym z moich pracowników.

- Dwadzieścia minut - powtórzył Stuart i spojrzał na zegarek. - A Mariel musiała się tam z nią spotkać tuż przed ósmą. To prawie cztery godziny. Musiała wyjść, a potem wrócić.

- Nie - powiedział Jack. - Była tam przez cały czas. W sypialni Claire. Kyle powiedział mi, że zdawała się jej strzec. Nie pozwoliła im usunąć zakrwawionego fragmentu wykładziny.

- Musimy z nią porozmawiać. - Stuart spojrzał na Jacka, a potem na Cole'a. - Jak dobrze ją znasz?

- Niezbyt dobrze. - Ale dość, by chcieć spędzić z nią resztę życia. - Ale chętnie pójde z wami. - Dobrze. - Najpierw jeszcze zajrzę do Claire.

- Zaczekamy, Cole. Tak długo, jak będzie trzeba.

Człowiek, który spędził ostatnie dwadzieścia lat, doszukując się we wszystkim oszustw i kłamstw, chciał przede wszystkim pojąć, jak ktoś taki jak on mógł dać się tak beznadziejnie wyprowadzić w pole Gweneth Angelice St. James.

Oczywiście, nietrudno było to pojąć. Wystarczyło spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że on, Cole Ransom, dał się jej najpierw beznadziejnie uwieść.



## Rozdział 31

Gwen klęczała na podłodze przy wielkiej plamie jak rozbitek wyrzucony na brzeg krwawego morza. Nie pozwoliła nikomu z ekipy remontowej jej usunąć. Prawą ręką dotykała plamy, gładziła ją lekko, z czułością. Lewa ręka, zaciśnięta w pięść, leżała beczynn timer na kolanach.

Wszyscy trzej mężczyźni, stojący w drzwiach sypialni, widzieli jej ręce. Ale żaden z nich nie widział jej twarzy, zakrytej potarganymi przez wiatr włosami.

Jack i Stuart zastanawiali się, czy klęcząca przed nimi kobieta nie jest przypadkiem obłąkana. I gdyby Cole nie dał im znaku, by nie ruszali się z miejsca, obaj podeszliby do niej, chcąc jej pomóc.

Ale to Cole podszedł i ukląkł obok niej.

- Gwen?

Drgnęła na dźwięk jego głosu. W pokoju od tak dawna panowała cisza. Ekipa Jacka wyszła kilka godzin temu. Kilka godzin temu przestał też dzwonić telefon.

Wiadomość o tym, co stało się Claire Forrester, rozniosła się już wśród jej przyjaciół.

Później zadzwoniła tylko jedna osoba, która wyraźnie nie mogła w to uwierzyć.

„Podnieś słuchawkę, Claire! Och, to nie może być prawda. Odezwij się, proszę...”

I znowu cisza.

A teraz ten głos. Łagodny. Ciepły.

Pełen troski.

Ale tego człowieka nie byłoby tu teraz, gdyby dziś jego sztuka, jego magia, okazała się niewystarczająca.

Gwen oderwała wzrok od podłogi i spojrzała w zatroskane szare oczy.

- Och, nie, nie, Cole. Nie. Ale... to nie...

- Ona żyje, Gwen.

- ...twoja wina! Ty zrobiłeś wszystko... Żyje?

Cole był tak zaskoczony, że w pierwszej chwili był w stanie tylko skinąć głową. Mimo rozpacz i smutku, żaloby, w jakiej była pogrążona, natychmiast zaczęła go pocieszać. To nie jego wina. Zrobił wszystko, co było w jego mocy. Wierzyła w niego. Ufała mu.

- Żyje.

- Ale ty jesteś tutaj...

- Bo operacja już się skończyła i Claire jest teraz pod opieką najlepszych specjalistów na świecie. Gdyby coś się stało, natychmiast mnie o tym powiadomią.

- Czy Jack odszukał Paige?

- Tak. Paige jest teraz u matki.

- To dobrze - wyszeptała Gwen. - Cole?

- Gwen?

- Dziękuję.

Uśmiechnął się, patrząc na jej zalaną łzami twarz.

- Proszę bardzo.

Dla ciebie wszystko, Gwen St. James, kimkolwiek jesteś. Ale Cole wiedział, kim ona jest, wiedział wszystko, co miało znaczenie. Była kobietą, której pozwolił się beznadziejnie uwieść i w której się beznadziejnie zakochał.

I która z jakiegoś powodu siedziała od kilku godzin nad kałużą krwi, z jedną dłonią zaciśniętą w pięść, drugą gładząc czerwoną plamę.

Cole wyciągnął do niej rękę, łagodnym powolnym ruchem, od którego, gdyby tego chciała, mogło zacząć się ich „na zawsze”. Był to gest, z jakim dżentelmen pyta, czy wybrana przez niego dama zechce z nim zatańczyć.

Wystarczyłoby, żeby oderwała dłoń od krwawej plamy.

Patrzyła zdumiona na jego dłoń, jakby sądziła, że to tylko miraż, który zaraz zniknie.

Ale ta dłoń była tam nadal, pewna i silna, nawet wtedy, kiedy jej drobna ręka o ubrudzonych krwią palcach zbliżyła się do niej. Jej ręka znalazła swój dom w jego dłoni.

- Cześć - wyszeptał.

- Cześć.

- Pomyślałem, że moglibyśmy porozmawiać. Taki mieliśmy na dzisiaj plan, prawda?

- Tak. Och... -Och?

- Mieliśmy wyjechać dzisiaj o siódmej. O siódmej, nie o ósmej. Ale wydawało ci się, że jestem zmęczona i powinnam się wyspać. Gdybyśmy jednak wyjechali o siódmej, gdybyś ty wyjechał o siódmej...

- Nie jestem jedynym chirurgiem na tej planecie - rzucił Cole lekko. Ale jej oczy były poważne. Przeczyły temu, co powiedział. Dziko, namiętnie. Ta Gwen była dzika. I taka krucha. I wyczerpana swoim tajemniczym czuwaniem przy łóżku Claire Forrester. - Dobrze spałaś?

- Nie, nie bardzo.

- Ja też nie. Nie mogłem spać, bo myślałem o tym, że cały dzień spędzimy razem.

- Tak jak ja.

- Nadal o tym myślę.

- Ale nie możemy... to znaczy ty nie możesz... chyba nie powinieneś oddalać się zbyt od szpitala?

- Nie oddalam się, Gwen. Szpital jest dwa kroki stąd. - Możemy zacząć nasz dzień, nasze wspólne życie, tutaj, natychmiast. W pierwszej chwili pomyślał, że powinien znaleźć jej zaraz jakieś łóżko, otulić ją ciepło i dać jej się przespać. Jeśli byłaby w stanie zasnąć. Jedno spojrzenie na drżące zakrwawione palce, które trzymał w dłoni, i jej drugą rękę, mocno zaciśniętą w pięść, wystarczyły, by zrozumiał, że Gwen nie zaśnie. Dotknął tej drugiej, zaciśniętej dłoni, która pod jego dotykiem otworzyła się, ukazując skrywaną wewnątrz nagrodę. Nie, ona nie jest szalona, pomyślał Cole, bez względu na to, jak się zachowuje. Nie jest też złodziejką, o co posądzała ją Mariel. Mimo że w jej dłoni spoczywała złota obrączka.

- Co to jest?

- Obrączka mojej matki.

Nie jest szalona, powtórzył w myślach Cole. A jeśli jest? Chciał zacząć z nią wspólne życie, tutaj, natychmiast.

- Och?

- Zostawiła ją tutaj. Na stoliku koło łóżka.

- Rozumiem. A ty ją znalazłaś.

- Tak. I trzymałam ją na szczęście przez całą operację. Będzie chciała ją teraz mieć. Możesz jej ją oddać?

- Oczywiście - powiedział Cole łagodnie. - Ale...

- Tak?

- Czy to nie jest przypadkiem obrączka Claire Forrester?

Cole spodziewał się zagubienia, dezorientacji, szaleństwa, ale Gwen spojrzała na niego całkiem przytomnie i uśmiechnęła się promiennie.

- Ona jest moją matką, Cole. Właśnie to chciałam ci dzisiaj powiedzieć. Ona jest moją matką, a Paige jest moją siostrą bliźniaczką.

- Cole? Gwen? - odezwał się stojący w drzwiach Stuart.

- Och! Nie wiedziałam... Słyszałeś?

- Tak. Ale chętnie usłyszałbym więcej, Gwen, jeśli zechcesz mi powiedzieć.

- Ja także. Jestem Jack.

- Ojciec Beth - stwierdziła Gwen. - Ona ma twoje oczy.

- Tak, jestem ojcem Beth.

- I... przyjacielem Paige.

Człowiekiem, którego kocha moja siostra.

Jack spojrzał na nią tak, że Gwen zaczęła się zastanawiać, czy on czyta w jej myślach. Kiedy się odezwał, zrozumiała, że tak jest.

- I... przyjacielem Paige.

- Nie musisz mówić nam nic więcej, Gwen. - Głos prawnika rodziny Forresterów nie brzmiał wcale jak głos prawnika. Tak jak w szpitalnej poczekalni, tak i tu był po prostu mężczyzną, któremu bardzo zależało na Claire. I na Paige. A wydawało się, że w tej chwili zależy mu także na Gwen.

- Chcę wam to powiedzieć. Obu. Wejdźcie, proszę.

Oni także usiedli na dywanie. I słuchali w milczeniu tego, co Gwen miała do powiedzenia na temat pierwszych trzydziestu czterech godzin swojego życia, od narodzin na miejscu wypadku, aż do burzliwej nocy, kiedy turystka z Iowa zostawiła ją w kochających ramionach siostry Mary Catherine.

- Dopiero niedawno się o tym dowiedziałam. Poznałam Paige, zanim to się stało. Mam raport detektywa i dokumenty, które udało mu się odszukać. Możecie je zobaczyć. Jestem pewna, że i tak będziecie chcieli, żebym poddała się testom DNA. To zrozumiałe. Takie sprawy wymagają potwierdzenia. Ale ja wiem, że to, co wam powiedziałam, jest prawdą.

Do diabła z DNA, pomyślał Stuart, zupełnie nie jak prawnik. Wierzył Gwen w stu procentach.

- Ale skąd wiesz, Gwen?

- Pokażę wam.

Gwen zaprowadziła ich do wnęki, gdzie na ekranie monitora znowu tańczyła swawolna owieczka. Tym razem jednak Gwen nie przerwała jej tańca w pół skoku, ale zaczekała, aż owieczka sama zniknie z ekranu.

Wtedy dotknęła myszki.

Tapeta na ekranie była fotografią rodziny McKenzie, przerobioną na pocztówkę. WESOŁYCH ŚWIĄT - głosił zielony napis po prawej stronie, a poniżej czerwonymi literami dopisano: RODZINA MCKENZIE, BOŻE NARODZENIE 1970.

Było ich dziewięcioro i z wyjątkiem jednej osoby, nastoletniej Claire, wszyscy byli uderzająco podobni do Gwen.

Zwłaszcza siostry Claire. Wszystkie trzy mogłyby być bliźniaczymi siostrami Gweneth St. James.

- Oryginał jest tu - mruknęła Gwen. - W skanerze.

Nikt nie wyciągnął po niego ręki. Obraz na ekranie był najlepszym dowodem na pochodzenie Gwen. Była to zdumiewająca ilustracja jej DNA.

- Nie rozumiem, jak... - zaczął Stuart drżącym głosem, patrząc na Gwen tak, jak mógłby na nią patrzeć ojciec...

- Ale ja rozumiem - powiedziała Gwen. - To właściwie całkiem zrozumiałe, kiedy się pomyśli, przez co przeszła i jak ciężko musiało jej być. Śmierć męża, rozpacz, strach, ból. To bardzo trudna sytuacja, a do tego dochodzi jeszcze oszołomienie spowodowane narkozą i ciężki poród... Mimo to pojechała do Carmel, żeby mnie stamtąd zabrać i przywieźć do Monterey. Jestem pewna, że to właśnie chciała zrobić. Ale kiedy zobaczyła znamię na mojej twarzy... to było już po prostu za dużo. Jeden cios za wiele. Wpadła w panikę. Nie wiedziała, co robi, nie zdawała sobie sprawy z konsekwencji...

Namiętna przemowa Gwen w obronie matki nie przekonała Stuarta Dawsona. Pokręcił głową.

- Gdybyś zobaczył to znamię, zrozumiałbyś, dlaczego to zrobiła. Właściwie czemu nie miałabym ci go pokazać?

- Nie muszę oglądać twojego znamienia, Gwen. Domyślam się, że Paige nic o tym wszystkim nie wie?

- Nie, nie wie. I postanowiłam, że nigdy nie powinna się dowiedzieć. Ale to było, kiedy sądziłam, że matka pozbyła się mnie bez cienia skrupułów.

- Czyli, krótko mówiąc, dobrze wiedziała, co robi.

- Tak. Sądziłam, że pamiętała, gdzie mnie zostawiła, mogła więc po mnie wrócić, gdyby tylko chciała. Wydawało mi się, że będzie lepiej, jeśli Paige nie pozna nigdy takiej prawdy o swojej matce.

- Ale potem zmieniłaś zdanie...

- Cóż, tak. A jeśli była tak zdezorientowana, że naprawdę nie miała pojęcia... Ale ty w to nie wierzysz, prawda? Myślisz, że Claire Forrester po prostu nie chciała swojej oszpeconej córki i dlatego się jej pozbyła. - Kilka godzin temu twarz Stuarta Dawsona była ubrudzona krwią jej matki. Teraz był tak blady, jakby w jego twarzy nie było ani kropli jego własnej krwi. Wtedy dręczyła go myśl, że Claire może umrzeć. Teraz zabijała go inna myśl, że kobieta, którą kocha, mogła zrobić coś takiego własnemu dziecku.

- Sam nie wiem, co myśleć, Gwen. - Prawnik miał przed nosem fakty przedstawione przez Gwen i coś jeszcze, o czym Gwen nie mogła wiedzieć: niewyraźne wspomnienie Claire, o którym mu opowiedziała. Wspomnienie, jak szła w deszczu i czegoś szukała. To mogłoby potwierdzić hipotezę Gwen, zgodnie z którą to, co zrobiła Claire, ma logiczne wytłumaczenie.

Dlaczego więc Stuart nie był w stanie przyjąć tego scenariusza? Bo jego serce nie mogło uwierzyć, że Claire Forrester, zdrowa na umyśle czy szalona, mogłaby porzucić własne dziecko.

## Rozdział 32

- Nie powiemy Paige - postanowiła Gwen. - Nie dzisiaj, a może nigdy.

- To nie w porządku - odparł Stuart. - Wobec ciebie.

- Nie przeszkadza mi to. Naprawdę.

- Widzę - powiedział łagodnie wujek Stuart.

- Dowiesz się prawdy, dobrze? Prawdy o tym, co wydarzyło się tamtej nocy. - Dowiesz się, czy Claire z zimną krwią pozbyła się dziecka z czerwono-fioletowym policzkiem, w co ty i siostra Mary Catherine zdajecie się wierzyć. - Porozmawiasz z...

- Twoją matką.

- Z moją matką. - Te słowa nie brzmiały już tak cudownie jak przedtem. - Kiedy już będzie mogła rozmawiać.

- Porozmawiam z nią, Gwen, obiecuję. Porozmawiam też z Mariel. To ona była z Claire w ciągu tych pierwszych dwóch dni w Monterey.

- A ciebie tam nie było?

- Nie. Ja przyjechałem dopiero trzeciego dnia rano. - Dwanaście godzin po tym, jak zostałaś porzucona. A co takiego powiedziała mu Claire o swoim zamglonym wspomnieniu? Że cokolwiek się stało, stało się tej pierwszej czy drugiej nocy przed jego powrotem. Powiedziała mu, że jest tego pewna, bo w swoim wspomnieniu jest bardzo samotna, a nie byłaby samotna, gdyby on z nią był. Och, Claire, ta prawda będzie bardzo bolesna, może cię nawet złamać..

- Dowiem się, Gwen.

- Dziękuję...

Gwen urwała i serce na moment przestało jej bić, kiedy odezwał się pager Cole'a.

- Każdy specjalista musi mi mówić wszystko, co przychodzi mu do głowy - wyjaśnił Cole, spokojnie podchodząc do telefonu. Wystukał numer dyżurki pielęgniarek na bloku pooperacyjnym. - Jen? Tu Cole. Byłem... Dobrze. Tak, chcę wiedzieć... Dobrze. Dobrze... Trzydzieści osiem? Zgadza się. Ciągłe śpi? Świetnie... Och? Chciałbym to zobaczyć. Będę tam za jakieś dwadzieścia minut. - Odłożył słuchawkę. - W porządku. Jej stan jest stabilny.

- Ale powiedziałaś, że musisz coś zobaczyć.

-Nie, powiedziałem, że chcę coś zobaczyć. - Cole uśmiechnął się do Gwen. - Wyniki jednego z rutynowych pooperacyjnych badań. Z Claire wszystko w porządku. Powiedziałbym wam, gdyby tak nie było.

Wyszli razem, pięć minut później. Gwen mogła zostać w domu, ale powiedziała cicho, że już czas, by wróciła do swojego mieszkania w Belvedere Court.

Powiedziała też Kyle'owi, z przepraszającym uśmiechem, że porzuca swoje stanowisko w sypialni i nie będzie już przeszkadzała w usuwaniu plamy.

Nie biegli w stronę szpitala, ale szli spokojnie, spacerem.

Deszcz przestał padać, wiatr rozwiął chmury. W ciszy, która nastąpiła po burzy, wody zatoki niczym lustro odbijały szafir nieba.

Było pogodne popołudnie, niezwykle, jak na listopad.

- Jesteś pewna, że nie chcesz pójść z nami? - Spytał Stuart, kiedy doszli do skrzyżowania, na którym powinni się rozejść.

- Całkowicie. Na nic się nie przydam w szpitalu. Gwen St. James nie ma co tam robić. Moja obecność tylko niepokoiłaby Paige.

- Ale tam jest twoja matka.

- Tak. I muszę przyznać, że wyobrażałam sobie, jak siedzę przy jej łóżku i szepczę jej do ucha słowa pocieszenia, które podświadomie może mogłaby usłyszeć. Ale tak było, kiedy jeszcze sądziłam, że ona potrzebuje pocieszenia.

- Jesteś naprawdę zdumiewająca - powiedział Stuart. - Naprawdę jesteś córką Claire.

Gwen pokręciła głową.

- Nie. Och! Powinnam ci dać tę obrączkę. Proszę. Pewnie zdejmuję ją na noc, a dzisiaj nie zdążyła jej założyć.

Było to logiczne założenie. Ale Stuart wiedział, że to nieprawda. Odkąd Alan wsunął tę obrączkę na jej palec, Claire nigdy jej nie zdjęła.

Aż do ostatniej nocy, kiedy chciała mu tyle powiedzieć. To było takie ważne. Powiedziała mu, że o nim myślała. O nich. I gdyby nie nagły ból, opowiedziałaby mu swój sen.

Stuart włożył obrączkę do kieszeni i przeszedł z Jackiem przez ulicę.

Cole miał do nich dołączyć. Chciał jeszcze zamienić parę słów z Gwen, która stanowczo oznajmiła, że dwie ostatnie przecznice przejdzie sama. Cole nie proponował jej więc, że ją odprowadzi.

Zamiast tego uśmiechnął się do jej zmęczonej, oświetlonej popołudniowym słońcem

twarzy.

- Cześć.

- Cześć. - Myślisz, że będziesz mogła się trochę przespać?

- Teraz?

- Teraz. Twoja mama też śpi, a ja będę miał ją na oku przez całe popołudnie.

- Specjaliści także tam będą, prawda?

- Oczywiście. Ale ja też tam będę, przynajmniej do wieczora, do czasu, aż wstaniesz.

Wtedy chciałbym być z tobą, jeśli ty też masz na to ochotę.

- Mam.

- To dobrze. - Cole dotknął jej policzka pokrytego cienką warstwą korektora. - Zadzwoń do mnie, jak się obudzisz.

- Dobrze.

Dzięki funduszom zebranych przez Claire Forrester oddział intensywnej terapii Centrum Medycznego Pacific Heights był nie tylko wyposażony w najnowocześniejsze urządzenia, ale szczylił się także niezwykłym podejściem do pacjentów. W czasie ostatniego remontu, zakończonego trzy lata temu, wprowadzono istotne zmiany w pokojach.

Każdy pacjent oddziału miał do dyspozycji dwupokojowy apartament, składający się z sypialni i saloniku. Salonik był miejscem dla odwiedzających. Znajdowała się w nim rozkładana kanapa, a także kilka krzeseł i foteli. Nie był to jednak punkt obserwacyjny. Ściana oddzielająca go od sypialni nie była ze szkła, lecz z gipsu, zgodnie z życzeniem Claire. Pacjent miał prawo do prywatności, a jego rodzinie oszczędzano widoku krewnego wystawionego jak eksponat w muzeum albo jak ciało czekające w kostnicy na identyfikację.

Claire oczywiście nigdy nie widziała oddziału po remoncie. Przejrzała tylko szkice i rysunki.

Teraz tu była. Ale nadal niczego nie mogła zobaczyć.

Paige siedziała przy niej w sypialni. Mariel także im towarzyszyła, ale zdawała się zaszokowana widokiem przyjaciółki. Wyszepiała, że zaczeka w saloniku, i wyszła.

Doktor Paige Forrester była przyzwyczajona zarówno do atmosfery oddziału intensywnej terapii, jak i widoku pacjentów w stanie krytycznym.

Ale kiedy takim pacjentem była jej matka... Paige weszła do pokoju pełna obaw i w pierwszej chwili doświadczyła tego, co odczuwają zapewne bliscy innych pacjentów - przemożnego pragnienia, by krzyknąć: Wstawaj! Wychodzimy stąd! Musisz znowu stać się



sobą, nie tą nieruchomą skorupą. To nie jesteś ty. To nie możesz być ty! Dość!

Ale Paige nie zaczęła krzyczeć. Nie uciekła.

Zamiast tego siedziała i patrzyła. Wsluchiwała się w ciche pikanie aparatury wyznaczające rytm serca jej matki. Ten spokojny równy rytm był dla niej pociechą. Sprawiał, że czuła się bezpieczna.

Ciche westchnienia respiratora także działały na nią uspokajająco. Nieruchome ciało Claire nie walczyło z maszyną, która za nią oddychała. Poddawało się jej ratującym życie działaniom.

Wkrótce oddech Paige zsynchronizował się z szumem respiratora, a jej serce prawdopodobnie przejęło rytm serca Claire. Paige nie wiedziała tego na pewno, nie sprawdzała. To nie miało zresztą znaczenia.

Liczyło się tylko to, że nigdy nie czuła się tak bliska Claire ani tak pewna, że to uczucie bliskości będzie trwało i rozkwitnie, kiedy jej matka wreszcie otworzy oczy.

- Paige?

Paige odwróciła głowę w stronę, z której dobiegał szept.

- Mariel! - powiedziała również szeptem i podeszła do oddychającej bardzo szybko kobiety, która stała w drzwiach. - Co się stało?

- Nic. - Mariel wycofała się do saloniku. - Cóż, ciebie i tak nie uda mi się oszukać, prawda? Twoja mama nie jest jedyną osobą, która od czasu do czasu wpada w panikę.

- Przepraszam, nie wiedziałam.

- To ja przepraszam, Paige, ale... muszę iść. Jack i Stuart na pewno wkrótce przyjdą, stan Claire jest stabilny, a ja... - Mariel przesunęła drżącą ręką po czole. - Ja muszę stąd iść.

- Oczywiście! Ale może najpierw dam ci coś na uspokojenie?

- To znaczy walium, tak? Albo drinka? Zaaplikuję sobie jedno i drugie, jak tylko dotrę do domu. Po prostu nie najlepiej czuję się w szpitalach.

A zwłaszcza na oddziałach intensywnej terapii, pomyślała Paige. Po tym, jak spędziła pięć dni i nocy, patrząc, jak Alan umiera, i zamartwiając się z powodu Claire i jej chorej córeczki.

- Naprawdę, bardzo mi przykro, Paige... - zaczęła Mariel znowu.

- Niepotrzebnie.

Paige ujęła ją pod ramię i wyprowadziła na korytarz, do windy, tam gdzie w sobotę musiała usiąść na podłodze.

- Nie powinnaś prowadzić.

- I nie usiądę za kierownicą, obiecuję. Dopóki się nie uspokoję. Ale jak tylko stąd

wyjde, wszystko będzie w porządku.

-Zobaczmy.

-Nie, nie zobaczmy. Ty zostań tutaj, Paige. Z Claire. - Drzwi otworzyły się i Mariel weszła do windy tak szybko, jakby uciekała z więzienia. - Już czuję się lepiej! Zadzwoń do mnie...

## Rozdział 33

Podczas krótkiej nieobecności Paige do sypialni wszedł technik z radiologii, by zrobić prześwietlenie jamy brzusznej. Paige czekała w saloniku, poza zasięgiem promieniowania, kiedy do pokoju weszli Jack i Stuart.

- Jesteście z powrotem. Misja zakończona? - powitała ich.

- Chyba tak - odparł Jack. - Jak Claire?

- Stan bardzo stabilny. Teraz robią jej prześwietlenie jamy brzusznej.

- A ty? - spytał Jack miękko. - Jak się czujesz?

- Dobrze - odpowiedziała, ale kiedy spojrzała na Stuarta, zmarszczyła brwi. Nigdy go takim nie widziała. Stał nieruchomo, wpatrując się w ścianę, za którą leżała Claire. Nie poruszał się, a jednak wydawał się taki... zdenerwowany. Jakby wszystko w nim wrzało.

- Wujku Stuarcie? Prześwietlenie trwa tylko kilka minut, zaraz potem będziesz mógł tam wejść.

- Och. Dziękuję. Ale... gdzie jest Mariel?

- Właśnie wyszła. Źle się tu czuła. Myślę, że poszła do domu. Stuart pokiwał głową.

- Mogę skorzystać z telefonu w twoim gabinecie, Paige? Muszę do kogoś zadzwonić.

- Oczywiście!

- Świetnie. Zaraz wracam.

- Co się stało, Jack? Gdzie byliście?

- Poszliśmy do domu twojej matki. I byliśmy w jej sypialni.

- Och. Tam ją znaleźliście. Nic dziwnego, że Stuart jest taki zdenerwowany. Dywan...

- Nie został dotąd usunięty.

- Ale to właśnie w tej sprawie chciałeś poradzić się Stuarta. Chciałeś, żeby wyraził na to zgodę. A on się uparł, że pójdzie z tobą. - Jack chciał też omówić tę sprawę z Cole'em. Wiedział, podobnie jak wszyscy, którzy czytają gazety, że nieoczekiwana czy

niewytłumaczalna śmierć, która następuje w przeciągu dwudziestu czterech godzin od chwili przyjęcia do szpitala, wymaga wezwania koronera. Zwłaszcza jeśli pacjent nie był wcześniej leczony. Jack chciał usunąć dywan, a Cole był chirurgiem, który operował Claire Forrester, i mógł zaświadczyć, ile straciła krwi, zanim przyjęto ją do szpitala, co z pewnością uspokoiłoby nawet najbardziej podejrzliwego koronera. Gdyby do tego doszło... ale nie dojdzie. Paige słyszała równomierne pikanie i szum respiratora. - Więc nie chodziło o Helen?

- Nie - odparł Jack. - Chodziło o twoją matkę. I o ciebie.

- Dziękuję za troskę.

- Proszę bardzo. Czy też, jak mawia moja córka, „nie ma sprawy”.

- Tak, młode pokolenie tak właśnie odpowiada na „dziękuję” - mruknęła Paige i uśmiechnęła się lekko. - A skoro mowa o twojej córce, powiedz, jak ci poszło z Helen.

-Wszystko w porządku, Paige. Jestem pewny, że nie stanowi żadnego zagrożenia dla Beth. Opowiem ci o tym później. Niekoniecznie dzisiaj.

-Tylko że...

- Co?

- Siedziałam przy łóżku mojej matki i poczułam nagle, że nigdy dotąd nie była mi tak bliska. Mam nadzieję, że to dla nas początek czegoś nowego. Wierzę, że tak jest. - Oczy Paige lśniły. - Jestem dziś pełna optymizmu, jeśli chodzi o relacje na linii matka-córka.

- W takim razie z punktu widzenia Helen jest to idealny moment na tę rozmowę. Tym bardziej że poprosiła mnie, żebym właśnie z tobą omówił pewną sprawę.

- Ze mną?

- Z tobą. Widziała nas razem na basenie...

I nie jest szpiegiem, doszła do wniosku Paige, kiedy Jack zakończył sprawozdanie z wizyty u Helen.

- Jest tylko matką - powiedziała Paige - która chce być blisko swojej córki.

- Więc nie uważasz, że powinienem poprosić ją, by wyjechała?

- To ty musisz o tym zdecydować, Jack. To, że Helen poprosiła cię, żebyś przedyskutował to ze mną... Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Jak? Jak ktoś, kto cię kocha? Jak ktoś, kto przedyskutowałby to z tobą, bez względu na to, czy Helen by tego chciała, czy nie?

- Coś w tym rodzaju. - Paige spojrzała w jego zielone oczy, w których kryło się coś jeszcze. Drugie oblicze miłości. Pragnienie. Pożądanie.

- Dobrze - powiedział zdecydowanie. - To ciekawe, bo ja też uważam, że nie powinienem zmuszać Helen do wyjazdu. Chyba udzielił mi się twój optymizm w kwestii

relacji między matkami i córkami.

Prawdę mówiąc, Jack sam nie użyłby słowa „optymistyczny” na określenie swoich uczuć. Ale, w duchu optymizmu, postanowił go użyć. Sam powiedziałby raczej, że zaczął doceniać siłę więzi łączących matki i córki. Ich trwałość, która pozwala wybaczać.

Odczuł to bardzo silnie w sypialni Claire, kiedy patrzył na odrzuconą córkę, ściskającą w dłoni ślubną obrączkę swojej matki. Matki, której nigdy nie znała. I później, kiedy Paige z taką nadzieją mówiła o matce i początku czegoś nowego.

Jack Logan nie obawiał się już, że matka jego córki mogłaby ją skrzywdzić. Obawiał się jednak, że siostry Forrester może czekać wielki smutek.

- Słucham? - Mariel była nieco zdyszana. Pospiesznie otworzyła drzwi, a potem podbiegła do dzwoniącego telefonu, choć tak naprawdę ciągle miała ochotę przede wszystkim na solidnego drinka.

- Mówi Stuart.

- Czy coś się stało?

- Nie. Ale chciałem cię zapytać o te pierwsze dwa dni w szpitalu w Monterey.

- Och, Stuarcie, dlaczego? Nie wystarczy, że musiałam dziś patrzeć na Claire leżącą bez przytomności na szpitalnym łóżku? Wierz mi, to było okropne *deja vu*. - Mariel podeszła do barku i, przytrzymując słuchawkę ramieniem, sięgnęła po butelkę i szklankę. - To, co teraz słyszysz, to dźwięk bourbona, który właśnie wlewam do szklanki.

- Mariel...

- Och, dobrze już, dobrze! Co chcesz wiedzieć?

- Jak bardzo oszołomiona była Claire? Bardziej niż wtedy, kiedy przyjechałem?

- Dużo bardziej. Była półprzytomna. Zdezorientowana i otepiała po narkozie... Och, rozumiem, obawiasz się, że tym razem może być tak samo.

- Jak przejawiała się jej dezorientacja?

- Normalnie. Zapominała, gdzie przed chwilą była i co robiła, zapominała drogi z oddziału noworodków do oddziału intensywnej terapii, gdzie leżał Alan. Ale to nie był stan permanentny. Chwilami była zupełnie przytomna. Właściwie przez większość czasu wydawało się, że jest całkiem świadoma i w pełni nad sobą panuje. Na ogół była zdezorientowana wieczorami, po zmierzchu. Lekarze mówią, że to typowe.

- Opuszczała w tym czasie szpital?

- Ale skąd! To znaczy, no tak, pewnej nocy wyszła ze szpitala, rzeczywiście. Ostatniej

nocy przed twoim powrotem, o ile sobie dobrze przypominam. Zgubiła się między tymi dwoma oddziałami, skręciła nie tam, gdzie powinna, i w końcu znalazła się na parkingu dla odwiedzających.

- Wiesz, jak długo była poza szpitalem?

- Nie, do czasu twojego przyjazdu prawie nigdy nie byliśmy razem. Kiedy ja siedziałam przy Paige, ona była u Alana i na odwrót. Wiem tylko, że była całkiem przemoczona. I bardzo zmarznięta. Pamiętasz tę okropną burzę? Lekarze byli mocno zaniepokojeni. Potem przez resztę nocy doglądała jej prywatna pielęgniarka. Kiedy przyjechałeś, nie była już potrzebna. Ty byłeś z Claire, a ona z każdym dniem czuła się lepiej.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- O czym? Wiedziałaś, że była oszołomiona. To, że wyszła ze szpitala, było tylko objawem jej dezorientacji. Było mnóstwo ważniejszych rzeczy, które musiałam ci powiedzieć. Nie rozumiem, dlaczego akurat teraz chcesz to roztrząsać. Nawet jeśli znowu będzie oszołomiona po narkozie, wiemy, że prognozy są dobre. Dezorientacja minie. I nie przypuszczam, żeby mogła niezauważona wyjść ze szpitala albo gdzieś się zgubić. A ty?

- Nie, nie sadze. Aby to było możliwe.

- Więc po co ta cała rozmowa?

- Ponieważ Claire mglście pamięta tę noc, kiedy błąkała się w deszczu. I zastanawia się, czy tak było naprawdę.

- Och, no tak. Cóż, tak było.

- Powiedz mi, co się stało na miejscu wypadku.

- Co?! Dobrze wiesz, co się tam stało.

- Masz rację. Opowiedz mi, jak Claire zaczęła rodzić.

- To się stało tak nagle. Po prostu zaczęła krwawić. Alan nie widział krwi, ale widział po wyrazie jej twarzy, że coś się dzieje. Powiedziała mu, że zaczęła rodzić i że słyszy syreny karetki, co oznacza, że lekarze zaraz będą. Alan powiedział jej, że ją kocha, a potem z jego ust chlusnęła krew i... Och dlaczego każesz mi jeszcze raz przez to przechodzić? Wiesz, jakie to straszne.

- Wiem, ale dokończ, Mariel.

- Alan stracił przytomność i zaraz potem Claire upadła. Podtrzymałam ją na tyle, żeby się nie uderzyła. Pogotowie przyjechało kilka minut później. Claire na noszach została zabrana do karetki, a Alanem zajęli się lekarze.

- Co ty zrobiłaś?

- Zostałam z Alanem.

- A Claire pojechała karetką do Monterey?

- Tak. Niemal natychmiast. Wnieśli ją na górę, wsunęli nosze do karetki i zaraz odjechali. Dlaczego o to pytasz?

- Bo nigdy dotąd o to nie pytałem. Tak, masz rację, widok Claire na szpitalnym łóżku budzi wiele wspomnień. Przepraszam cię, Mariel, ale musiałem to wiedzieć.

Beth i Dina miały zamiar spędzić popołudnie u Claire. Jack postanowił poprosić swoich rodziców, by odebrali dziewczynki ze szkoły, powiedzieli im, co się stało i odprowadzili do domu. W ten sposób mógł zostać z Paige w szpitalu.

Z Paige, która, jak podkreślała, nie była tam sama. Stuart wrócił, było też oczywiste, że Cole na razie zostanie w szpitalu, mimo że wszyscy specjaliści twierdzili, iż jej stan jest „wyjątkowo dobry”.

Paige nie czuła się samotna, bo jej matka była tuż obok. Chciała jak najszybciej znaleźć się znowu przy łóżku matki i słuchać jej oddechu.

- Idź, Jack, pobądź trochę z córką - powiedziała. - Ona może cię teraz potrzebować. Na pewno ma wiele pytań dotyczących Helen.

- Dobrze, w takim razie pójdę.

- Dziękuję.

Jack uśmiechnął się szeroko.

- Nie ma sprawy.

## Rozdział 34

- Pani Forrester naprawdę wyzdrowieje?

- Tak, kochanie - powiedział Jack do zaniepokojonej Beth. - Naprawdę.

- A co z Paige?

- A co ma być?

- Ona naprawdę musi porozmawiać ze swoją mamą.

- I na pewno to zrobi.

Tak jak Beth rozmawia z Helen, jeśli będzie tego chciała. Ale na pewno nie dziś. Jack w ogóle nie brał takiej ewentualności pod uwagę. Niepytany, nie miał zamiaru nawet wspominać o Helen.

Widział jednak niepokój w oczach córki. A jeśli stanie się coś złego, coś strasznego, i matka, i córka już nigdy nie będą miały okazji się spotkać?

- Dzień jest taki piękny. Usiądźmy tu na chwilę i pogadajmy.

Znaleźli suchy skrawek trawnika pod Akademią Marine View, skąd roztaczał się cudowny widok na błękitny, usiany złotymi odblaskami słońca Pacyfik.

- Mam ci coś do powiedzenia, jeśli chcesz posłuchać.

- O Helen? - spytała Dina z entuzjazmem.

- Zgadza się. - Jack spojrzał na Beth. - Ale nie musisz tego słuchać dzisiaj.

- Ale chcę. Dowiedziałeś się, gdzie ona mieszka?

- Owszem. I dowiedziałem się też czegoś bardzo ważnego. Wiem już, dlaczego nie udało nam się stworzyć rodziny. Dawniej nie znałem powodu, ale nawet gdybym go znał, i tak podjąłbym takie same decyzje. Myślę jednak, że to coś, o czym powinnaś wiedzieć.

- To coś złego, prawda?

- I złego, i dobrego. Fakty, które poznałem, są złe. Ale teraz rozumiem już, dlaczego miały miejsce, a to jest dobre.

- Ale co się stało?

- Twoja mama miała bardzo nieszczęśliwe dzieciństwo. Bardzo złe. Pamiętasz, zrozumiałaś, dlaczego ludzie ranią innych?

- Dlatego że sami zostali zranieni?

- Właśnie. Bo zostali zranieni albo coś ich boli.

- Ale ona mnie nigdy nie zraniła.

- Nie. To prawda, kochanie. Choć sama została zraniona, a jej dzieciństwo było okropne, ona nigdy cię nie skrzywdziła. Ani nikogo innego.

I nigdy tego nie zrobi. Tylko że wtedy tego nie wiedziała. Jej własne rany były jeszcze zbyt świeże. Bała się, że mogłaby nad sobą nie zapanować.

- I dlatego odeszła?

- Tak. Bo wierzyła, że tak będzie dla ciebie lepiej. Że będziesz szczęśliwsza bez niej. Chciała, żebyś była szczęśliwa i bezpieczna, tak jak ona nigdy nie była. Nie wiedziałem o tym wszystkim, aż do naszej dzisiejszej rozmowy.

- Rozmawiałeś z nią?

- Tak. To była długa rozmowa.

- Więc ty jej nie nienawidzisz?

- Nie, Beth, oczywiście, że nie. Ale - spojrzał z uśmiechem na Dinę - nawet nie myślcie o scenariuszu w stylu *Rodzice znowu razem*.

Był to ulubiony film obu dziewczynek. Jack nie znał każdej linijki tekstu tak dokładnie jak Beth i Dina, ale to, co pamiętał, całkowicie mu wystarczało.

- Oczywiście, że nie! To znaczy, jest... - Dina urwała i zatkała usta dłonią.

- Co jest?

- Jest Paige - powiedziała Beth. - Myślałyśmy, że... Widziałyśmy, jak rozmawialiście na basenie i... ty ją lubisz, prawda?

- Bardzo.

- A ona lubi ciebie.

- Tak, skarbie. I wie o Helen.

- I też jej nie nienawidzi?

- Nie. Prawdę mówiąc, Paige uznała, że Helen to miła osoba. - Jack właściwie nie chciał tego powiedzieć. Miał zamiar tylko poinformować Beth, nie wpływając na nią w żaden sposób. Ale nie chciał też, by Beth martwiła się czymkolwiek. Na przykład dezaprobatą Paige. Zwłaszcza że nie było się czym martwić.

Oderwał wzrok od wyrazistej buzi Beth, w której czytał jak w otwartej książce, i spojrzał na płynące nad oceanem chmury.

Beth musiała podjąć tę decyzję sama.

Nawet Dina siedziała w milczeniu.

- Zastanawiam się, czy ona zechce ze mną porozmawiać.

- Jestem pewny, że tak. - Chmura na niebie przywiodła Jackowi na myśl owieczkę dokazującą na ekranie monitora w sypialni Claire. Odwrócił się do córki i zobaczył, że decyzja została podjęta. - Jestem tego całkowicie pewny, Beth. Teraz chodzi tylko o to, czy ty chcesz porozmawiać z nią.

- Chcę - powiedziała Beth cicho, jakby sprawdzając, jak będzie się z tym czuła. Najwyraźniej wszystko było w porządku, bo zdecydowanie pokiwała głową. - Chcę.

- No, to postanowione.

Decyzja została podjęta, ale trzeba było jeszcze ustalić szczegóły.

- Kiedy powinnam porozmawiać z... moją mamą?

- Kiedy tylko zechcesz. Powiedz kiedy, a ja do niej zadzwonię.

- I powiesz jej, kiedy ja do niej zadzwonię?

- Oczywiście. Albo, jeśli chcesz, ustalę dla was termin spotkania.

- Spotkania?

- Ona mieszka blisko nas.

- Chyba powinnam najpierw pomyśleć, o co chcę ją zapytać.



- W porządku.

- Tylko że... Paige powiedziała, że żałuje, że nie rozmawiała ze swoją matką, kiedy była małą dziewczynką. Chyba miała na myśli nieplanowane rozmowy. Może takie rozmowy są lepsze?

- Zrobisz, co zechcesz, Beth. Nie musisz się spieszyć z decyzją.

Ale Beth musiała się spieszyć. Wiąż między matkami i córkami jest tak silna, daje pewność siebie nawet najostroźniejszym jedenastolatkom.

- Już wiem - powiedziała Beth. - Spotkam się z nią, gdy tylko ona zechce spotkać się ze mną.

Claire zbudziła się ze snu, jakby była nurkiem, który w ciemnej toni nagle zobaczył przed sobą rekina - gwałtownie, z uczuciem przerażenia i przyspieszonym oddechem. Wracając szybko ze świata snu na jawę, usiłowała skoncentrować się na bólu w okolicach brzucha. Był to inny ból, niż ten, który jej dotychczas towarzyszył, a jednak wydawał się dziwnie znajomy, budził zapomniane uczucia. Dlaczego?

Odpowiedź na to pytanie znalazła, zanim otworzyła oczy. Było tak samo, czuła taki sam ból, kiedy obudziła się w szpitalu w Monterey, pusta i obolała, ze świadomością, że to małe życie, jej roztańczona balerina, nie jest już bezpiecznie zwinięta wewnątrz jej łona.

Otworzyła oczy i w pierwszej chwili odczuła ulgę. Ale tylko w pierwszej chwili. Zaraz potem zorientowała się, że nie jest w domu, we własnym łóżku i że ma coś w ustach, w gardle, co próbuje ją udusić. Chciała to chwycić i wyciągnąć z ust, ale nie była w stanie oderwać rąk od łóżka.

- Mamo - wyszeptała Paige, wstając ze stojącego przy łóżku krzesła. - Obudziłaś się. Wszystko w porządku. Naprawdę. Jesteś na oddziale intensywnej terapii, tym, który sama zaprojektowałaś. Miałaś wrzód żołądka. Przeszłaś operację. Ale już jest po wszystkim. A ręce... chodziło o to, żebyś przypadkiem niczego nie rozłączyła.

Ale coś się jednak działo. Powolny równy rytm serca zmienił się w chaotyczną szaleńczą galopadę. Urządzenie monitorujące pracę serca zaczęło piszczeć alarmująco.

Respirator również zaczął sygnalizować problemy. Maszyna nie była już w stanie wdmuchiwać starannie odmierzonych porcji powietrza do płuc Claire.

Reakcja na alarmujące dźwięki obu urządzeń była natychmiastowa. Cole. Pielęgniarka. Pulmonolog.

I Stuart.

- Obudziła się - poinformowała Paige, po czym odwróciła się do Claire. - Wpadłaś w panikę. To całkiem zrozumiałe, ale wszystko jest w porządku. Naprawdę. Pozwól, żeby respirator oddychał za ciebie. To trudne. I będziesz się z tym czuć dość dziwnie, ale wszystko jest w porządku. Wiem, że przeraża cię myśl, że jesteś poza domem, ale jest tam ekipa remontowa Jacka. Więc nawet jeśli ty jesteś tutaj, a ktoś, na kogo czekasz, pojawi się u ciebie, oni powiedzą mu, gdzie jesteś...

Uspokajające słowa Paige nie odniosły skutku. Choć odwróciły uwagę Claire od medycznej interwencji.

Ataki paniki nie są śmiertelne, chociaż człowiek, który im ulega, może odnosić wrażenie, że zaraz umrze. Jednak w przypadku osoby, która właśnie przeszła poważną operację, nagły wzrost poziomu adrenaliny we krwi może stanowić poważne zagrożenie.

- Walczy z respiratorem - pulmonolog stwierdził oczywisty fakt.

Claire oddychała w innym rytmie niż maszyna i w efekcie do jej płuc dostawało się bardzo niewiele powietrza. - Musimy ją zwiotczyć, Cole. Nie mamy wyboru. Zaraz dojdzie do niedotlenienia.

Zwiotczenie za pomocą środków farmakologicznych jest bardzo proste. I w wielu przypadkach konieczne. Ale dla w pełni przytomnego człowieka nagła niemożność wykonania jakiegokolwiek ruchu jest przerażającym doświadczeniem

- Nie chcę jej zwiotczać. I tak jest już dość przerażona.

- Więc co proponujesz?

- Odłączyć ją od respiratora. Jeśli się później zmęczy i znowu trzeba ją będzie zaintubować, trudno. Ale przynajmniej będzie o jedną rzecz, która ją przeraża, mniej.

- W porządku. Zawołam anestezjologa.

Cole pokiwał głową, po czym podszedł do Paige i Stuarta, którzy stali przy łóżku.

Stuart mówił coś cicho do Claire.

- Nie bój się. Jesteśmy tu. Paige i ja. I jeszcze - sięgnął do kieszeni i wyjął z niej złoty krążek - to też. Widzisz? Twoja obrączka. Włożę ci ją na palec i będzie tak, jakby Alan też tu był. Dobrze?

Stuart sądził, że Claire zdecydowanie pokiwa głową. Tak, Stuarcie, pośpiesz się! Daj mi obrączkę! Potrzebuję jej. Potrzebuję Alana. Ale Claire patrzyła mu prosto w twarz. Prosto w oczy. I pokręciła głową w geście odmowy.

- Nie chcesz obrączki?

Claire znowu pokręciła głową, a Stuartowi wydawało się, że w jej oczach zobaczył cień uśmiechu. Nadziei. I odwagi.

I obietnicy, pomyślał, że spróbuje podzielić się z nim swoim snem.

- Claire...

- Stuarcie? - wtrącił się Cole. - Przyszedł anestezjolog. Musimy mu teraz pozwolić odłączyć respirator.

- Tak, tak, oczywiście.

Stuart wycofał się z sypialni razem z Paige.

- Ona cię kocha, Stuarcie.

- I ciebie, Paige. Próbuje opanować panikę. Dla nas obojga. Ale nie może.

- Zawsze sądziłam, że u podstaw jej agorafobii tkwi strach, że kiedy mój ojciec wróci, ona będzie poza domem. Wiem oczywiście, że to niemożliwe, ale na kogo innego mogłaby czekać? Najwyraźniej jednak przyczyną jest coś całkiem innego.

- Może nie - mruknął Stuart. - Cole? Coś mi właśnie przyszło do głowy.

Cole podszedł do nich.

- Gwen - powiedział Stuart. - Claire potrzebuje Gwen.

## Rozdział 35

Matka i córka szły trawnikiem nad brzegiem oceanu w łagodnych promieniach zachodzącego słońca. Był to wolny spacer wokół Akademii Marine View. Jedno okrążenie. I jeszcze jedno. I następne. Przez cały czas Jack robił, co mógł, by zabawić, a przynajmniej zająć czymś Dinę, która miała wielką ochotę przyłączyć się do matki i córki.

Przy trzecim okrążeniu, kiedy zapadł już zmierzch, Helen powiedziała Beth więcej niż Jack, a zarazem mniej, o jej dzieciństwie.

- Z wielu powodów zawsze trudno mi było wytrzymać płacz dziecka - wyznała Helen.- Względy muzyczne także nie były bez znaczenia.

- Względy muzyczne? Och, wiem dlaczego! Dzieci, kiedy płaczą, wypadają z tonacji. I wydają takie piskliwe dźwięki. - „Piskliwy” był jednym z ulubionych określeń dyrygenta szkolnej orkiestry. Podobnie jak „nieharmonijny”. - W każdym razie mnie też się tak zawsze wydaje.

- Naprawdę, Beth?

- Tak! Może nie wszystkie dzieci tak płaczą. Ale młodszy bracia i siostry moich znajomych zdecydowanie tak!

- I co robisz, kiedy płaczą?

- Robię coś, żeby przestali.

- Na przykład co?

- Och, no wiesz. Najpierw pytam, dlaczego płaczą. Dlaczego marnują czas na płacz. Ale to zazwyczaj nie działa.

- Przytulasz ich?

- Koniecznie trzeba ich przytulić. I mówić do nich, uśmiechać się... a najlepiej coś im zaśpiewać. Lubią to.

- Wygląda na to, że dobrze radzisz sobie z dziećmi - powiedziała Helen. - Jak twój tata.

- A ty nie?

- Nie, ja nie - uśmiechnęła się Helen. - I bardzo tego żałuję.

- Mogłabym ci pokazać... jeśli chcesz. W centrum medycznym jest teraz taki specjalny program na oddziale noworodków. Ochotnicy chodzą tam i przytulają dzieci, które tego potrzebują. Na przykład takie, których mamy nie mogą z nimi być. Pani Forrester nam o tym powiedziała. To chyba jej pomysł. Ona mówi, że niektóre dzieci bardzo potrzebują przytulania. Zwłaszcza te, które urodziły się uzależnione od kokainy. Trzeba mieć co najmniej dwanaście lat, żeby zostać ochotnikiem, więc Dina i ja zaczniemy dopiero na wiosnę, zaraz po moich urodzinach. Mogłabyś pójść z nami, gdybyś chciała... jeśli nadal tu będziesz.

Mimo zmęczenia Gwen nie spodziewała się, że będzie w stanie zasnąć. Ale kiedy wzięła prysznic i dokładnie umyła twarz, zwinęła się w łóżku, tak jak obiecała Cole'owi. Myśląc o nim, odpłynęła w sen. Pełen marzeń.

Po zmroku zbudził ją dzwonek telefonu, a w słuchawce usłyszała głos Cole'a.

- Spałaś?

- Tak, ale... Czy coś się stało?

- Obudziła się, Gwen. Ale ma atak paniki. Stuart uważa, że rozmowa z tobą mogłaby ją uspokoić.

- Stuart tak uważa? Ale po południu...

- Nie wspomniał, że Claire mgliście pamięta, jak błąkała się, szukając czegoś w deszczu. Kiedyś sądził, że to tylko jej wyobraźnia. Teraz wie, że tak było. Mariel powiedziała mu, że tamtej nocy, kiedy ty trafiłaś do klasztoru, twoja matka została odnaleziona na parkingu pod szpitalem. Przemoczona i zdezorientowana.

- Czy Paige już wie?

- Stuart właśnie jej o tym opowiada.

- Myślisz, że mogłabym porozmawiać... z moją matką?

- Tak. Tak myślę.

- Ale... - Gwen nagle ogarnęła panika. - A jeśli, kiedy mnie zobaczy, jej atak jeszcze się nasili?

- Nic takiego się nie stanie. Przyjdź tu, Gwen. Twoja mama cię potrzebuje.

- Nie mogę uwierzyć, że zrobiła coś takiego.

- Ja też nie, Paige - odparł Stuart. - Jeśli jednak, oprócz tego, co ją spotkało, cierpiała na szok poporodowy?

- Sama nie wiem. Tak, pod wpływem szoku mogła oddać dziecko... Ale...

- Ale co, Paige?

- Nie jestem pewna, czy szok poporodowy mógł sprawić, że zapomniała o tym, co zrobiła. Nawet w przypadku Yates, matka, mimo urojeń, pamiętała wszystkie szczegóły morderstwa, jakie popełniła na piątce swoich dzieci. Rozumiem, że to typowe w przypadku szoku poporodowego. Czy w stanach psychotycznych. Urojenia nie wpływają na zdolność zapamiętywania. Ale... - mruknęła Paige - były też inne czynniki. Narkoza, traumatyczne przeżycia. Myślę, że dowiemy się więcej, kiedy porozmawia z Gwen.

- Chyba tak - powiedział Stuart łagodnie.

Chyba tak.

Paige spotkała siostrę bliźniaczkę w holu przy windach.

- Wiedziałam - wyszeptała, kiedy się objęły. - Byłam tego pewna.

- Ja też. Pójdiesz ze mną porozmawiać z nią?

Paige nie spodziewała się takiej propozycji, ale przyjęła ją bez zastrzeżeń.

- Oczywiście. Teraz jest u niej Stuart. Respirator został już odłączony, więc może mówić, chociaż z trudem. Cały czas nas przeprasza.

- Za co?

- Mówi, że za ten atak paniki. Za to, że nie potrafiła się opanować.

Gdy Gwen przygotowywała się na spotkanie z Luise Johansson, postanowiła opanować przerażenie, bez względu na to, jak strasznie Luise będzie wyglądała. Od pewnego czasu starała się też wyobrazić sobie swoje pierwsze spotkanie z matką.

Nie sądziła jednak, że przed pierwszą rozmową z Claire będzie bała się tego samego,

czego obawiała się przed wizytą u Luise.

Claire jest konająca. Pomóżcie jej! Niech jej ktoś pomoże! Ale nikt nie może jej pomóc. Ani Cole. Ani Paige. Ani Stuart. Owszem, Stuart trzyma dłonie na jej ramionach, gładzi je delikatnie, ale pod jego dotykiem ciało Claire dyszy i zapada się.

To tylko kwestia czasu. Czy oni tego nie widzą? Wkrótce wysiłek, jakim jest oddychanie, stanie się dla niej zbyt wielki. Jej serce tego nie wytrzyma, jej oczy zaraz znieruchomieją. Na zawsze.

- Cole - wyszeptwała Gwen - zrób coś, proszę.

- Dobrze. - Cole wyciągnął do niej rękę. - Chodź ze mną.

Może była to kwestia wiary? A Cole miał wiarę. W końcu tęsknił za Gwen przez całe życie, ale zrozumiał to dopiero wtedy, kiedy ją odnalazł.

W życiu Claire Forrester także brakowało jednego elementu. Była w nim rana, która nie mogła się zagoić. Cole wierzył, że balsamem na tę ranę jest Gwen - bez względu na to, czy Claire wiedziała, czy czegoś brakowało w jej życiu, czy nie.

- Pani Forrester?

Claire oderwała wzrok od swoich dłoni, pozbawionych obrączki i zaciśniętych, ale uwolnionych z więzów, tak jak jej płuca zostały uwolnione od rytmu respiratora.

- Tak?

- Chciałbym, żeby poznała pani kogoś... - Cole przyciągnął Gwen bliżej, podtrzymując ją przez cały czas. - To jest...

- Gwennie... Nie mogę uwierzyć, że to ty...

- Poznajesz mnie?

- Tak! Jak możesz... pytać? Jesteś... moją siostrą. Moją siostrą! Przepraszam ... oddech...

- W porządku - wyszeptwała Gwen. - Rzeczywiście mam na imię Gwen, ale obawiam się, że nie jestem twoją siostrą.

- Och? Nie. Tak, teraz to widzę... Jesteś... dużo za młoda... Jesteś... córką Gwennie, prawda? Albo Beki? Och, nie... już wiem... jesteś córką Robbiego.

- Ja... Nie.

- Robbie był bratem bliźniakiem Claire - wyjaśnił Stuart. - Głaire? Gwen nie jest twoją bratanicą. Ale jest siostrą. Bliźniaczką. Jak ty. Jest taka podobna do twoich sióstr, bo jesteście spokrewnione.

- Och... jak to miło...

- Bardzo miło - powiedział Stuart. - Gwen jest siostrą Paige, Claire. Siostrą bliźniaczką.

Jest dzieckiem, którego szukałaś w deszczu tamtej nocy, która wraca do ciebie we wspomnieniach.

- Och... - Claire zamknęła oczy, jakby zobaczyła nagle prawdę zbyt porażającą, by mogła to wytrzymać.

Przycisnęła dłonie do piersi. A potem jej oddech z wolna się uspokoił.

Kiedy otworzyła oczy, była w nich miłość. To nie na Alana czekała przez wszystkie te lata. Czekala na Gwen.

- Słyszałam twój płacz - wyszeptala. - W karetce, na miejscu wypadku. Naprawdę. Ale powtarzałam sobie, że to niemożliwe. Paige urodziła się dopiero w szpitalu w Monterey, a w karetce byłam przecież nieprzytomna. Nie mogłam więc niczego słyszeć. No i...

- No i co? - spytał Stuart.

- No i Mariel powiedziała mi, że jeśli coś słyszałam, to na pewno tylko wiatr. Albo wycie syren. Ale to byłaś ty, Gwen. Ty.

Claire dotknęła niezakrytego warstwą korektora policzka Gwen.

- Co to? Och, znamię. - Claire gładziła je jak najdroższy skarb. Najdroższy i najrzadszy klejnot, którego nigdy dotąd nie widziała. - Gdzie byłaś? Kto mi cię odebrał? Nam?

Nam. Claire. Paige. Stuartowi. Gwen. Rodzinie, którą mogli być. Którą powinni byli się stać.

- Stuart? - zapytała Claire. - Wiesz, co się stało?

- Tak - odparł cicho. - Myślę, że wiem.

Mariel był dość rozsądna, by wzywać taksówkę, kiedy była pod wpływem alkoholu.

A tym razem była.

Stuart otworzył boczne drzwiczki samochodu i zapłacił kierowcy.

- Stuart! Jak to uprzejmie z twojej strony. - Ujęła jego dłoń, wysiadając z taksówki. - Ale co ty, na Boga, robisz pod moimi drzwiami o trzeciej nad ranem?

- Musimy porozmawiać.

- Porozmawiać? Och. Claire...

- Claire czuje się dobrze. - Stuart nie odezwał się więcej aż do chwili, kiedy weszli do domu. - Opowiedz mi, jak dziewczyna, która skończyła studia w Filadelfii, udawała turystkę z Iowy.

Mariel milczała o kilka sekund za długo.

- O czym ty mówisz?

- I o tym, jak przed tym przedstawieniem w klasztorze udawałaś Claire w Carmel. Wszyscy wiemy, co zrobiłaś. To Gwen jest tym dzieckiem, które oddałaś siostrze zakonnej.

- Stuart, nie mam pojęcia, o czym.

- Nie wiemy tylko, dlaczego to zrobiłaś. Choć ja mam pewne podejrzenia.

- Napijesz się czegoś?

- Nie. Zobaczyłaś znamię, prawda, Mariel? Na miejscu wypadku, tam gdzie się urodziła. I natychmiast postanowiłaś, że nie zostaniesz matką chrzestną tak oszpeconej dziewczynki.

- Byłabym jej matką.

- Jej matką była Claire.

- Owszem, ale Alan na pewno szybko znudziłby się Claire. Na pewno. To była tylko kwestia czasu. Prędzej czy później ożeniłby się ze mną.

- I razem wychowywalibyście jego córki? To znaczy, tę ładną. Jak przekonałaś lekarzy z karetki, żeby umieścili Gwen w jednym szpitalu, a Claire w drugim?

- Ja nie... To się po prostu stało.

- A ty skorzystałaś z okazji, by pozbyć się dziecka, którego nie chciałaś?

- Zrobiłam to dla Alana, Stuarcie. Z powodu Alana. Nie dla siebie.

- Nie wierzę ci.

- Nie mnie to nie obchodzi! To prawda! Gdybyś widział twarz Rosalind po wypadku, może zrobiłbyś to samo.

- Nigdy.

- Nie widziałeś jej twarzy, Stuarcie. Ale Alan widział. I ja też. To znamię... wyglądało dokładnie tak samo, jak rana na twarzy Rosalind. Wiesz, jak trudno byłoby Alanowi patrzeć przez całe życie na coś, co przypominałoby mu o śmierci jego matki? Widzieć to co dnia na twarzy własnego dziecka?

- Alanowi byłoby trudno na to patrzeć? A może tobie?

- Nam obojgu. Z powodu Rosalind. Samo znamię było bez znaczenia. Ale najtrudniej byłoby Alanowi. To byłoby dla niego nie do wytrzymania. Nie chciałam, żeby tak cierpiał. Kochałam go.

- To ty od niego odeszłaś.

- Musiałam. To był jedyny sposób, by zrozumiał, jak bardzo mu mnie brakuje. Jak bardzo mnie pragnie i potrzebuje. I udałoby mi się, gdyby nie pojawiła się Claire.

- Alan nigdy nie znudziłby się Claire. Nigdy by do ciebie nie wrócił.

- Dlaczego jesteś taki okrutny?



- Jestem tylko uczciwy. Claire była miłością jego życia.

- Wiem. Naprawdę myślisz, że tego nie wiem?

- Ale oddałaś jego córkę.

- Już ci powiedziałam, zrobiłam to dla jego dobra. Z powodu Rosalind. Wierz mi lub nie, ale taka jest prawda. Bez względu na to, czy wróciłby do mnie, czy nie, nie chciałam, żeby cierpiał.

- Ale Alan zmarł, Mariel, a ty wiedziałaś, gdzie jest dziecko Claire. I nigdy nie powiedziałaś ani słowa. A mogłaś. Wiesz o tym. Mogłaś mi o tym powiedzieć w każdej chwili. Znalazłbym sposób, by przywrócić Claire córkę, nie mieszając cię do tego. Ale nie powiedziałaś mi. Dlaczego?

- Właśnie dlatego, że Alan umarł. I ja też umierałam. Umarłam. I przez bardzo długi czas nic nie miało dla mnie znaczenia... nadal nie ma, nie tak, jak wtedy, kiedy żył.

- Nic nie miało dla ciebie znaczenia - powiedział Stuart cicho. - Także ta mała dziewczynka.

- Nie wiem... Chyba tak. Ale myślałam o niej czasem.

- Jak to miło z twojej strony - mruknął Stuart sarkastycznie.

- Och, Stuarcie, nie chcę, żebyś mnie znienawidził. Proszę. Spróbuj mnie zrozumieć.

- Nie, Mariel, nie mogę cię zrozumieć. Ale wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? Że one cię rozumieją. Claire i Gwen, i Paige. One będą próbowały cię zrozumieć. I wiesz co jeszcze? Wybaczą ci.

## Epilog

*Centrum Medyczne Pacific Heights*

*Poniedziałek, 10 listopada*

*Rok później*

W szpitalnej kafejce było cicho i prawie pusto, tak samo jak wtedy, kiedy Paige i Gwen spotkały się tam na kawie rok temu.

Spotkania na cafe latte przy stoliku z widokiem na zatokę stały się cotygodniowym rytuałem Claire i jej córek. Rytuałem tak uświęconym, że tylko najbardziej niezwykle okoliczności mogły je zmusić, by z niego zrezygnowały.

I rzeczywiście, tylko podróże poślubne trzykrotnie uniemożliwiły im poniedziałkowe spotkanie. W styczniu Claire płynęła ze Stuartem na pokładzie QE2. W lutym, zaraz po swoim ślubie w Dniu Świętego Walentego, Paige i Jack byli w Paryżu. *Naturellement*. A w maju Cole

zabrał swoją świeżo poślubioną żonę na północny brzeg Maui.

Bez względu na to, jak często Claire i jej córki rozmawiały ze sobą w ciągu całego tygodnia, ile wymieniły e-maili i czy jadły razem kolację w niedzielę - wszystkie czekały na swoje poniedziałkowe spotkanie, jakby od bardzo dawna się nie widziały

- Paige! - Claire wstała, by serdecznie uściskać córkę.

Ich uściski nie były już sztywne i niezręczne. Matka i córka nigdy nie czuły się też niezręcznie, kiedy były same... kiedy drugiej córki nie było w pobliżu.

Tak, Gwen była brakującym elementem. Przyczyną pustki, jaką odczuwały zarówno Claire, jak i Paige, i przyczyną przepaści, która je rozdzieliła. Ale choć powitały ją z otwartymi ramionami, nie musiała być stale obecna, by ułatwiać im kontakty.

- Przyszłaś wcześniej - powiedziała Claire, kiedy już usiadły.

- Chociaż raz. Ty też przyszłaś wcześniej.

Jak zawsze, pomyślała Claire. Jak zawsze nie mogła się doczekać spotkania ze swoimi dziewczynkami. Widziała zaróżowione policzki i błyszczące oczy Paige. Dziewczyna, która tak długo była chora i samotna, teraz wyglądała jak okaz zdrowia. I wydawała się taka szczęśliwa. Tylko że...

- Nie zamówiłaś jeszcze kawy... Och, kochanie, dobrze się czujesz?

- Świetnie!

Świetnie, świetnie, świetnie. Kłamstwo? Nie, cudowna prawda. Gwen okazała się idealnym dawcą. A system odpornościowy Paige przyjął jej nerkę jak własną.

- Szłam właśnie po kawę, kiedy cię tu zobaczyłam.

- Napijesz się teraz?

- Może za chwilę. Kiedy się już usadowię. Poza tym - dodała Paige - właściwie nie chce mi się pić.

Paige nie musiała już odmawiać sobie płynów. Niczego nie musiała sobie odmawiać. Dzięki...

- Uspokójcie mnie, proszę! - rzuciła Gwen bez tchu, siadając przy matce i siostrze.

Uśmiechała się i tak jak Paige była zaróżowiona i promienna. Rumieniec na jej policzkach, o barwie płatków wiśni, pod którymi brała ślub z Cole'em, był naturalny. Na jasnej twarzy nie miała makijażu. Ani znamienia.

Gwen także miała na sobie biały kitel. Taka była polityka szpitala. Administracja uznała, że wszyscy pracownicy centrum, którzy mają kontakt z pacjentami, muszą nosić uniformy z nazwiskami w widocznym miejscu.

Oczywiście było mało prawdopodobne, by ktoś zechciał podszyc się pod

charakteryzatorkę i zaczął nakładać makijaż na twarz pacjenta. Zdarzało się jednak, choć na szczęście nie tutaj, że oszuści udający lekarzy wchodzili na oddziały i przeprowadzali badania. Specjalny uniform z nazwiskiem, jako jedna z wielu barier, miał zapobiegać takim wypadkom.

- Dlaczego trzeba cię uspokoić? - spytała Claire. - Co się stało?

- Założę się, że wiem - powiedziała Paige. - Byłaś na spotkaniu z lekarzami?

- Tak. Było bardzo konstruktywne przez pierwsze, powiedzmy, czterdzieści minut. Pokazali mi fotografie makijażu wykonane na różnych osobach podczas poprzednich szkoleń, a potem omawialiśmy zmiany i ulepszenia, które mogłabym wprowadzić. Później, kiedy sądziłam, że spotkanie dobiegło końca, ktoś zaproponował omówienie kilku dylematów diagnostycznych.

- I spotkanie zmieniło się w konkurs wiedzy o najrzadszych schorzeniach?

- Byłaś już na takich spotkaniach?

- Gorzej - uśmiechnęła się Paige. - Studiowałam medycynę.

- Cóż... to wspaniale, że mają taką wiedzę, ale kiedy stało się jasne że nie zapadną już żadne decyzje, powiedziałam im, że mam inne ważne zobowiązania, i wyszłam.

- I przyszedł do nas - powiedziała Claire. - Ale nie masz, kawy

- Później sobie przyniosę. Mówiłaś, że chcesz o czymś porozmawiać.

- Owszem. Mam zamiar zorganizować małe przyjęcie.

Nie było w tym nic niezwykłego. Claire bez przerwy organizowała przyjęcia, uwielbiała to. A najbardziej lubiła spotkania rodzinne. Lecz nawet wtedy, gdy na liście gości znajdowali się tylko ci członkowie rodziny, którzy mieszkali w promieniu kilometra, przyjęcia nie można było raczej nazwać „małym”. Dziewięć osób dorosłych, w tym Helen, która też należała do rodziny, i Beth. Często przychodziła również Dina i Lany.

A jeśli Claire zadzwoniła na jeden z wielu numerów w Sarah's Orchard, przyjęcie stawało się wielkim zjazdem.

Rodzina McKenzie szukała swojej Claire. Jej bracia i siostry przyjeżdżali autostopem do San Francisco, albo autobusem, tak jak kiedyś Claire. Odwiedzali miejsca, w których spodziewali się spotkać biedną uliczną artystkę. Wharf. Haight. Park. Straszne miejsca, myśleli i bali się, że ich delikatna siostra mogła w nich nie przetrwać.

Wynajęli nawet prywatnego detektywa, chociaż było to kosztowne. Ale wtedy nie było jeszcze komputerowych baz danych. Nie było Internetu. Nikomu też nie przyszłoby do głowy szukać Claire w wielkiej rezydencji na Pacific Heights.

Nie zapomnieli jednak o niej. W ich sercach także była rana, która zaczęła się goić, kiedy znowu usłyszeli głos Claire.

- Małe przyjęcie? - powtórzyła Gwen.

- No tak. Mariel wróciła.

Zgodnie z przewidywaniami Stuarta, wszystkie wybaczyły Mariel. Żadna nie zrozumiała tego, co Mariel zrobiła, ale wszystkie wiedziały jak to jest, kiedy życie wymyka się spod kontroli. A czuły się tak szczęśliwe, tak spełnione, że w ich sercach nie było miejsca na nienawiść.

Mariel zniknęła w kilka godzin po rozmowie ze Stuartem. Pisała jednak listy do Claire, Paige i Gwen. Listy pełne cierpienia, które powstawały całymi miesiącami i na których nie było adresu nadawcy.

A teraz Mariel wróciła.

- Rozmawiałaś z nią?

- Jeszcze nie. Dostałam od niej list. Najpierw chciałam porozmawiać z wami. Pewnie będziecie chciały to przemyśleć.

- Niekoniecznie - powiedziała Gwen. - Zawsze wiedziałam, że jeszcze się z nią zobaczymy. - Spojrzała na siostrę. - Ty też tak myślałaś?

- Oczywiście. Spotkajmy się. Tylko my cztery. Wkrótce. - Paige uśmiechnęła się do Claire, sądząc, że zobaczy na jej twarzy ulgę.

Ale Claire patrzyła w stronę baru, na Cole'a.

Dziwne było, że w ogóle pojawił się w kafejce. Dziwne było też to, że wszystkie wiedziały, że do nich nie podejdzie. Ani się nie odezwie. Cole, Jack i Stuart szanowali czas, który matka i córki spędzały razem. Może nawet bardziej niż ich żony, o które tak bardzo się troszczyli.

Ci mężczyźni byli pogromcami smoków. Pogromcami demonów. Ale Cole patrzył na Gwen inaczej niż dotychczas. Z jeszcze większą troską. Z jeszcze większą czułością.

- Gwen - szepnęła Claire. - Jesteś w ciąży?

- Tak. Skąd...

- Jestem twoją matką. Widzę to. - I pamiętam, jak twój ojciec patrzył na mnie, kiedy już wiedział, że noszę w łonie jego dziecko. Jego dzieci. Dwie siostry, które są dziś tak promienne. - Paige?

- Tak - odparła cicho. - Ja też jestem w ciąży. - Ale...

- Wszystko będzie w porządku. Będzie. Dla obu sióstr.

Takie jest ich przeznaczenie.